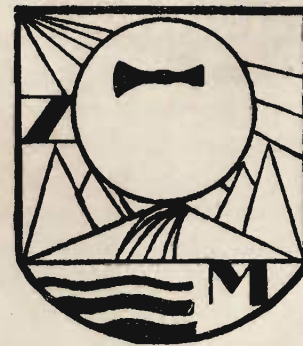


# ŹRÓDŁA MOCY



CZASOPISMO KRAJOWE, POŚWIĘCONE  
KULTURZE ZIEM B. WIELKIEGO  
KSIĘSTWA LITEWSKIEGO

ZESZYT 5

ROK III

WILNO, 1929

ODBITO W POLSKIEJ DRUKARNI NAKŁADOWEJ „LUX”, PORTOWA 7



6  
Ser. Kog. 4.

1579 — 1919 — 1929

**D**roga sercu naszemu, a sławna w dziejach polskich, Alma Mater Wileńska obchodzi w roku bieżącym swój jubileusz: 350 lat od chwili założenia przez wielkiego Króla Stefana Batorego i 10 lat od chwili wskrzeszenia przez wielkiego Budowniczego Państwa Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Twórca Uniwersytetu Wileńskiego, wsparty wysiłkiem najlepszych w Narodzie, zakładał go w drugiej stolicy Rzeczypospolitej, by kraj „w liczne dowcipy obfitujący” posiadał szkołę naczelną, a garnący się do wiedzy mogli nabywać „lustru i cnoty”.

Od tej chwili nauka i cnota stają się znamionami naczelnymi Wszechnicy, która zapala pochodnię światła i trwa z przerwami, narzuconemu brutalną przemocą wroga, do chwili obecnej.

Jeżeli oceniamy podług owoców czyny ludzkie, to przypomnieniem jednego z nich ujmiemy sąd o wartości Uniwersytetu Wileńskiego. Ziarno rzucone w wieku XVI, zapładniając twórczą ziemię, wydało ów owoc w początkach wieku XIX. Wszechnica nasza zrosła się nazawsze w dziejach Narodu z chwilą promieniowania podówczas Wilna na całość Ziemi Rzeczypospolitej Przedrozbiorowej, kiedy „lustr i cnota” zatryumfowały w postaci Mickiewicza i Lelewela.

Stawiamy to Imię obok Poety - Wieszczka nie przypadkowo, wprost przeciwnie — celowo. Z podniosłą bowiem uroczystością jubileuszową połączone zostało sprowadzenie do kraju i złożenie w Ziemi Wileńskiej prochów największego Wszechnicy Batorowej profesora i ucznia.



Wskreszenie przed 10 laty Uniwersytetu Wileńskiego było aktem restytucji naszych praw kulturalnych i państwowych. Było widowym znakiem tryumfu niepodległości nad niewolą. Słusznie przeto się stało, że 10-ty rok odnowionego życia tej Wszechnicy uczczono sprowadzeniem prochów tego, co Nauki sztandar niósł wysoko, a obok niego stawał drugi — sztandar państwowej Niepodległości w r. 1831, protestując przeciwko niewoli i gwałtowi.

Naczelnik Państwa, wskrzeszając w roku 1919 Wszechnicę Batorową, czynił ten akt, „by spełnić życzenia i zaspokoić potrzeby miejscowej ludności, by w imię prawdziwej swobody nawiązać odwieczną złotą nić cnoty, wiedzy i kultury, zerwaną dzikim gwałtem”.

Składając hołd naszej Alma Mater w chwili tak radosnej i drogiej jak tegoroczny Jubileusz jej podwójny — słowami Wskresziciela Wszechnicy zamykamy swe życzenia:

„Niech promienieje kulturą w jak najszersze kręgi, podnosi obyczaje i kształci umysły młodzieży... niech będzie jedną z tych dróg świetlanych, wiodących ludzkość do poznania Prawdy”.

MIECZYŚLAW LIMANOWSKI

## O POZNANIU — GŁOS Z WILNA

Dobrze śpiewać pochwalne peany, gdy nas serce do tego zmusza.

Ale Wystawa Poznańska gniewa nas, zarazem wzrusza. Budzi dwa uczucia, tworzy aliaz, w którym rozdzielić można dwa składniki.

Z Ziem Wschodnich, od bramy Smoleńskiej, przylatujemy aby serce rozewrzeć nad Wartą.

Czyż jest naszą winą, że jesteśmy zwarzeni?

Sam widok Wystawy nas ziębi, więcej, mrozi. Skóra zewnętrzna, epiderma jakaś obca.

I wtedy kiedy chcemy uciec i zaszywamy się w jej wnętrzu, wtedy następuje uderzenie, skurcz chwytą i na policzkach drżą łyzy.

Zewnątrz to Berlin—to Kurfirstendamm, te jakieś wrogości niewiadomo dlaczego ściągnięte przez nas na nasze terytorjum, które nie znosi tej sztuki. Przecież Poznań posiada architekturę. Proszę oczy otworzyć na ratusz. Perła architektury, dla oczu wtajemniczonych słodczyce i wonie. To jest wielka nieprawda, że to ratusz niemiecki czy włoski. Firanka renesansowa urodziła się pod naszym niebem, jak w Krakowie, Sandomierzu, Warszawie, Wilnie. Pod naszym niebem urodziła się także wieża barokowa, z której wszędzie u nas wśród pól i łąk odzywają się dzwonienia. Z takich wieżyczek powoływał nas głos do pospolitego ruszenia. A Fara poznańska? Wchodzisz w to sanktuarjum i widzisz, czem była wielka religijna sztuka naszych ojców. Takie wielkie kolumny, pnie mistycznego jakiegoś dębu czy jesionu, takie jakieś prążkowane ze starości, jak oglądać można w każdym starym parku. Wielka sztuka przeciw reformacji dźwignięta. Gdyby nie ta Fara, te ołtarze, te gzymsy odważne, gdyby nie ten cały styl barokowy, mielibyśmy dziś w Poznaniu Lutra, a co zatem idzie, jakieś ziemczenie straszliwe i beznadziejne, jak we Wrocławiu. Kiedyś w Simplicysymusie, niemieckim piśmie humorystycznym, narysował T. T. Heine bolesną karykaturę. Oto przez granicę leciała bielizna podarta i brudna. Francuzi wyrzucali rzeczy, które Niemcy z patosem chwyтали w swe ręce. Taką karykaturę możnaby teraz narysować, myśląc o tej Wystawie nad Wartą, z tem jednak zastrzeżeniem, że podróżnik z autobusu jadąc po Berlinie



widzi na Kurfirstendamie co wieczór przecież mniej tandetne i mniej wykoszlawione budynki. To jest szczytem brutalności, co oglądać można nad Sprewą w dzielnicy, która się dźwignęła w lwiej części kosztem wyciętych i wytrzebionych lasów polskich. Ale to jest przynajmniej z pierwszej ręki. Nasi bracia Niemcy szukają nowych form, a ponieważ dużo pracują w Chaldei, Asyrii, wszędzie zresztą gdzie jest co do rozkopania i zbadania, więc mają prawo klecić budynki. A my? Udawać, że ściany są z tektury i, że są trzymane przez klejstrowanie koloru rybiego, albo udawać, że szyby nie ze szkła, ale z otłuszczonego papieru lub pęcherzy jakichś oceanicznych żarłoków—stawiać hocki klocki na dachach, nie jest karygodną sztuką dla kogoś, który ma wyprawy oceaniczne za sobą choćby takie „Kunstformen” Haeckla, lub atlasy Schliemana lub Dörpfelda.

Oglądając skarykaturowany Kurfirstendamm w Poznaniu serce nasze zachowuje się obojętnie, nawet oschle. Mózg jakiegoś rodaka architektury może nam sto razy w kółko powtarzać, że jest to architektura nowoczesnych wystaw, droga do takiej architektury. Dla nas architektura w Polsce jest to, co się piętrzy bohatersko, w czym jest nie mózg, ale zapak. Małpować za Niemcami wszelkie asyryjskości, chetyjskości, i te fallusowe pięści, zwartym kułakiem grożące światu i to gdzie, na równinach naszych zbożowych, gdzie śpiewają skowronki i skąd lecą śpiewy serdecznego kultu Marji—jest wielkim nieporozumieniem.

My, tu w Wilnie, mamy wielką architekturę i wiemy, że ojcowie nasi, tworząc tę architekturę, nie wyczerpali byli tego wszystkiego, co jest jeszcze możliwym dla polskiego serca, kiedy pragnie objawić swoje głębie. Wystawa Poznańska powinna była być szukaniem, ale na własnej drodze, a nie na gościńcach, które wytyczają obcy. Cóżby było gdyby w Poznaniu, w Krakowie, w Warszawie, w Lublinie, we Lwowie wielcy ojcowie nasi zamienili byli się w ludzi kopujących to, co obce. Anglik, który dziś podziwia polskie Sukiennice albo Pannę Marję, Wawel albo Boże Ciało, który nie ma słów na oddanie tego, co w nim budzi Wilno, jest właśnie probierzem, że jesteśmy o tyle—o ile siebie dajemy. Dlatego precz z Kurfirstendam... w Poznaniu, któremu nie pomogą ani tulipany, ani róże, ani himalajskie rododendrony, choćby nie wiem jak strzyżone i hodowane. Wystawa Poznańska jest zbudowana między cmentarzami ojców i nie należało tych cmentarzy niepokoić, stawiając bezduszne kulfony, choćby nawet, jak w Poznaniu, w kolorach bardziej miękkich i mniej brutalnych, niż w Berlinie.

Zbliżamy się do pałacu rządowego. I tu nieporozumienie, jeśli chodzi o architekturę. Firanka naszego renesansu uśmiecha się w Sukiennicach, w ratuszu Sandomierskim, w takim zamku jak Stare Sioło. W Poznaniu firanka ta jest oschła, bez wyrazu, przyklejstrowana do czegoś, co z tą firanką nie chce absolutnie się parzyć.

Ale dosyć o klęskach.

Wchodzimy do budynku rządowego. Tu zaczyna się inna karta. Polska wielka, своя, Polska tysiąca pokoleń, Polska krwi, Polska serdecznego głosu, Polska wiary, to wszystko uderza w nas niemal gromem. Czujemy się nagle prochem, chcemy klęknąć i ziemię świętą całować.

Na mapie wielkiej komuś serdecznemu przyszła inwencja każda szkołę obdarzyć lampką żarzącą się. Mapa wygląda jak taka Rossa u nas w dzień zaduszek, kiedy się palą te wszystkie świeczki, z radością jakąś tego dnia zapalone dla zmarłych. Tu jest nasza objata dla umrzyków. Ojcowie nasi chcieli światła. Idzie światło. Spoglądamy i szukamy swojej szkoły nawet tu gdzieś aż bliżej Dźwiny, lub w Karpatach za Prutem. Jest, jest. I łyzy płyną gorące, że mamy swój dom i że Bóg oddał nam ten dom abysmy światło nieśli w ciemności i przez te wszystkie światełka (na jakich często ofiarach!) przyszli z powrotem do wielkiego słońca. Łzy się leją ze szczęścia... Albo wchodzimy do sali rycerskiej, z rzymską prostą, z temi zdaniem Marszałka, temi epitafjami skrzydlatych wodzów i strategów. Zdejmujemy czapkę i stajemy jak wryci przed sztandarami. A potem sala za salą oglądamy krok za krokiem jak posuwała się Polska przez ten infernalny splot wszelkich możliwych przeszkód wzniecony przez szatana. Oto są bitwy, oto są trudy, oto aż do ostatniego tchnienia czynione Ofiary. I mogła Polska wyjść z tej otchłani ciemności na światło i wyszła!

Sala Spraw Zagranicznych i dyskreja jakaś i czystość aż nieprawdopodobna, w tem naszym życiu, które szuka wyraźnych kształtów, ale któremu tak ciężko na drodze pełnego oddzielenia światła od ciemności. Albo Skarb. W podziemiach to srebro, to złoto, ale dźwigające, czyniące w piwnicy fundamenty. Wyjść z piwnic, to ustalić, że nie zdmuchnie nas z powierzchni pierwszej lepsza siła.

Albo Ministerstwo Robót Publicznych: te mosty, tysiące projektów, tysiące mózgów, które pracowały, pracują, te jakieś pontony prowadzące do elektryfikacji naszej Ojczyzny, do jakiegoś wyżsionego wzoru Polski Żeromskiego Domów szklanych.



Potem Gdynia. Pokłon temu Ministrowi, który wie, że na morzu są bandery, są okręty, są drogi, którymi okręty filują i że Polska musi się na morzach odnaleźć. A więc skończyć należy z siedzeniem na łądzie, bo dech i cyrkulacja globu powołują i nas na słony element i zamykają tę kartę, kiedy siedzieliśmy i biwakowaliśmy tylko na łądzie, po zamknięciu Bałtyku i Czarnego morza, jak w jakimś cyrku, w którym rozlegał się świst batów porozbiorowych oprawców.

Takie są święte miejsca w Mecce Polskiej w Poznaniu, stacje wewnątrz budynku, który jeśli chodzi o zewnętrzność kłamie, ale wewnątrz nie może być posądzony o elewację i przesadę.

Albo Ministerstwo Oświaty, Sztuki, Wyznań Religijnych.

To co na korytarzu widzimy, toż to najbardziej kosztowne precjoza jakie mamy. Jakto? Więc to wszystko mamy w domu i nikt o tem nie wie, że to wszystko mamy u siebie. Cóż za spacznie budować tandetę, kiedy mamy u siebie arcywzory; czyżbyśmy jeszcze wciąż chcieli być pawiem narodów i papugą?

Na korytarzu są święte nasze zabytki, architektura z krwi i kości polska, jak ją Noakowski z głębi siebie w medytacjach modlitewnie dobywał, niemal na kolanach i w ekstazach...

Kraków, Lublin, albo Toruń, Wilno, Druja jakaś zapadła nad Dźwiną, Lwów, zamek w Podhorcach, drewniane bożnice, kaplice, kapliczki, krzyże, tummy, o czym dusza polska tylko śni, cała święta nasza ziemia tak jak jest, jak Bóg ją nam dał i jak na niej pracować przykazał, objawiając, że światłości są po to aby były brane, a ciemności na to aby były zrzucane. Wielkie mapy przy wejściu do sal zabytków i Norwidowa sentencja fiołkowo wypisana, głośna, krzycząca w Poznaniu, straszliwy jakiś krzyk duszy Przybyszewskiego. Oto Norwidowa spiżowa prawda, którą polskie serce już do końca obudzone powtarzać może jak zaklęcie: narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak naprzykład polityk narodowy organizuje siłę.

Oto jest Polska. Nie wstydzisz się swoich ojców i akty strzeżone ich serca głośno nad wszystkim postawić, nie wstydzisz się szeptów, które są w nas religijnie założone i nie lękać się być nawet jak piorun, bo polski piorun zawsze idzie z deszczem rodzajnym i gotuje żniwa. Polskiemu Rządowi pokłon. Żle, że do ostatniej chwili marudził i że do ostatniej chwili, nie wiedział czy brać w Poznaniu udział: Poznań się nie mylił kiedy instynktownie za wszystkich postanowił dorobek dziesięciu lat zebrać i pokazać światu—czem jest Polska dźwigająca się, dziś jeszcze błąda, ale już pełna wewnętrznych płomieni i takiej jakiejś za-

wziętości nadludzkiej aby odrobić to, co odrobić trzeba. Nikt inny tylko Poznań poraz pierwszy zaprosił całą Polskę do siebie. Nadludzko zdobył pieniądze. Zapragnął nie klócić się z nami; zapragnął serce szeroko otworzyć.

Z Wilna też przyjeżdżamy do Ciebie, ziemio Piastów, z krańców Rzeczypospolitej, i rozumiemy te twoje zygzaki, także pioruny i błyski prowadzące do wielkiego Żniwa.

Od wieków stoisz na bursztynowej drodze kiedyś idącej z Adrjatyku nad Dunaj, a z nad Dunaju nad Bałtyk. To jest sens twojego ratuszu, twoich obywateli z rzymska postawionych, twojego poczucia praw i obowiązków. Do dziś pamiętamy w Wilnie, jak pierwszego dnia, kiedy Bóg oddał nam Polskę z powrotem, rzuciłaś się ofiarnie wypełniać wagony chlebem, aby go przesyłać nad Niemen, Wilję, Dźwinę, niemal nad Dniepr, który jeszcze był wtedy w naszym ręku. Z chlebem przyszli Twoi żołnierze walczyć z nami. Przestraszyłaś się widząc jak ludzie bez sumienia po drodze chleb kradną. Nie mogłaś znieść nieporządku i nieprawości i dlatego trzeba to przebaczyć, żeś nagle ręce opuściła i zamknęła granicę. Rozważane to może być i zrozumiałe, bo dotyka i dotykało poczucia bezmiernej prawości w Tobie.

My tu wiemy, że przyszedł potem ten drugi dzień, kiedy nie mogąc nie rozewrzeć serca (bo to Twoje serce aż krzyczało, tak długo było więzione!) zaproponowałaś stolicy Państwa, że każde miasto Twoje gotowe jest wziąć miasto inne w opiekę i w ten sposób ułatwić gospodarczo ogólne uzdrowienie i nowoczesne pchnięcie wprzód, jak tego wymaga XX wiek. Ofertę Twoją ludzie mali odrzucili wtedy, zasłaniając się tem, że Stolica jest od tego.

Teraz trzeci raz rozwarłaś serce, ziemio Piastów. Powiedziałaś—Polska musi pielgrzymować tu na świętą ziemię naszych ojców. W Katedrze są prochy Mieszka i prochy Chrobrego i nad ich prochami muszą wszyscy klęknąć, jakeśmy klęczeli przez sto lat z górą, Boga prosząc, by ziemię przez nich mieczem zakreśloną w nasze ręce grzeszne z powrotem raczył oddać i nie krajał już i nie łamał tak dalej pod męczeńskim kołem wszystkiego, bo już nie możemy i serce nam pęknie.

Cała Polska dziś pielgrzymuje i Ty zmieniasz się do niepoznania, cny gospodarzu, bo wreszcie wydobywasz ten pierwszy uśmiech na obliczu, świadectwo twego serca, że ci wolno zapraszać i jedno stanowić z nami, którzy tu przychodzimy i garnimy się więcej, niż może przypuszczasz, właśnie do twojego uśmie-



chu, który wraca z powrotem i do twoich oczu, które zawsze były łagodne i światłe, ale musiały się schować w głąb, w tych najokropniejszych dniach, kiedy nie wolno Ci było czuć po polsku i modlić się po polsku.

Byłem na ulicach kiedy 16.000 śpiewaków słowiańskich w dzień Zielonych Świątek defilowało z tabliczkami: Lwów, Warszawa, Toruń, Radom, Szczecin, Berlin, Kolonja. Wszystko w pochodzie nie mogącym się skończyć, pochodzie obejmującym daleko więcej, niż dzisiejsza granica państwowa pozwala. Było i Wilno. Tak i Wilno Mickiewicza. I aż do Sądu Ostatecznego nie zapomnę jak z chwilą, kiedy zbliżała się tablica — tych pięć liter: Wilno, Ty po jakiejś ciszy, która raptownie wszystko wyprzedzała, sercem wybuchłaś. Nigdy Ci Wilno nie uczyniło nic złego. Nigdy Wilno nie znalazło się w poprzek Twojej drogi. Nigdy Ci Wilno jednym słoweczkiem, na jakiejś drodze siewu i urodzaju, fatalnym jakimś kaprysem nie zaciążyło i Tyś instynktowo nagle jeszcze nie wiedząc, czy można wołać, wstydzając się, że wołasz, ośmielałaś się wyciągnąć chustki, zdejmować kapelusze i krzyczyć: niech żyje, dziwiąc się, żeś przemogła jakieś barjery lęku czy nieśmiałości, czy może i wszystkiego nagle razem.

Wiemy, że jak do Ciebie dziś Polska pielgrzymuje tak do nas będzie pielgrzymowała za parę lat. To było widzenie w owej chwili. Otworłaś swem sercem wrota w Polsce, boś nie mogła ich nie roztworzyć, skoro dusiłaś się z przebranych uczuć i wzruszeń, które broniły się aby wyjść na zewnątrz.

Wystawa jest Twoim dzieckiem i nie gniewaj się, jeśli powiemy, żeś Ty śliczne dziecko źle ubrała, fatalnie, żeś zamiast sukienki polskiej, włożyłaś nie wiedząc, bez grzechu niemal, sukienkę obcą, która nie ma prawa być nad tem młodem życiem.

Parę słów abyśmy się mogli porozumieć. U Ciebie jest nadmiar chleba, u nas na Wileńszczyźnie niemal głód. Okropna zima, tysiące istnień niemal sunących jak cienie. Ale w pokorze to wszystko znosimy i rozumiemy, że radości i krzyki, radości i szczęście w Twoich oczach mają prawo być, bo przez te krzyki i po przez radość idzie droga rozwarcia Twoich oczu — które ze zdumieniem nas nagle też widzą i odkrywają.

Jesteśmy w okopach. Tuż jest granica, jak kiedyś, tak i dziś na strasznej drodze Smoleńskiej. Z trzech stron nas zamknięto, aby zmusić głodem do poddania się w korytarzu ślepym i taka jest w tej chwili jeszcze polityka w Kownie, Berlinie i Moskwie. Ale my tu siedząc, trwając, już przez samo prawo siedzenia swoje robimy. Moglibyśmy nawet nic nie robić, bo to nasze siedzenie

tu jest sakralne i płodne dla całej przyszłości, nie nas samych, ale nas wszystkich. A że jesteśmy i że prawa naszego życia są związane z trudem okropnym dobywania wszystkiego niemal na pustyni, przeto Bóg obdarzył nas wzrokiem widzącym, wierzącym, nie dającym iść w uludę.

Wystawę Poznańską oglądamy burząc się i płacząc naprzemian.

Nas razi ten pawilon ityfallusowy żelaznego przemysłu wielkiego. Co za pięść kłamiwa, tryumfalna, kułak wewnątrz bez żadnej siły. Kto widział jaką wystawę na świecie i to nie dzisiaj, ale temu już trzydzieści lat, ten wie, że nasz przemysł jest jeszcze nikczemny i że fama o nim jest dęta. Cicho siedzieć i pracować, ale nie rzucać piasku w oczy i nie robić krzyku, który rozlega się ze szpalt prasy, która jakby na jakiś znak czyni niezdolną klakę, z którą należałoby jak najprędzej skończyć. Na Wystawie Poznańskiej musi być przemysł polski — dziecko czy dziecina w pieluszkach, ale nas wstyd ogarnia, kiedy ziomkowie nasi tracą przytomność i sądzą, że jest to wielki przemysł.

Więc te drobiazgi: jakieś auto, motocykle, wagi, kocioł metalowy, nawet maszyny. Ależ kochani, na wystawie paryskiej temu trzydzieści lat, Belgja wystąpiła z czemś co jest zapędzone w róg kozi z chwilą, kiedy pojawia się Essen lub Dortmund. A my? My mamy przyszłość przed sobą i to trzeba głośno powiedzieć, bo peany nad przemysłem, którego nie ma, właśnie nas prowadzą do lekceważenia tego co mamy, a nikt na świecie nie ma: Polski kolorowej, bogatej, strzelistej, w duchu podniosłej, mieniającej się tysiącem ziem, regionów, posiadającej swoje życie: swój język, swoje pieśni, swoje stroje, tańce.

Ta cała wielka prawdziwa Polska na Wystawie Poznańskiej jest niemal obrócona w parodję.

Przed pawilonem ponurym ciężkiego przemysłu spotykamy przebranych chłopców za polską husarię czasów Sobieskiego. Okropna karykatura. Z jednej strony wydęty przemysł, z drugiej okaleczona przeszłość, zmieniona na widowisko uliczne, jarmarczne niemal, obraz jakiś Fernando Goya y Lucientes oskubanych kogutów, które czarownice jakieś podrzucają na fartuchach. Bo oskubani są nasi rycerze, Kirholm, Cecora, Wiedeń, Chocim, Kreml... podobnie jak te stroje ludowe, zaś wydęta jest czarownica żelaznego wielkiego przemysłu w brudnym fartuchu. Pożal się Boże. Obok Lwów.

Jak to Lwów, cudowny Lwów, semper fidelis, lewka swojego umieścił na jakiejś karykaturze architektonicznej, z dachów jakie-



gość starego drzeworytu, Eulenspiegel. Więc ten czarowny lewek tańczący przed sercami (trzema sercami, a nie sakiewkami, jak ktoś bezprzytomny pisał!) ten lewek, który znany był na całym Lerwancie, on podobnie jak rycerze polscy obrócony jest w nieudolne monstrum, zawieszony na kominie sabatu, do którego przyczyniają się w Berlinie Rosjanie emigranci, już przez samą tragedję zerwania z glebą rodzinną skłonni do patologji. Byłoby ciekawem oglądać wystawę odrzuconych projektów, które nadeszły do Poznania i przez to zweryfikować tę selekcję, która zmusiła się toczyć całej wystawie jak czarownica na miotle. Bo nie uwierzę, aby w Polsce nie było architektów, którzy mają oczy otwarte dla baroku polskiego, o którym się coraz bardziej głośno mówi w Paryżu i który jakiś nowy Emile Mâle pokaże światu, jako szczyt dostojności i żywiołowości puszczonych skrzydeł. Nie trzeba nawet więcej o tem mówić, bo pastwić się tak łatwo, oglądając pomidorową zupę naszych pawilonów i wszystkie dziecinne kuby, udające wciąż i wszędzie, że architekci nie umieją budować, nie znają się na niczem, zupełnie jak ci malarze szereg lat temu, którzy świetnie rysując, udawali, że nie umieją rysować i nieudolność taką w rysunku symulowali.

Zatem nie bójmy się krzyknąć: przemysł polski jest w stosunku do europejskiego jak komar do słonia. Przystoi nam umiar. To że my nie mamy przemysłu, to tak bardzo zrozumiałe, logiczne, konsekwentne; bez tego nie ma kroku do zrzucenia nieznosnej fanfaronady, o której się chce z Wyspiańskim krzyknąć: „masz tu Kaduceusz polski, mać nim wodę, mać!”.

Zatem, obywatele, nie dajcie się brać na tę demagogję: polski przemysł, polska lokomotywa, polski aeroplan, polski pocisk. Odwrotnie, nie trzeba przechylać się na drugą stronę i krzyżeć, że nic nie mamy, bo i to jest nieprawda. Być w prawdzie, rzeczy widzieć jak są, kazać w Polsce ludziom stąpić na ziemię i nie fanfaronować w fantazjach, jak to dziś co drugi człowiek robi, nie umiając niczem ruszyć na ziemi, a chcąc być praktycznym, realnym, bo to jest także nabijanie w butelkę... gdy się tak od rana do wieczora bezproduktywnych ludzi słyszy mówiących o materializacji, grzęźnieniu w konkretności, konstruktywności, równocześnie niewiedomo dla kogo i dla czego, i stąd pełnych hiperkrytyczności dla ducha i emanacji duchowych.

O rzeczach materialnych mówimy jak jest. Wystawa Poznańska też nie powinna być jakimś krzykiem triumfalnego peanu z góry, ale obrachunkiem zimnym, rozważnym, treściwym, strategją nową na zasadzie tego co jest i zostało zmobilizowane. Material-

ne rzeczy są przesadzone w Poznaniu, duchowe rzeczy są ogłuszone. Sama Wystawa jest pierwotnym grzechem wobec Polski, jeśli chodzi o kłamliwą, nieprawdziwą, pozorną Jedność tej Polski, po przez kłamliwy, szablonowy, pełen rutyny i płaskości styl Wystawy.

Polska jest Jednością z Wielości.

Cudzoziemiec, który przyjedzie do Poznania, zobaczy Polskę koszarową niemal, ostrzyżoną, ogoloną, okropnie zamydloną, bezduszną niemal, twór bez wyrazu.

Maskę zedrzyjmy i krzyknijmy: to nie Polska. Polska to ziemia, to regionalne style, gwary, bogactwa, to biegunowe niemal, polarne kontrasty. Śląsk i Katowice, albo Dżisna i Wilno. Proszę stworzyć dwa pawilony, w którychby duch tej ziemi gadał, na twarz wychodził. Proszę stworzyć te dwa style, ale równocześnie tak, aby pomimo kontrastu było widno, że to Polska, ta sama Polska, tu w żelaznych niemal jakichś wieżach, królestwie metali i podziemnych mocy, a tam w królestwie samej natury, błękitnych jezior i zboża nad temi jeziorami niemal białości śniegu.

Na Wystawie Poznańskiej widać, że Polacy nie znają Polski. Znają ją mniej niż nasi ojcowie, którzy wychylali się rzadko z domu, ale zato na sejmie w Warszawie przez dziwny jakiś instynkt obejmowali wszystko i umieli wielką tę całość nie z książek budować, ale z życia samego.

Kartuzy i Grudziądz, Lublin lub Włodzimierz, tu Krzemieniec, tam Kurnik, tu romański tum w Strzemesznie, tam kaplica dziadów na cmentarzu obok rozlanego bagna, albo ziemia kujawska z atramentem czarnej ziemi, albo Polesie ze złocistym, saharowym piaskiem we wzgórzach wydm. Czyż to nie odrębne światy: Tatry i Pojezierze, jakby nie na jednej i tej samej planecie. Tu maszyny, kominy, królewska huta, cynk, robotnicy, mistyka z Bemego albo Anioła-Słazaka, tam przeprawy z wilkiem, z rysiem, niemal niedźwiedziem i kocie oczy tysiąca jezior, nad którymi biją pioruny, chcąc wszystko obudzić i podnieść do życia takiego, jak na Zachodzie.

A Podhale z górami, Pokucie z Karpackimi wodami, Czerwona Ruś niewiedomo dlaczego i w imię jakiej biurokratycznej neologii spotwarzona i nazwana Małopolską Wschodnią (sic!) co jest naigrywaniem się kosmopolitycznym z naszej historii i ducha samej ziemi. A krakowskie, święta ziemia kopców Wandy, Krakusa i Kościuszki, a Kaszubi, a kurpiowska puszcza, a Łowicz z kolorami swoich pasiaków, niczem kwiaty po grzędach, Mazowsze, Sandomierskie, Rawskie, tam od Czarnkowa Pałuki, a od S. Wa-



wrzyńca pod Chełmem grodziska na Wabcz—przecież, to wszystko jest Polska: *Jedność z Wielości* a nie państwo kazionne z berlińskim kurfirstdamowym stylem i tym chaosem na Wystawie, który pochodzi stąd, że brano pod uwagę materializm, wciąż materializm a nie nasze duchowości i strzelistości.

Nie można bez pokazania tej Wielości zrozumieć tej Jedności, tej jedynej w swoim rodzaju na świecie nie na knucie opartej, nie na interesach czysto ziemskich, ale na braterskości w duchu, godzenia się na to aby jeden wspólny dach wznieść nad wszystkim. Wystawa Poznańska dużo pokazuje, dużo poucza, dużo objawia, niestety, w częściowych rzeczach, w ułamkach, w załamanych całościach, ale nie *w całościach*, które proszą każda o swój wyraz, swoją odrębność, swoją *wolność*. Bez wolności stanowią o sobie *dla dobra całości* nie ma Polski prawdziwej. Nie może się przeto Poznań dziwić, że teutońskie wymysły nam, z innej Polski, nie ułatwiają wzrostu i rozrostu wszelkiego. Czujemy się skrępowani, z obcą skórą na sobie, przybici, bezsilni.

Duch miast naszych wewnątrz budynku miast zaczyna znajdować formy. Każde nasze miasto posiada swój wyraz i język. Dać esencję w formie plastycznej, klucz do poznania tego ducha—oto jest stokrotnie wyższa rzecz dla architektury, niż buszowanie po pismach berlińskich i drezdeńskich i kalkowanie rozmaitych rezultatów, do których przyszli Niemcy w swojej pasji aż rozwydrzonego eksperymentowania. Żaden naród na świecie nie pozwolił sobie na takie gwałtowne odskoczenie od przeszłości, jak Niemcy, którzy za Karola Wielkiego wzorowali się na Akwizgranie, a dziś wzorują się na archeologicznych rekonstrukcjach Suzy lub Ekbatanu. My zostańmy lepiej na ziemi i nie odrywajmy się w abstrakcje. Lepiej jest być Anteuszem, który wraca do sił, niż Faetonem który łamie sobie sam dobrowolnie kości. Zatem religia jedyna w swoim rodzaju, to Polska, będąca Jednością z takich kontrastowych Wielości, jak garbate Pojezierze, strzeliste Tatry, równiny Mazowsza, nasza polska Litwa z ruczajów, zabagnione Polesie, puszcza Białowieska i sosnami pokryte otłoczyńskie wydmy. Z tem idzie do pary taniec, tu taki, tam siaki, a jaki taniec taka architektura. Karykaturą są te stroje ludowe, swoisty śpiew naszej ziemi wśród internacjonalnie założonych kubów, kłamania tej całej tuzinkowej nietwórczej architektury, którą Francuzi kiedyś w jakimś elanie urodzili, później zostawili, a którą Niemcy podjęli. Oczywiście też nie na długo, bo zatem i Niemcy którzy są zdrowi, długo nie wytrzymają; cóż my dopiero, którzy jesteście jeszcze zdrowsi.

Ostateczny bilans w naszym sercu jaki?

Wdzięczność nieskończona dla ziemi pierwszych rapsodów Króla Ducha, popielowej i piastowskiej ziemi. Zarazem ta pokorna nasza prośba: *uwierzyć, że jest polska forma*. Treść jest. Wielka treść, nawet świat treści. Poznań ma serca, ma czucia polskie ale uwierzyć musi, że od Mickiewicza mogą iść wielkie światłości też dla Ziemi. Każdy Poznańczyk powinienby patrzeć na Wystawę, od rana do wieczora powtarzać za genialnym wodzem i poetą: język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie.

I tu jest nasza prośba z Wilna, nasz grzmot, który pragniemy wam udzielić. Dwoistości dosyć: głos musi znaleźć formę. Wielki nasz poeta jest cudotwórca. Każdy akt strzelisty w nas będący odnajdziemy w Nim, bo każdemu z nich dał formę swoją i własną.

Czas jest budować Polskę w formie.

Treść mamy. O tę treść będziemy jak wszędzie tak i tu z Wilna dalej się bili. Będziemy ją weryfikowali, sprawdzali, na drogę prawdy skierowywali z powrotem, skoro się zawieruszy. Takiego życia materialnego, jak w Poznaniu, nie może być w Wilnie. Nie ma pod ziemią bogactw a nasze warsztaty rolnicze, już nietylko przemysłowe, są zaledwie w początku. Ani pieniędzy, ani mienia, ani organizacji, ani nawet energii, takiej jak nad Wartą, nie ma tu człowiek. Ani takiej pracowitości, ani takiej nieustępliwości. Wiemy, że Wystawę Poznańską dźwigało wszystko, co jest zespołowo związane z tem, co nazywamy pracą. Nawet wielkie ryzyka, wielkie fantazje, śmiałość. Ale też dlatego, że do roztruchanów dano Poznaniowi nalewać wino—dlatego też roztruchany w Poznaniu muszą być rzetelne. Walczyć o formę w Polsce, oto krzyk bijący z Wystawy Poznańskiej. I dopomagać na wszystkie strony w tej walce. Będąc w skrajnych pozycjach, jakże jednak Wilno jest bliskie Poznania.

Przeczuwając, że Wystawa Poznańska rozpoczyna pochod nasz w kierunku już prawdziwego, jednoczenia się Polski, budowania z Niej ciała nie w sztuczny sposób, ale na Prawdzie, we wsłuchiwaniu się wzajemnem i w braterskiem mówieniu i porozumieniu, co jest dojrzałością męską, skoro się chce dźwignąć bryłę świata, my tu z całą pokorą, nad Wilją, spoglądając na waszą bezmierną zasługę prosimy nie zapomnieć nasz głos: zwichrzonym nieporozumieniem (i bardzo chwilowem!) jest to czem nakryliście niefarbowane, ale pełne krwi serdecznej życie naszego Narodu. Udzieliliście mu gościny, przez co jesteście w tej chwili jak ów gospodarz Piast, który przyjął do swojej chałupy Aniołów. Serce Polski też mieszka u was w tej chwili, bo to Serce się zawsze przenosi, a w tej chwili jest u was.



Zarzut, który możemy wam zrobić — ale to zarzut serdeczny, z krwi naszej, może i nie zarzut, bo przecież wychodzimy dopiero z więzienia i jesteśmy jeszcze w pierwszym dniu nagle na nas spadłej wolności, zarzut nasz, żeście przyjmując Aniołów i, wiedząc że są to Aniołowie, na chwilę się przestraszyli, że dom nasz, prosta chałupa, prosta forma może być za nikczemny i za prosty dla gości spadłych z nieba. To było wszystko z nadmiaru kochania. Ale kiedy spoglądnicie jeszcze raz na treść, którą zamknęliście w budkach, klocach, dziwadłach, stajniach — wtedy oczy otworzycie, jak my, i zobaczycie, że są architektury niewiadomo skąd przywiane, jakiś farbowany lis, na którym należy nogę postawić.

Zrównamy się wtedy w widzeniu, jak już zrównaliśmy się w sercach, aby dalej iść przed się i gruntować to, co mamy w sobie: na strzelistości, na wzniosłości, na ofierze, na tysiącnych ogniach, niewykluczając najmniejszych, skoro się palą dla Ojczyzny: — Polskę.

## BOHATYROWICZE

Nie dochodząc do ujścia Świsłoczy do Niemna, u stóp wyżyny Grodzieńskiej, na lewym brzegu Niemna, — leży wieś Bohatyrowicze tuż obok majątku Miniewicze. Nie wieś to właściwie, ale osada szlachecka, tak zwana w Grodzieńszczyźnie „okolica”. Naprawdę jednak szukać tej nazwy na mapie sztabowej: zamiast Bohatyrowicz w ich miejscu leży napis Samostrzelniki. Nie dziwota, że topograf rosyjski pominął tę nazwę; nie mówiła mu ona nic, a posiadała nieprzyjemny dźwięk jakiegoś bohaterstwa. I nie można się dziwić, że nazwę tę pominął topograf niemiecki, przerabiający mapę rosyjską na niemiecką. Nadzieję mieć należy jednak, że na nowej mapie polskiej, oficer polski uwzględni właściwą nazwę, z którą związane jest jedno z najpiękniejszych podań nad Niemnem.

Dzisiejsze Samostrzelniki to dwie zrosnięte ze sobą okolice: Bohatyrowicze i Samostrzelce, jak powie każdy ich mieszkaniec. Leżą na wysokiej terasie, równej jak stół, dalekiej bez końca, kończącej się gdzieś na widnokręgu. Terasa faluje kłosami zbórz, bo urodzajne tu pola, na dnie dawnego jeziora położone; złoci się w promieniach tej słonecznej ziemi Grodzieńskiej pszenica, srebrzy się żyto. A niżej, u stóp spowitych w sadach domów i zagród bohatyrowickich, szemrze odwieczną swą pieśń tajemną król wód litewskich — Niemen.

Brzeg przeciwległy piaszczysty, porośły sosnowym lasem. A gdy słońce zachodzi rzuca ostatnie swe blaski na stal Niemna, złoto jego piasków nadbrzeżnych, gdy zaniebieszczony daleki bór sosnowy — tonie się wtedy w Bohatyrowiczach w jakiejś przedziwnie spokojnej nicości — zlewa się dusza ludzka z czarem otaczającej go przyrody.

Na wschód od ostatnich domów Bohatyrowicz wpada do Niemna głęboki parów. Odgranicza on wieś od wzgórza z kępą drzew i krzewów. Wśród tych drzew i krzewów leży parę wielkich głązów, porośłych mchem i porostami; na jednym z nich widnieje napis: „Jan i Cecylja 1549 memento mori”. — Stary grób. I na ten stary grób prowadzi Ciebie, wędrowcze polski, starzec z Bohatyrowicz i snuje dawną, dawną opowieść.

Opowieść o Janie i Cecylji — coś znajomego, coś, co kiedyś głęboko zapadło w duszę, jakiś mit przeszłości, saga prastara.



I oto starzec bohatoryrowicki wskazuje ci wielki głaz nad Niemnem i z pietyzmem wspomina, że na tym głazie siadywała ongi tutaj Eliza Orzeszkowa — słuchała szeptów Niemna i jego pieśni natchniona tworzyła cudne gawędy o ludziach tutejszych i kraju tutejszym. — I przypomnisz sobie „Nad Niemnem” Orzeszkowej — i przypomnisz sobie opowieść o Cecylji i Janie.

„Sto lat, albo może jeszcze i mniej po tem, jak litewski naród przyjął Świętą Chrześcijańską Wiarę, w te pola przyszła para ludzi. Niewiadomego byli oni nazwiska, niewiadomej kondycji, i to tylko można było poznać i z mówienia ich i z ubioru, że przyszli z Polaszczy. Zwali się Jan i Cecylja i szukali puszczy. Widać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod Bożem okiem. On był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to najczęściej w pospółstwie bywa, a ona, czy to szła, czy stała, czy mówiła, czy milczała wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Cały tutejszy kraj zalegała podtenczas nieprzebyta puszcza. Jan i Cecylja, wzdłuż puszczy przeszedłszy, poznali różne jeziora i łąki, ale nigdzie im nie podobało się tak, jak tutaj, nad brzegiem tego Niemna i na tem właśnie miejscu, gdzie teraz ten pomnik stoi. Może już tak im było przeznaczono ażeby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i ubogi, ale długowieczny ród (Bohatoryrowiczów) ufundować.

Jan i Cecylja pod dębem zbudowali sobie najpierwej chatę. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody i grzyby; do rzeki po napój przybiegały jelenie, daniela i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było, w wodach mieszkały wydry i bobry sobie domki budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć, albo oszczep w wodę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już wcale teraz tu niema. Rzeka ta nie była taka, jak teraz; głębinę i prędkość miała ogromniejszą. Wody były wtenczas nadmiar silne i gniewliwe; rozlewały się daleko i o ziemię biły, koryta w niej sobie porzając, czego do dzisiejszego dnia te parowy pamiątką ostały.

Może dwadzieścia roków minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej; aż po puszczy puściły się pogłosy o tej parze ludzi, że przemyślnością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasieli i inszych różnych roślin nasadzili, dom sobie zbudowali, widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodził, że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, jakich na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. Poszli do nich tedy ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się, jak też tam czyniły się takie cuda. A jak raz przyszli, to już na długo przy

nich ostawali, przypatrując się różnym, do tego czasu niewiadomym dziełom i przemysłom”.

A dalej opowieść niesie, że wieść o parze starców i ich potomstwie doszła do zabawiającego się w okolicy w łowy Zygmunta Augusta. Ruszył król w te strony z dworzany i wśród puszczy ujrzał bogato zagospodarowaną wieś. I zawezwał przed swe oblicze dwoje starców, fundatorów wsi, i złożył cześć ich latom i pracy.

„Ty, starcze, według własnego żądania, bezimiennym zostaniesz, i jakeś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzętom odebrał, zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem; żeś piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając — przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom, aż do najdalszych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego, nadaję nazwisko od bohaterstwa twego wywiedzione. Nobilituję was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatoryrowiczów”.

Oto słowami Orzeszkowej ujęta legenda o Cecylji i Janie — opowieść bohatoryrowicka.

Czy jest to pomysł poetycki tej tak drogiej nam wszystkim autorki „nad Niemnem”. Nie — jak ongi Orzeszkową, tak teraz nas starzec z Bohatoryrowicz prowadził na grób Cecylji i Jana i snuł opowieść minionych dni. Podanie autentyczne, przechowywane w rodzie Bohatoryrowiczów, zatracone w ziszczach nadnie-meńskich, odnalezione, wznowione przez Orzeszkową.

Nie wiem czy mamy w literaturze polskiej królewską nobilitację za bohaterstwo pracy.

A gdy zaczniesz, wędrowcze polski, rozmowy z ludźmi bohatorywieckimi — to usłyszysz inną opowieść, złączoną z tą miejscowością, mniej poetycką może, ale dla nazwy okolicy ważną. Oto tenże król, ten sam Zygmunt August, co ród Bohatoryrowiczów fundował, uderzony niezwykłą zwinnością na łowach tutejszych ludzi zawołał: „Przecież tu żyją same strzelce”. I oto powstało osiedle Samostrzelce z Bohatoryrowiczami zlane — przeinaczone na Samostrzelniki.

Do opowieści bohatoryrowickiej, ostaje nad brzegami Niemna, wśród czaru jego ram, dołącza Orzeszkowa fragment o tajemniczej mogile, w której spoczęli obok siebie dziedzic Korczyński i szlachcic chudopacholek Bohatoryrowicz. Jakżeż pamiętam szepty o tych mogiłach, co kryły w sobie bohaterów 63 roku, mogiły o których strach było głośno mówić — a które niewiadomo przez



kogo i kiedy umajane były kwiatami. Z mogiłami temi, zarzuconymi w lasach i piaskach nadniemeńskich, wiązały się nowe podania, rodziły się nowe legendy.

Czterdzieści parę lat minęło od czasu, gdy na głazie granitu skandynawskiego przy dworze w Miniewiczach, siadywała Eliza Orzeszkowa i zasłuchana w pieśni Niemna, snuła swe powieści nadniemeńskie o ludziach prostych, małych, a czujących głęboko. Potężny Packard, używany przez generała Berbeckiego, wiózł do Miniewicz i Bohatyrowicz trzech przyrodników polskich. Byli to Władysław Szafer, Władysław Kulczyński i ja; dwóch botaników i geolog. Wiodła nas tutaj inna wieść, a mianowicie znany w literaturze naukowej fakt, że w stromym brzegu Niemna, między glinami i piaskami leży pokład torfu, w którym spoczywają rośliny dawnych czasów — rośliny co były tu między dwiema epokami mrozu, czasami spętania ziemi naszej przez lodowce skandynawskie.

Pamiętam doskonale tę niezapomnianą chwilę. Staliśmy przed czarną skałą, odpreparowaną cudownie przez Niemen. Nad nami był grób Cecylji i Jana — u stóp naszych płynął Niemen, spokojny, zadumany, daleki od rozgwaru życia ludzkiego, ten kochany, jedyny na świecie Niemen. Coś mówił — coś szeptał — niósł gdzieś w dal — zdala przyniesioną swą pieśń — czarował.

Chwila zachwytu, stopienia się z przyrodą — potem opamiętanie, zwycięstwo instynktu przyrodnika — praca.

Zabieramy się do młotków i łopatek. Z niemożliwym do opisanego zapałem i uniesieniem wydobywał Szafer resztki roślin z torfu, stwierdzając ich przynależność gatunkową, z resztek storfiałych odtwarzając prastarą florę.

„Znaleźć muszę Brassenię” woła Szafer. Za Brassenią idą dalsze nowe żądania, a dobra ziemia polska z magnacką szczodrobliwością daje krakowskiemu uczonemu wszystko, o czym zamarzył. Plecaki napełnione drogocennym materiałem. Odchodzę od botaników, oglądając skały. U spodu pod torfem typowa szara glina morenowa — osad lodowca, przywleczony gdzieś z dalekiej Skandynawji, zmieszany z osadami miejscowymi, zagarniętymi po drodze. Nad torfami warstwy ilaste, osadzone w zimnym jeziorzysku przylodowem, martwem z powodu panującego w nim chłodu. Obiecuję sobie wrócić tu kiedyś — za rok, obejrzeć wszystko, odczytać te naturalne pismo przeszłości ziemi naszej — odtworzyć naturalną historję ziemi nadniemeńskiej.

Słońce zachodzi — wchodzimy na terasę, jeszcze raz patrzymy na Niemen, jeszcze jeden zachwyty — i Packard unosi nas do Grodna.

Rezultat wycieczki, poza niezapomnianą garścią wrażeń i odczuć, praca naukowa pierwszorzędnej znaczenia. Opracowanie storfiałych resztek w pracowni krakowskiej zezwala Szaferowi na mistrzowskie odtworzenie przeszłości.

Flora wydobyta z torfu, położonego między warstwami lodowcowymi, zrodzonymi w czasie panowania epok lodowcowych, ma wszystkie cechy flory cieplej, cieplejszej niż współczesna flora nad Niemnem. A więc oczywisty dowód, że czas, kiedy ona tu rosła, był czasem ciepłym, że klimat ówczesny był cieplejszym od współczesnego. Rósł tu las lipowo-bukowy, rozlewały swoje tonie ciepłe jeziora z bogatą florą wodną, wśród której królowała nieznana dziś w Europie Brassenia. A potem przyszło zimno, przyszły lody, podobnie jak były przedtem. Zamarła ziemia Grodzieńska pod ich całunem, by ożyć jeszcze raz później w dobie współczesnej.

I oto badania botanika krakowskiego nad florą i badania późniejsze już czysto geologiczne — odkrywają przed nami fragment historii ziemi, dają nam obraz przeszłości. Przed oczami naukowej wyobraźni staje najprzód obraz polarny, grenlandzki, śnieżne pola, bezludna biała pustynia. Cały olbrzymi kraj zamarły, stężyły w mrozie, pod parusetmetrową pokrywą lodową. Potem inny obraz, cofanie się lodów, ich topnienie, ocieplanie się klimatu, odpychanie ku domowi nieproszonego najeźdźcy. Nad dzisiejszym Niemnem rosną bogate lasy liściaste, króluje w nich buk i szerokolistna lipa, przeglądając się w wesołych jeziorach, na których wodach pływają kwiaty purpurowych nenufarowych Brassenij. I znowu czas się zmienia. — Znowu nadchodzi geologiczna zima, niosąc ze sobą zagładę ciepłej flory, przynosząc roślinność zimną, tundrową. Wreszcie wraz z zimnem, sunącym od północy, nadchodzą lody, by po raz drugi skuć ziemię polską potwornym pancerzem. Znowu panuje śnieżna martwota.

Lecz i to mija. Przychodzą czasy cieplejsze, coraz cieplejsze, współczesne. Lody giną. Wyłania się ziemia, osuszona, wraca z południa roślinność, rozwijają się lasy ze zwierza wszelakiego obfitością, — przychodzi człowiek, przychodzą nad Niemen Cecylja i Jan, zakładając ród Bohatyrowiczów.

Oto dwie opowieści, dwie historie nadniemeńskie w tem samym miejscu zrodzone, historia ziemi i historia ludzi. Jedna zachowana w piśmie przyrody, w skałach, druga w pamięci ludzkiej.

Legendę prostą i piękną wzięła Orzeszkowa za nić przewodnią swej powieści. Grób pionierów polskości w zapadłej puszczy nadniemeńskiej, a na drugim brzegu Niemna mogiła wśród boru



powstańców, oto dwa zręby idealizmu, dokoła których obracają się myśli Bohatyrowiczów za codzienną pracą i za głodem ziemi.

Wielu ludzi słyszało bezwątpienia opowieść o Cecylji i Janie, ale trzeba było dopiero Orzeszkowej, tej z nad Niemna samej, tej z Niemnem żytej — by stworzyć jedną z najpiękniejszych powieści o ludziach prostych — lecz dobrych.

Wielu geologów ze wschodu odwiedzało i opisywało odkrywkę w Bohatyrowiczach. Mówiła ona im tak mało, tak przeraźliwie mało. Dlaczego? Czy mieli mniejszy zmysł obserwacyjny? Sądzę że nie — że istota rzeczy leży w czemś innym.

Cudny jest Niemen w swej prostocie i bogactwie, w spokoju i sile, cudny i czarujący. I wierzę mocno, że strzeże on swych tajemnic, zawistnie je kryjąc przed obcymi. Ale gdy do niego przychodzi ktoś z gorącym ukochaniem ziemi własnej, swój — nie obcy, wtedy ten Niemen królewski tuli takiego przybysza do siebie i w poszumie swych fal nuci mu swoje tajemnice, szepce mu myśli twórcze.

Oto tajemnica Bohatyrowicz. Oto owe dziwne misterjum w świątyni przyrody. Spotkały się tu nauka i poezja i obie stworzyły czyny. Czy to dziwne? Czyż nauka wtedy, gdy odkrywa tajniki przyrody i odtwarza obrazy prastarej przeszłości nie jest najpiękniejszą poezją? Czyż polotem swej myśli nie staje ona w jednym rzędzie z natchnieniem artysty?

Jeszcze jedno. Przytoczyłem w słowach Orzeszkowej opowieść nadniemeńską. A takich opowieści i legend pełno nad brzegami Niemna i w puszczy nadniemeńskiej. Trzeba tam tylko iść i szukać.

Trzeba sięgnąć głębiej w istotę rzeczy. Trzeba iść do ziemi, do wód, do borów, wsłuchać się w ich życie, w tętno ich krwi i tam szukać tajemnicy odmienności i odrębności. Nie w kancelariach wojewódzkich, nie w pracowniach uniwersyteckich, nie na zebraniach z prezesami z urzędu, ale w ciszy borów, w baśni ludowej, w zwyczajach i podaniach ludzi cichych szukać należy źródeł do zrozumienia kraju i ludzi. Dwór polski z jednej strony, zaścianek szlachecki i wieś chłopska z drugiej, zrosnięte z ziemią i lasem, powietrzem i wodą tutejszą, kryją w sobie skarby nieznanne, ginące. Tutaj w legendzie i podaniu żyją często ciche bohaterstwa, jak bohaterstwo Cecylji i Jana, żyje pamięć czynów świetlanych i czystych, godnych stać się drogowskazami dla dzieci i starszych. W ich świetle dopiero staje w pełni obraz naszej ziemi, istotnie odmiennej od innych ziem polskich, w ich świetle zrozumiała się staje trudna nieraz do pojęcia psyche ludzi tutejszych.

W potwornym pośpiechu współczesnego życia, w opętanem kole niszczenia, pod opieką ludzi bez wczoraj i ludzi bez jutra, ginie to, co było najpiękniejsze — legenda przeszłości z przyrodą rodzinną związana.

Zniszczyliśmy przyrodę. — Dziś zakładamy rezerваты dla jej ochrony. Baczmy, by wkrótce nie trzeba było pomyśleć o rezerwach dla poezji ziemi naszej.

Ginie to, co najpiękniejsze. Ginę przeżycia i odczucia naszych dziadów, ich wierzenia i marzenia, ich odczucia natury — ginie sens ich życia. Jak pajęczyny babiego lata, efemerycznie w pewnym dniu rozsiane, tak błakają się owe złote myśli, sięgające w najistotniejszą treść tych rozległych ziem.



## LEGENDY WILEŃSKIE I NOWOGRÓDZKIE

Legendy są, jak polne chwasty: porastają najchętniej ruiny, brzegi jezior i wszelkie t. zw. uroczyska. Porównanie do polnego chwastu nie ma w sobie nic obraźliwego, wprost przeciwnie; niekiedy te intruzy, napozór niepotrzebne nikomu, potrafią być przesłizne. Wyrosnie sobie taki szurpaty chaber łąkowy do metrowej wysokości i okryje się cały ogromnymi różowymi gwiazdami, rozkraczy się oset liljowo kwitnący, wyolbrzymi się zwykajna kozia bródka w jakiś bajeczny słonecznik.

Tylko że nasze, tutejsze legendy przypominają raczej dzwonki leśne; są ciche i skromne, chowają się, każą się szukać. Nawet w miejscach swego stałego zamieszkania nie są znane powszechnie; trzeba się o nie starannie dopytywać. Dlatego są tak mało wykorzystane, choć stanowić mogą bogate źródło natchnienia dla regionalnej poezji i sztuki, o ile w dzisiejszych ciężko realistycznych czasach zechce jakakolwiek poezja i jakakolwiek sztuka zainteresować się rzetelnie niesamowitą cudownością rzeczy, o których się nie śniło filozofom.

Przed paru laty dr. Władysław Zahorski wydał, zebrane przez siebie, ważniejsze legendy wileńskie. Tyczą się one wyłącznie miasta Wilna i o tych, jako ogólnie znanych, nie będę tu wspominać. Zrobimy sobie raczej małą podróż po Wileńszczyźnie, pojedziemy, jak włóczęgi, z kąta w kąt. Tu się coś znajdzie, i tam, i dalej jeszcze... pójdziemy, rozglądając się dokoła.

Wyjdziemy z Wilna przez Śnipiszki i powędrujemy Kalwaryjską szosą. Werki ominiemy tymczasem; wiem o nich tylko tyle, że tu płakał porzucony w kolebce malutki Lizdejko i że od jego płaczu Werki swą nazwę otrzymały, bo ona po litewsku płacz znaczy. Idziemy prosto nad Zielone Jezioro. Oto zieleni się głęboko w dole, pod urwistym brzegiem. Trzeba zejść z gościńca i pójść ścieżką w las, a potem stanąć na skraju urwiska pod wiadomym dębem.

Dlaczego woda jest taka zielona? O tem nie znam żadnego podania. Wiem natomiast, że nazwa „Zielone jezioro“ została przypadkiem przez turystów nadana. Naprawdę nazywa się ono: „Krzyżaki“, tak samo, jak mała wioseczka na górze i mająteczek, który ongiś wchodził w skład klucza Werkowskiego. A nazywa się tak

naturalnie dlatego, że na dnie jego leżą potopieni Krzyżacy. Bili się tu, przed wieki, z Litwinami Witolda po chaszczach nadbrzeżnych, po lodzie, lód się pod ciężkimi rycerzami, pod zakutymi w żelazne blachy rumakami, załamał. Dawniej wyłazili po nocy na brzeg, albo późnym rybakom czepiali się wiosła i wciągali razem z łódkami pod wodę, ale teraz już przestali się pokazywać. Zastąpił ich ktoś godniejszy. Sam cesarz Napoleon. Wracało mu się tędy z nad Berezyny. Tak ludzie mówią. Mój Boże, gdyby chciał naprawdę przejeżdżać przez te wszystkie miejscowości, które sobie tego, w myśl podań, życzą, miałby ciężką robotę i kozacy dogoniliby go z pewnością. Ale nad Zielonem Jeziorzem przejeżdżał, jak przystało, karetą, a miał w skrzynce swoją cesarską koronę. Że kozacy byli już blisko—zatrzymał pojazd, zlął sam osobiście z urwiska i koronę w zielonej wodzie zatopił. Teraz na tamtym świcie, widocznie tego zbytniego pospiechu żałuje, bo zjawia się nad brzegiem jeziora od czasu do czasu i próbuje swój skarb zatopiony wyłowić. Napróżno. Przeszkadzają mu cienie pomarzętych i potopionych w Berezynie żołnierzy. Więc chodzi cesarz nieszczęsny tam i z powrotem nad wodą, ręce łamie i głośno wyrzeka. Ale wtedy zrywa się wielki wiatr i wyrzekania cesarskie głośny; dlatego nie słyhać ich zwykle na górze.

Jest też w Zielonem Jeziorze olbrzymi szczupak, stary, jak ono samo. Tylko wzdłuż jeziora pomieścić się może, gdy się w poprzek obróci, na jednym brzegu paszczę—ogon na drugim opiera. Ale nic złego nie płata, chyba jeżeli przypadkiem rybaczą łódkę potraci i zatopi.

Na t. zw. Werkowskim brzegu jeziora jest wioseczka „Raj“, a za nią drugie, małe jezioro, zupełnie krągłe, które się nazywa „Bezdenne“. Słyszałam o niem w dzieciństwie, że wcale dna nie posiada, bo przechodzi „skróś“ ziemi, od razu na antypody i gdzieś w Ameryce występuje, jako zupełnie identyczne jezioro. Druga tradycja mówi o niem, że się podziemnym kanałem z Trockiem jeziorzem łączy.

Po polach okolicznych biega Czarny Pies z płonącymi oczyma. Jest to naturalnie djabeł. Kto go zobaczy, a nie umrze od razu ze strachu, może liczyć na porozumienie z duchem ciemności, porozumienie, przynoszące, jak wiadomo, liczne korzyści. Trzeba tylko wytrzymać wściekły atak psa, galopującego prosto na śmiałka z paszczą pełną płomieni. Może w związku z tym psem szatańskim jedna z wsi niedaleko Zielonego Jeziora nazywa się „Pahuba“.



Na gościńcu, między Wilnem a Niemenczynem, o jakie 17 kilometrów od miasta, pośrodku dużego sosnowego lasu, leży stos chrustu i zielonych jeszcze gałęzi sosnowych. Leży tam zawsze i niezmiennie, czy zimą czy latem, w szerokim kręgu starego zgłiszcza ułożony. Ktokolwiek tamtędy przechodzi lub przejeżdża, musi urwać gałązkę sośniny i na stos dorzucić. Od czasu do czasu, gdy stos już jest dość duży, ktoś go podpala; poczem cały ceremoniał zaczyna się od nowa. Jeżeli nie podpali człowiek—podpali niewidzialna ręka. Tak być musi, bo to stos Mierzlaka. Mierzlak potrzebuje się ogrzać, inaczej po wsiachby łaził i przejezdnych na gościńcu straszył. Mierzlak był za życia studentem na wileńskim uniwersytecie. Był bardzo biedny i nie stać go było na furmankę, a chciał się dostać do rodziców na wieczór wigilijny, na kucję. Rodzice mieszkali gdzieś pod Niemenczynem. Działo się to w roku Pańskim 1812, kiedy mrozy niebывałe dziesiątkowały Wielką Armję. Mierzlak nie zważał na mróz, wybrał się z Wilna piechotą, noc zaskoczyła go w lesie. Siadł pod sosną i zmarł, tak jak był, bez spowiedzi i pokuty, co jest przyczyną, że teraz mierzlakuje po gościńcu i jest postrachem ludzkim, on, skromny student. Ale jeżeli stos w porę podpalić, szczególnie ważne to jest zimą, ma się zapewniony spokój.

Co do przejezdnych i przechodzących, poleca im się gorąco o gałązce nie zapominać. Niedbałość taka sprowadziłaby napewno kłopot jakiś na najbliższej mili. Albo koło spadnie, albo koń nogę złamie, albo nawet człowieka spotka zła przygoda. A już najgorzej wykpić Mierzlaka: nietylko nie dorzucić gałązki, ale jeszcze umotywować to jakoś nieprzystojnie. Katastrofalny wynik zamierzonej podróży w takim wypadku nieunikniony.

Teraz przeskoczmy sobie aż do Postaw. Trochę daleko, ale co nam to szkodzi? Jest tu parę ciekawych rzeczy do usłyszenia.

Dobra Postawy w roku 1480 i którymś zostały przez króla Aleksandra Despotom - Zenowiczom nadane. W XVII wieku jeden z dziedziców tego rodu miał spór zastarzały z sąsiadem, Biegańskim z Józefowa. Widocznie chciał się pomścić za jakąś krwawą obelgę, bo udał obłudnie zgodę i sąsiada z rodziną na ucztę niby pojednania do Postaw zaprosił.

Biegański był widocznie dobroduszniejszy, bo dał się nabrać. Gdy już kielich niejeden spełniono—Zenowicz miłych gości na teras pałacowy wyprowadził i ukazał im w dali płonący Józefów. Hajducy, ukradkiem posłani, dopełnili dzieła pomsty.

Na początku XIX stulecia Postawy należały do Tyzenhauzów. Z tych czasów datuje podanie o pannie Tyzenhauzównie, co chciała

popęlnić jakiś bardzo gorszący mezaljans z oficjalistą. By temu przeszkodzić, brat jej, Konstanty Tyzenhauz, ówczesny właściciel Postaw, więził ją w pałacu. Zrozpaczona dziewczyna wydarła się kiedyś strażom i do studni w parku skoczyła. Bardzo jest niewyraźne to podanie: można się trochę domyślać, że miły braciszek kazał pocichutko sprzątnąć swojego niedosłego szwagra i to wywołało rozpacz i samobójstwo panny. Nieszczęsną studnię zasypano tak, że śladu po niej nie zostało, nie uspokoiło to jednak ducha samobójczyni. Nocami chodzi po przyległej alei wzdłuż kanału, łamie ręce i wzdycha. Można ją spotkać o późnym zmierzchu, szczególnie jesiennym i w niepogodę. Ale nie jest groźna. Raczej sama od ludzi ucieka i kryje się za drzewa z przenikliwym lamentem.

Jej brat i morderca, hrabia Konstanty Tyzenhauz, magnat pyszny i możny, dla Postaw zrobił dużo. Były tu za jego czasów tartaki i młyn, wrzało życie, był ruch. On to pałac z jeziorem, właściwie olbrzymim stawem na rzece Miadziołce, kanałem połączył i tamtędy, łodzią, co niedziela jeździł na sumę do Fary. Jeździ i teraz, po nocy, zarosłym płytkim kanałem, do granic parku. Dalej nie może, bo w miejscu, gdzie przecina gościniec, kanał zamulał zupełnie i nawet upiora na widmowej łodzi nie przepuści.

Z Postaw już niedaleko do litewskiego morza, do jeziora Narocz. Widziałam je kiedyś w bardzo cichy i odrobinę zamglony letni dzień. Wody Narocza były wówczas ślicznie srebrzyste, a jezioro leżało spokojnie, jak olbrzymia tafła szklana. Brzeg przeciwny tonął w mgłach, zupełnie był nie widoczny, a kilka mew, siedzących na kołach wierzbowych u brzegu, dawało morską dekorację. Tu gdzieś, około Miadzioła, miał szlachcic dwór nad samym brzegiem jeziora. Okrutnik był dziki, dla poddanych kat nieludzki, znieawidzony powszechnie. Sąsiedzi go też nie lubili, bo ciągłymi procesami i zajazdami niejednemu sadła zalał za skórę. Bóg mu nie błogosławił, w czem nie masz nic dziwnego. Odmówił mu potomstwa. Ów zasię ogromnie pragnął mieć syna. Prosił Boga na wszelkie sposoby: kaplicę we własnym ogrodzie wystawił, kapucynom w Starym Miadziole hojnych darów nie szczędził... Ale że przytem trybu życia nie zmieniał—modły nic nie pomogły. Zwątpiwszy tedy o łasce niebios wszedł w pakt z Duchem Nieczystym. Zły—jak to Zły. Stawił się rad na zawołanie. Prawdopodobnie na jakiś urwisty, ustronny brzeg jeziora, prawdopodobnie w dziką wichurę, we wijugę przeklętą, kiedy rozszalała fale Narocza wzdymały się i rozbijały o brzeg.



Podobno Szatan duszy i tak w grzechach zatwardziałej nie zażądał; był snąc pewien, że ten łup go nie minie. Uprzedził tylko, że dziecię z pomocą piekielnych władz urodzone, przyniesie ze sobą na ziemię zbrodnię i śmierć. Wyrodny ojciec zgodził się na straszliwy warunek. W dziewięć miesięcy rzeczywiście urodził mu się syn, a żona, wydając syna na świat, umarła. Przepowiednia djabełska sprawdzała się widocznie, ale ojciec szalał z radości. Stało się jednak, coś w rok niespełna, że piastunka wzięła dziecko w nocy do swojego łóżka, zapewne, by uspokoić rozpłakane, usnęła i, śpiąc, maleństwo przypadkiem zadusiła. Niepomamowany w gniewie okrutnik kazał niańkę żywcem zakopać nad brzegiem Narocza, tak, że głowa tylko wystawała. Rozpaczliwe krzyki nieszczęśliwej zgromadziły całą wieś. Kapucyni ze Starego Miadzioła przyszedli z procesją do starego dziedzica prosić o zmiłowanie. Piekielnik ani słuchać nie chciał, po kilku godzinach niańka w okropnych męczarniach skończyła. Ale gniew Boży nie dał na siebie czekać. W rocznicę ohydnej zbrodni umarł ów szlachcic, przynajmniej uznali go wszyscy otaczający za umarłego. Więc w grobach rodzinnych, pod kaplicą cmentarną, z wielką pompą pogrzebion. Pierwszej nocy po owym pogrzebie stróż cmentarny słyszał głuchy łoskot, jakoby jęki dochodzące z grobowego lochu. Przekonany, że to szatani stawili się po duszę sobie przynależną—uciekł śpiesznie. Nazajutrz udano się do podziemi: poszedł miejscowy proboszcz, krewni nieboszczyka i tłum ciekawych. Znalezione ciężką trumnę dębową, zrzucaną z podstawy na posadzkę lochu, a wewnątrz, po jej otwarciu, okropnie skręconego trupa. Nieszczęśnik był w letargu i żywcem został pochowany. Bóg w sprawiedliwości swojej dał mu śmierć taką, jaką on biednej niańce zgotował. Niedość na tem. Rozgniewane jezioro wzburzyło się, wzdęło, wystąpiło z brzegów i dwór potępieńca zalało tak, że niema już dzisiaj i śladu przeklętego gniazda. Niedobrze jeździć tamtędy nocą. Niańka, mimowolna zbrodniarka, zapewne bez spowiedzi zamęczona, krzyczy po nocach na brzegu, lamentuje rozdzierająco, przeklina... A tam, gdzie była ongi kaplica cmentarna, czarci z potępionym szlachcicem wyprawiają piekielne harce. Słychać jęki, zgrzytania, brzęk łańcuchów, czarcie śmiechy, i wszelkie takie nieprzyjemne rzeczy. Szczególniej źle i niebezpiecznie jest w każdą rocznicę zbrodni, bo jezioro Narocz występuje z brzegów, a potępieńce usiłują wciągnąć w otchłań wodną śmiałka, coby chciał przejść, lub przejechać tamtędy.

Taka jest stara legenda, ale są i nowe. Natchnęła je Wielka Wojna.

Długo stała na tym pasie ogromnych jezior, poryła okopami brzegi, oplątała drutami kolczastymi, zasypała dna jeziorne tysiącami pocisków, wybrukowała je ludzkimi czaszkami. Zmagała się tu Rosja z Niemcami, przez długie miesiące; bitwy były tak mordercze, że nieraz woda barwiła się na różowo, a konie i bydło, aż po rok 19-sty pić jej podobno nie chciały. Narocz, Miastro, Miadzioł, Dołża chowają na dnie całe bataljony szkieletów. Wszystkie one w burzę wyrzucają na brzeg czaszki i piszczele, jakby się pozbyć chciały straszliwych mieszkańców podwodnych. Dołża ma całą baterję niemiecką z armatami, jaszczkami, końmi i obsługą. Tak, jak była — poszła pod lód, bo lód rosyjskie pociski rozbiły.

W bezwietrzne, bardzo pogodne dnie, kiedy woda jest przezroczystą, widać ją z łódki, głęboko, z wodnej otchłani, widać, jak szkielety ludzkie i końskie chwieją się dokoła niej i poruszają, niby żywe. Żaden rybak w tem miejscu sieci nie zarzuci, bo wie, że, zamiast ryb, złowilby szkielet; mało tego. Ten szkielet tak długoby się potem zwidywał i straszyl, aż go niefortunny łowca po raz drugi w toni odnajdzie i uczci stosownym pogrzebem. Chyba, żeby się domyślił odrazu złożyć złowiony szkielet z nabożeństwem do łódki i przewieść na cmentarz.

W rocznicę bitwy, o samej północy, wyjeżdża na zamarzną Dołżę widmowa baterja. Trzykrotnie okrąży jezioro i znowu zapada pod lód. Kto ją zobaczy—w przeciągu roku utonie. Dlatego nadjeziorni mieszkańcy zamykają się w swoich chatkach tej upiornej nocy i światła nie palą. Nużby jaki nieboszczyk kościwą ręką do okna zapukał? Więc cisza wszędzie, tylko szaleje zimowa wijuga, śnieg przesypuje się z cichym szelestem i dudnią koła upiornych armat po zamarznietym jeziorze.

Snów w Nowogródzkim należał przed laty do Rdułtowskich. Gdzieś, w końcu XVIII wieku zdarzyło się w tym rodzie, że dwoje rodzeństwa, brat i siostra, wychowywało się oddzielnie i nie znało się wcale. Zobaczyli się po raz pierwszy dopiero, gdy już byli dorośli, tak, jak Stanisław i Anna Oświęcimowie. Oboje byli bardzo piękni i pokochali się w sobie wzajem ku własnej niewymownej rozpacz. Długo walczyli ze zbrodniczym uczuciem, aż mu ulegli. Wówczas odsunęli się od nich przerażeni sąsiedzi, zarosła chwastami i piołunem droga do ich domu wiodąca, nikt nie powitał ich dobrem słowem. Ale oni dla siebie tylko żyli i ludzi nie potrzebowali. Taki stan rzeczy trwał przez lat kilka. Przyszło na świat kilkoro dzieci i przekleństwo ludzkie jęło sięgać ich niewinnych główek; nic się nie wiodło, jędza choroba nie wychodziła z domu.



Wreszcie zgnębieni Rdułtowski udali się do Rzymu i tam do nóg Papieżowi upadli, prosząc o zmiłowanie. Papież zezwolił na ślub, z tym jednak twardym warunkiem, że winowajcy zaraz po ślubie rozjadą się w dwie strony świata i nigdy się już więcej nie zobaczą, co uroczyscie poprzysięgli. Miłość jednak silniejszą była nad przysięgi wszelkie. Z zezwolenia Papieża ślub wzięwszy w jakiejś ustronnej rzymskiej kaplicy, znowu razem do domu powrócili. I znowu pędzili życie wspólne, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok spełnienie przysięgi odkładając. Aż wyczerpała się widać sprawiedliwość Boża.

Przyszła zaraza i w ciągu dni paru dzieciątka Rdułtowskim wybiła. On sam zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku na polowaniu; siostra-żona powiesiła się z rozpacz.

Pochowano ich bez żadnych uroczystości żałobnych, w niepoświęconej ziemi. Zdawałoby się, że znaleźli nieszczęśni męczennicy upragnioną ciszę. Ale kara Boża sięgnęła śnać poza grób. Rodzina Rdułtowskich włóczy się nocami po opuszczonym dworze. Dzieci piszczą i oczkami świecą, jak zielonemi ognikami. Rodzice jęczą i wyrzekają, czepiają się sukien wypadkowego przechodnia i błagają o modlitwę pozgonną. Snów jest nadal przeklęty. Dwór stary stoi pusty i opuszczony, nikt się tam mieszkać nie waży.

Z trzecich ust, niestety, słyszałam opowiadanie, które poniżej przytoczę. Dlatego może, że z ust trzecich, nie jest ono dokładnie umiejscowione, ani związane z żadnym nazwiskiem. Choć może to i lepiej, bo historia jest tak ponura, że niech lepiej pozostanie bezimienną.—Rzecz tak się miała:

Jakaś pani z dwojgiem małych dzieci przyjechała na wieś do znajomych swoich, gdzieś na pograniczu Nowogródzkiego i Polesia. Dano jej do dyspozycji pokój gościnny, przyległy do ogromnej trochę staroświeckiej jadalni. Wieczór zeszedł wesoło, nie mówiono o niczem upiornem, nic nie dawało powodu do lęku. W nocy jedno z dzieci, śnać niezdrowe trochę, rozgrymasiło się i zbudziło matkę. Musiała wstać i usiąść przy łóżeczku. Była właśnie najgłębsza noc, zaraz po północy, kiedy cały świat śpi najmocniej. Jest to moment, kiedy ostatnie, najniewidzialniejsze, najsubtelniejsze odblaski zorzy wieczornej już pogasły, a te najpierwsze, przedświtowe, jeszcze się nie zapaliły. Moment najgorszy, bo najbardziej złym mocom sprzyjający. O tej właśnie, a nie innej godzinie wyłażą z piekła wszystkie piekielniki.

Ale owa matka nie myślała o tych rzeczach, pochylona nad swoim chorem dzieckiem. Nagle w głęboką ciszę śpiącego dworu

wpadły głosy skłócone, swarliwe, nabrzmięte groźbą i gniewem, a jednocześnie głucho, jakby stłumione. Ktoś się kłócił ostro w sąsiedniej jadalni. Słuchająca, zdziwiona niezmiernie, chciała wstać i zajrzeć do jadalni, ale wstrzymała się zaraz. Pomyślała, że może to jej gospodarstwo załatwiają tak dziwacznie, po nocy, swoje wzajemne porachunki i że wtrącać się nie wypada. Tymczasem tajemnicza rozmowa stawała się coraz burzliwszą. Głos kobiecy skarżył się i zawodził rozpaczliwie, zmieszane głosy męskie groziły... potem drzwi prowadzące do sieni stuknęły, za chwilę pod oknami rozległ się tętent, zaturkotał ciężki pojazd, a jednocześnie psy podwórzowe zawyły tak złowieszczym chórem, że przerażona owa dama wtuliła się pod kołdrę i długo ochłonać nie mogła. Nazajutrz rano przypomniawszy sobie nocną przygodę i opowiedziała gospodarzom. Nie zdziwili się wcale, ale, po krótkim ociąganiu, opowiedzieli wzajem, jak to było.

Mieszkała w tym dworze, przed bardzo dawnymi laty jakaś specjalnie zbrodnicza rodzina. Zaczęło się jak w „Liliach”: pani zabiła pana. Zaco? milczy legenda. Zapewne była w tem na dnie jakaś grzeszna miłość. Zabiwszy pogrzebała w ogrodzie dworskim. Ale zamordowany, w chwili konania, rzucił na nią straszne przekleństwo. Wiadomo, że takie przekleństwa realizują się zawsze. Zbrodnicza żona przez długi czas pożywała w spokoju owoce swej zbrodni. Dopiero, gdy dwaj synowie wyrosli jej na złoczyńców pierwszej klasy—poczuła na sobie ciężar przekleństwa. Poczęły się zatargi o dziedzictwo ojcowe, potęgowały się, aż doszły do wzajemnej nienawiści. Skończyło się na tem, że synowie wygnali starą matkę w nocy z domu w burzę straszną, w zawieruchę okrutną, że iść musiała, bezradna, w puszcę ze wszech stron ten dwór otaczającą. Dawnymi laty się działo. Zwierz dziki gęsto po ówczesnych lasach się włóczył. Pioruny biły w odwieczne chojary, w stuletnie dęby puszczy. Może pod dębem szukała schronienia i piorun ją złotą strzałą zastrzelił. Może ryś z chojaru na pierś skoczył... Dość, że nikt o niej więcej nie słyszał, a przekłęci synowie teraz z kolei używali dóbr, pozostawionych im przez przeklętą matkę. Niedługo to trwało. Przekleństwo wisiało nad nimi.

Starszy zginął w bójce karczemnej z przejezdną szlachtą. Młodszy powracał raz z podróży poszóstną karetą. Niedaleko domu, na zakręcie, poniosły przerażone konie, karocę w drzazgi rozbiły i na podwórzec dworski wpadły, wlokąc za sobą między szczętki pojazdu zaplątane, zniekształcone okropnie zwłoki swojego pana. W ten sposób obaj bracia zeszedli bezpotomnie i gwał-



townie z tego świata. Przekleństwo uczepliło się dworu. Majątek przechodził z rąk do rąk, a każdy jego nowy właściciel kończył śmiercią tragiczną. Z biegiem lat rozszalałe duchy złagodniały widocznie, bo już nie mordują nikogo. Tylko we dworze wciąż straszy. Snują się po nocy osoby krwawego dramatu i odegrają upiorne sceny aż do świtu.

HELENA ROMER-OCHENKOWSKA

## B A Z Y L J A N I E

„Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże  
na niebie, zapomnij o mnie”.  
*Dziady. Część III.*

Dziwne i straszne przechodziło społeczeństwo polskie na Litwie koleje. Jeśli nie upadło, nie wynarodowiło się i nie zniknęło do ostatka przy tyloletnich i tak wyrafinowanych systemach demoralizowania, zawdzięczać to należy w pierwszej mierze specyficznym własnościom charakteru tych Polaków o krwi litewsko-białoruskiej, oraz napięciu prześladowań. W truciźnie, którą rząd rosyjski wszczepiał przez lat 125 w organizm społeczeństwa litewsko-białoruskich gubernij, były jakieś antytoksyny, zabijające zarazki niewoli. Nie każdy tę próbę wytrzymał. Dla wielu organizmów słabszych duchowo była to zagłada honoru i narodowości, ale jakże przeważająca liczba reagowała zbiorowym odporem! Tym silniejszym, im silniejszą była doza ucisku, zepsucia i przekupstwa. Krótkowzroczna polityka rządu rosyjskiego, szykanami, niszczeniem kultury kraju, prześladowaniem katolicyzmu, burzeniem rodzin, przez ciągłe śledztwa, więzienia i wygnania, w zamiarze zduszenia „kramoły polskiej”, właśnie podsycala ją nieustannie w sercach prześladowanych i coraz większą niechęć do Rosji i Rosjan budziła. Że nie było jej w tym stopniu co później, na początku panowania Rosji po rozbiorach, o tem smutnie świadczą hołdownicze czyny z końca XVIII w.\*)

Insurekcja Kościuszkowska, kampanja Napoleona i związane z nią nadzieje połączenia Litwy z Koroną, proces Filaretów, w 1823 r., wojna 31 roku niefortunnie o mury Wilna rozbita, spisek Konarskiego w 36—39 r., spisek Braci Dalewskich w 48 r., wreszcie straszliwy rok 63 i potworne represje Murawjewa, dodane jako finał do „pędzenia przez strój”, głodzenia i męczenia więźniów przez wszystkie komisje śledcze, które działały nietylko w chwilach wyraźnych „buntów”, ale i międzyczasie, wszystko to z jednej strony zadławiło w społeczeństwie polsko-litewskim chęć do walki zbrojnej, ale wykopało nieprzebytą tamę między zwycięzcami a zwycięzcami.

\*) Patrz Mościckiego Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi.



Gdy się zagłębić w one czasy, ciągłych knozań i śledztw, emisariuszy i policmajstrów, tajnych zebrań i „doprosów”, więzień, wywożenia „partji”, egzekucji skazańców, żałoby, niepokoju, łez młodych żon i starych matek, sieroctwa dzieci, których ojcowie ginęli gdzieś w dzikiej Rosji lub białym Sybirze w tęsknocie za rodziną i pięknymi dworami, pełnymi gości, krewnych, dobrobytu i wesela, gdy czytać owe tomy korespondencji, sążni-nych listów z wygnańcami, bytującymi po lat kilkanaście i kilkadziesiąt o tysiące mil od swoich, gdy się w to wszystko wmyśleć, ogarnia zdumienie: jak to społeczeństwo mogło żyć? Jak potrafiło się obronić? Jak odosobnić, przystosować, i niby pokrajany, kaleki organizm, spełniać jednak prawem nieśmiertelności gatunku swe funkcje codziennych konieczności. Ba, rozrastać się, bawić nawet, i coś nie coś skrycie, w tajemnicy organizować, pamiętać, uczyć... mimowoli już prawie... przygotowywać... Tłało pod popiołami zawsze. I cóż dziwnego? Tym chłopcom chodzącym do rosyjskiego gimnazjum, nie mającym prawa słowa wyrzec po polsku w publicznym miejscu, nie tajnym było jaką śmiercią ginęli ich krewni starszego pokolenia. Jeśli nie książki zakazane, jeśli nie ludzie, trwożliwi lub zapominający coraz bardziej, to mówiły o tem same kamienie i mury Wilna. Mówiły kościoły zamienione na cerkwie, klasztory, z których zrobiono więzienia; świątynia nauki ojczystej, wszechnica Batorowa, rozbrzmiewająca gimnazjalną nauką rosyjską. Tam więc właśnie, wsłuchując się w mowę murów i kamieni, rósł przyszły mściciel tych długich krzywd, przyszły wódz Niepodległej Polski, Józef Piłsudski.

Nie zdaje mi się dziełem przypadku że wyszedł On stąd, a nie z innego miejsca na ziemiach Rzeczypospolitej. Każdy kamień w Wilnie, każda piędź ziemi na Litwie, wołała ku niebu jak krew Abła o karę. Musiało być to wołanie usłyszane, musiało prawem psychicznym być najsilniejsze moralnie, prawem ciężenia zerwać tamę i runąć z miejsca, gdzie najbardziej gniozło, na głowy nieopatrznych a dumnych i pewnych siebie władców. W historii więzień wileńskich (której nikt jeszcze nie opracował), Bazyłjanie zajmują miejsce osobliwe. Jestto mistyczne mauzoleum duszy polskiej. I to w sposób dziwnie zaiste wszechstronny. Bo i polityczne wspomnienia, chęci uwolnienia się od najeźdźców, (więzieni tu byli Polacy w 1794, 1832—38) i literackie (Filareci w 1826), zamykają się w tych murach, promieniujących od stu lat na całe polskie społeczeństwo najszlachetniejszą ideologią Zana, genialną wizją Mickiewicza i głęboko humanitarną ideą Konarskiego.

Jakiż w tem nieobjęty paradoks! Z monasteru i cerkwi św. Trójcy,

eremu w XIV w. przez Juljanę Twerską W. Ks. Olgierdową—fundowanego, szedł przez cały wiek XIX na całe polskie społeczeństwo promień wspomnień, kordjał cudowny, zawarty w poezji tak pięknej i silnej, jakiej trudno równej znaleźć w dziejach literatury świata. Szły opowieści z pokolenia w pokolenie; w tych murach umieli cierpieć, wytrwać i umierać... Takiego Panteonu narodowego jak my mamy u Bazyłjanów, nie posiada żaden naród. Działy się tam, w tych gmachach ruskiej kultury, przedziwne misterja polsko-litewskich Dziadów ku wiecznemu pokrzepieniu serc wnuków. Rzecz dziwna i pouczająca. Nie z czynu orężnego, nie ze zwycięstw, które się w klęskę obróciły, nawet nie z postaci historycznych wodzów buduje się rząd dusz polskich na długie pokolenia. Nie Hotel Lambert w Paryżu, nie późniejsi posłowie polscy w parlamentach państw zaborczych dają kierunek myśli i charakterom. Rządzi od lat stu, zdarzenie dość w Rosji popolite: garść szlachetnej młodzieży zamkniętej w murach klasztoru-więzienia. Tu, w tym kompleksie gmachów, nad tym dziedzińcem zarosłym trawą, pod takimi drzewami, w tych zbiorowiskach cegieł i kamieni unosi się od lat stu niewidzialna potęga jednej nocy natchnienia poety-patrioty i promienieje na pokolenia.

Tu się urodziła. Stąd wyszła siła młodzieńczego ducha, którą się jak eleksirem nieśmiertelności karmić odtąd miało wszystko, co w Polsce i Litwie było szlachetnego. Powrót organizacji polskiej do tych murów, i to właśnie Związku Literatów, t. j. ludzi mogących zapewnić pamiętkom należną cześć i opiekę, a tradycji ciągłość i ożywczą twórczość, wydaje się nam zdarzeniem nader szczęśliwym i znamionem.

\*

Teren objęty przez mury Bazyłjańskie to arena walk Wschodu z Zachodem prawie od chwili ich wzniesienia.

Legenda ruska opiewa (Kronika Czestij Minei), że trzech dworzan W. Ks. Olgierda, Kuhlej, Michlej i Niżyłło, pod wpływem Nestora, kapelana W. Ks. Marji Jarosławówny witebskiej, pierwszej żony Olgierda, przyjęło chrzest i imiona Jan, Antoni, Eustachy. Kapłani pogańscy mieli ich na rozkaz Olgierda umęczyć i na dębie 13 grudnia 1347 r. powiesić, tam właśnie gdzie dziś stoi cerkiew Troicka.

Druga żona Olgierda, Juljanna twerska, matka Jagiełły, funduje na tem wzgórzu od drogi miednickiej cerkiew i erem drewniane dla zakonników wschodniego obrządku, który sama wyznawała.

Oto wschód pierwszy krok na tej ziemi postawił.



Ale męczeństwo Franciszkanów rzymskiego obrządku w 1385 r. i ich świątynia zachodniem tchnieniem rywalizuje niejako z niemi. W XVI wieku drewniany klasztor i kościółek czerńców rozbudowuje wspaniale, w gotycką świątynię, Konstanty Ostrogski, książę ruski, pogromca „Moskwy” pod Orszą i Kropiwną, a zarazem fanatyczny obrońca swego wyznania, przywilejów i odrębności Litwy i Rusi wobec Korony, więc znów w jego osobie starcie się dwóch kultur, dwóch wpływów.

Buduje więc książę rusko-litewski ów Troicki Monaster i oparza bogato mnichów wschodniego obrządku w 1514 r.

W epoce Jagiellonów wolne i nie krępowane rozkwitały w Rzeczypospolitej wszystkie wiary i narodowości. Ale przychodzi zmierzch elekcyjnych Królów i ponure rządy Zygmunta III Wazy. Po Unji brzeskiej, polityką króla i wszechwładnego duchowieństwa katolickiego z jezuitami na czele, było wzmocnienie wyznania grecko-katolickiego, czyli Unji. Odbierano więc w Wilnie wszystkie świątynie wschodniego obrządku „dyzunitom” i oddawano je nowemu wyznaniu, które się coraz silniej szerzyło, dzięki działalności Bazylianów, którzy mieli do 47 klasztorów na Litwie i Rusi. Prowincja Litewska pozostawała pod wezwaniem Św. Trójcy, Białoruska Św. Mikołaja. Zawrzała walka Wschodu z Zachodem! Mnisi obu obrządków starają się odbierać sobie tereny, kościoły, nadania! Prawosławni (dyzunicy) wygrawszy proces ruszają pochodem na Bazylianów, chcąc odzyskać Troicki Monaster, a z nim cudowny obraz Odigitriji (Bogarodzicy) pędzla ewangelisty Łukasza, dar Iwana Groźnego córce Helenie, żonie Aleksandra Jagiellończyka, jej tutaj grobowiec, oraz szczątki męczenników Jana, Anastazego i Eustachego.

Przyszłoby może do walki krwawej, ale stał się cud... Prawosławni spotkali u bram Monasteru Św. Bazylego z męczennikami sebastiańskimi i ci... nie chcieli wpuścić dawnych właścicieli! Przeważeni schizmatycy uciekli!.. Zachód zwyciężył. Sam Król Zygmunt III tak był tem zdarzeniem przejęty, że skasował dekret trybunału przyznający prawosławnyemu te gmachy i całą posesję darował na wieczne czasy Bazylianom<sup>1)</sup>.

Na wieczne czasy..? Przeszło paręset lat i już było zgoła inaczej, już się znów na inną stronę obrócił los Cerkwi i Klasztoru.

Krwawe są dzieje Unji: prócz znanych męczenników czczonych w ołtarzach, jak jezuita Andrzej Bobola i Józefat Kuncewicz, ten ostatni ściśle z Bazylijańskimi murami związany, gdyż tu przeby-

<sup>1)</sup> Patrz J. I. Kraszewski, Wilno, III t. str. 69 i 70.

wał i rządził jako Archimandryta, nim go w Witebsku w 1623 r. umęczyła „Moskwa” za gorliwe szerzenie Unji; prócz walk w Sejmie, szykan wzajemnych, ileż straszliwych, potwornych miało to wyznanie zdarzeń. Na Podlasiu w latach 1870-76 pod nahajami kozaków krwią spłynęły wioski nadbużańskie. Ogniem, wodą, lodem, szablą i różgami wytracała dzika „Moskwa” tych polskich chłopów ruskiego obrządku, fanatycznie przywiązanych do swego wyznania<sup>1)</sup>. Na Białej Rusi ileż tragicznych było zdarzeń, rozsianych w pamięci ludzkiej i nielicznych utworach<sup>2)</sup>.

Na Litwie stało się inaczej. Kasata Unji i Zakonu Bazylianów w 1827 r. nie dała powodu do krwawych zająć. A przecież Zakon był potężny, miał niezmierzone zasługi w dziedzinie szkolnictwa, oświaty, miał swoją drukarnię (od 1628-1839), rozpowszechniony był w całej Litwie. Nikt wyznania ani Zakonu nie bronił, a likwidatorzy Unji, Siemaszko, Tupalski, Homolicki et consortes, byli tak zręczni, że bez krwi rozlewu na łono matuszki Rosji przeprowadzili tysiące dusz i olbrzymie dobra kościelne<sup>3)</sup>.

Wschód zwyciężał. Ale niebawem zaczęły się rodzić owoce tego zwycięstwa. Już w 1797 r. świeżo zainstalowany rząd rosyjski, odkrył spiszek sprzyjający Legjonom Dąbrowskiego na którego czele stali przeważnie księża (Dąbrowski, Ciecierski, Ziołkowski) przeorzy klasztorów. Stanisław Judycki, uczeń Pijarów i syn generała, kapitan Ciecierski, Michał Grabowski adwokat wileński, Czarnowski rządca domu biskupa Łopacińskiego, bracia Siostrzewitowscy z Kobrynia, pisarz i rejent Kondratowicz i Paździerski, ks. Wacław Ziołkowski kap. klasztoru Benedyktynów w Wilnie, przeor Dominikanów w Wilnie, (zostawił ciekawe Pamiętniki wyd. we Lwowie 1865 r.) i dusza organizacji ks. Aureliusz Dąbrowski, przeor Trynitarzy w Beresteczku na Wołyniu, wszyscy zostali uwięzieni za wysyłanie b. oficerów wojsk polskich do Legjonów Dąbrowskiego.

Zapełniły się po raz pierwszy mury Bazylijańskie nowego rodzaju męczennikami, za sprawę narodową polską. Posypały się straszliwe dekrety: wrywanie nozdrzy, piętnowanie, knuty, „uła-

<sup>1)</sup> Nowele Domańskiej M.

<sup>2)</sup> Patrz ks. Pruszkowskiego Martyrologium Unii na Podlasiu. Kraków 1905 r. pisane w 1883.

<sup>3)</sup> Dzieje te mało znane, opracowuje w szeregu książek (Placyd Janowski, Zmierzch Unji Kościelnej na Litwie i Białej Rusi) wilnianin, p. Walerjan Charkiewicz, członek Związku Literatów Wileńskich. Z dawniejszych prac patrz ks. Likowskiego: Dzieje Kościoła Unickiego na Litwie i Rusi. Poznań 1880 r. A. Wernicki: O prześladowaniu Kościoła Unickiego. Lwów 1869. Ks. Wacław Chotkowski: Dzieje zniweczenia Unji. Kraków 1899.



skawienie” cesarskie dało skazanym wieczną katorgę i degradację kapłanów, której dokonał bez protestu zwolennik Rosji metropolita Sistrzeńcewicz. (Patrz W. Charkiewicz: Zmierzch Unji Kościelnej).

Nowy rozdział Murów Bazylijskich został napisany. Walka wschodu z zachodem — Polski z Rosją wszczęta od nowa. Inni mieli rycerze występować do boju. Nie pancerne hufce Żółkiewskiego lub łanowa piechota Batorego i nie zastępy mnisze czernców przeciw Bazylianom z Jezuitami w aliansie. Teraz ruszyły do walki bez pardonu bandy szpiegów, policji, urzędników chciwych zysków, „diejatieli” rozmaitego, a najgorszego gatunku, zaś z drugiej strony, księży świeccy i zakony, młodzież wojskowa, uniwersytecka, szlachta bogata i biedniejsza, a potem lud Litwy i Żmudzi w 63 roku, w Krożach w 1896 r., wreszcie wileńska ludność w 1919—20 r. Wszystkie stany ziem litewskich stanęły do zaciętego przeciw wschodnim najeźdźcom oporu, który miał trwać lat sto z okładem.

A wiele, wiele epizodów tych walk rozegrało się w murach Bazylijskich. Potężnym hymnem odporu zabrzmiały w 1823 r. głosy więzionych tam Filaretów. Drogie, niezapomniane imiona, związane z pamięcią postaci Mickiewicza, Zana, Czeczota, ks. Lwowicza, Frejenda i in.

Promieniści w walce z duchami ciemności... Tam się ta bitwa na serca rozegrała, a zwyciężeni, wygnani, byli zwycięzcami ducha!

Jednocześnie z więzieniem Filaretów i przesładowaniem młodzieży Litwy i Żmudzi, rozpoczęła się inna walka: wyznaniowa. I znów mury Troickie v. Bazylijskie są tych zapasów terenem. W roku 31—32 znajdują się w nich likwidowane przez Josipa Siemaszkę resztki zakonników unickich, których ostatni przeor, Bociarski i przeorysza Bazylijanek, Wyszyńska do 1836 r. tu mieszkają.

Mieści się tu szpital wojskowy choleryczny w 31 roku, potem więźniów oskarżonych w sprawie emisariusza Wołłowicza, w 33 r. Równolegle idzie likwidacja Unii i zagarnianie świątyń tego wyznania, Troicka cerkiew jest największą relikwią dla obu wyznań wschodniego obrządku, to też gdy w 1845 r. ostatecznie zniweczywszy dzieło Weljamina Rutskiego i Kuncewicza, zasiada w Troickim monasterze archimandryta Siemaszko, z prawosławnym seminarjum i konsystorzem, tryumf Rosji nad polskimi wpływami w Litwie i Białej Rusi wydaje się zupełny.

Ale... Walka trwa bez wytchnienia. W roku 38 zapełniają się cele Bazylianów ziemiaństwem całego kraju, zdrada i nieostroż-

ność zaprowadziły tam Szymona Konarskiego i wszystkich jego zwolenników. Wilno jest pełne łez i zgrozy. Szeptem opowiadają sobie o mękach zadawanych bohaterskiemu wodzowi tej sprawy i o torturach stosowanych przez kniazia Trubeckiego względem akademików i kan. Trynkowskiego. Z tej bramy wywożą skazanych na wygnanie i Konarskiego na stracenie: „Nie płaczcie nademną”, woła złotowłosa bohater na placu kaźni, „ale nad sobą, którzy zostajecie niewolnikami! Ja za chwilę wolny będę!” Płakała też długo Litwa nad Szymonem Konarskim i nad sobą...

O mury Bazylijskie biły falami wypadki 63 roku, wyroki murawjewskie, bił płacz kobiet klęczących u pobliskiej Ostrejbramy, szedł przerażony szept ludu białoruskiego, zapędzonego do cerkwi, bił echem zacięty pomruk katowanych pod krożańskim kościołem Polaków i Litwinów, po raz wtedy niewiedzieć który wspólnie przeciw „Moskwie” walczących.

Aż... przysła Wielka Wojna.

Opustoszały mury Bazylijskie, ruszyły na wschód czerńce bogomolne, unosząc w „Maskwu” obraz bożej Matki cudotwórczej, i prochy trzech męczenników za wiarę... prawosławną: Jana, Antona, Eustachego.

Nowa wnet napłynęła fala. W czasie okupacji niemieckiej, zajęły tę posesję związki oświatowe białoruskie, obejmując pieczę nad bogatą biblioteką i zakładając swoje gimnazjum.

W 1921 roku dekret Naczelnego Dowódcy Litwy Środkowej z dn. 15. IX. opiewający że wszystkie stare budynki, skonfiskowane przez rząd carski winne przejść na własność Rządu polskiego, dekret w 1923 r. 26. IV. Delegata Rządu W. Romana przekazujący całą posesję Państwu, wywołuje protest Konsystorza Prawosławnego. Wynikiem procesu był w dniu 26. V. wyrok Sądu Okręgowego złożonego z sędziów: Kozłowskiego, Jana Piłsudskiego i Pietkiewicza, który anulował ze względów formalnych dekret del. W. Romana. Jednak w Sądzie Apelacyjnym, sędziowie Hryniewski, Ołtarzewski i Bądzkiewicz uchylili decyzję Sądu Okręgowego i przyznali mury Rządowi. Konsystorz prawosławny apelował do Sądu Najwyższego, który wyrok apelacji zatwierdził.

Walka wschodu z zachodem zszedłszy z areny wojennych szranków, z kościelnych krucht, z bojów duchowych, zesłała w kancelarie adwokackie i sale sądowe. Praw Konsystorza prawosławnego bronił ś. p. mec. Tadeusz Wróblewski, chwalał palestry wileńskiej. Chodziło o to by ustalić, czy obecne prawosławie jest tem samem wyznaniem co „grecka religja” z czasów Juljanny Olgierdowej i kniazia Ostrogskiego, pogromcy Moskwy?



Skończyło się kompromisem: gmachy są własnością Rządu polskiego, a instytucje, które się dziś tam mieszczą mają prawo tam pozostać do chwili oddania im innych lokali do użytku.

Obecnie to cały świat rosyjsko-białoruski: seminarjum duchowne prawosławne z internatem na 130 osób, gimnazjum białoruskie (język wykł. białoruski, przedmioty obowiązujące po polsku), z internatem. Uczniowie są rozmaitych narodowości: Białorusini, Polacy, Litwini, Żydzi. Prócz tego, w sklepionych, niskich korytarzach, labiryntem zawiłym wędrujących pod gmachem z wyłotem na kilka ulic, przytuliło się ze 30 monaszek prawosławnych z ihumenią, mających pieczę na cerkwią Troicką i jej pamiątkami.

Dziwne, dziwne jest życie i koleje narodów, zmienne miejsca uczuć ludzkich... Świat cały, to cudna przygoda, bajka straszna i radosna na przemiany. Po nad tą szarzyzną dnia codziennego, która zresztą dla wielu osób nigdy bezbarwną nie jest, unosi się jakaś olśniewająca tęcza zdarzeń. Oto w cieniu drzew, w upalny letni dzień, siedzę na ganku przed cerkwią, patrząc na blade, rozwarte szeroko oczy trzech postaci ze starego fresku w stylu bizantyjskim, przedstawiającego owych rycerzy Olgierdowych: Iwana, Antona i Eustachego. Nademną korytarz i celę Filaretów, cela Konrada-Gustawa-Adama... wyżej, w przeciwnej stronie, cele i korytarz Konarszczyków. Gdzie cela ich wodza?.. Nie wiem... Nikt nie wie, ale odnajduję według wskazówek z listów zakratowaną celę mego Dziadka...

Na tę oto basztę-dzwonnicę patrzył na lewo, ta smukła wierzyczka wprost cieszyła jego wzrok artysty, na tym dziedzińcu, swemi poczciwymi, kochającymi oczami, dobry i szlachetny ten człowiek wyglądał rodziny, idącej ku niemu w odwiedziny... z pożegnaniem wygnańca...

Oglądałam kiedyś fortecę dynaburską i okno kazamaty Ojca w 63 r.. A teraz ja... wolna obywatelka wielkiej, silnej, pięknej Rzeczypospolitej... W jakimś zachwyceniu niezmaconego szczęścia idę powoli przez długie, białe korytarze, których arkady i sklepione łuki wyrastają za każdym krokiem przedemną jak akordy muzyczne poważnego hymnu uwielbienia.

\*

Na podstawie aktów Śledczej Komisji, znajdujących się w Archiwum, dzięki uprzejmości p. Wacława Studnickiego, podajemy niniejszą listę osób więzionych w murach Bazylijskich, wmięszanych w proces Szymona Konarskiego.

Lista ta jest o tyle nie kompletna, że więźniów przenoszono czasami na czas krótki do Franciszkanów, potem z powrotem. Porządkiem alfabetycznym wyliczamy.

Ks. Adamowicz Błażej franciszkanin, Bagrymowski Władysław akademik, Bartoszewski Joachim akademik, Dr. Baupre, Broniec Władysław, Brynk Henryk, Brynk Jan, Brynk Wincenty, Budziński Kacper, Bułhak Juljan, Czaplowski August, Dotkiewicz Franciszek, Drozdowski, Duchnowski, Frąckiewicz Jerzy, Grodecki Ludwik akademik, Giedgowd, Hajkowicz, Hornicz, Hornicz Erazm Fabjan, Ks. Jarmołowicz Onufry wyzn. grecko-katolickiego, Jarzyna Leopold, Jeleński Jan syn Pawła, Jeleński Aleksander, Jeleński Napoleon, brat stryjeczny Jana, Kadenacy Józef, Karkauo, farmaceuta, Karnowicz Antoni, Kończa Medard, Kozakiewicz Aleksander, akademik, Kaskowski Józef, Łubojacki, Maciejewski Juljan, akademik, Malewski Mieczysław, Michalski Lucjan, Michalski Wilhelm, Moszkow Jan, akademik, Morzkowski, Pietraszkiewicz, Piper Aleksander, akademik, Psarski Aleksander, Rabczyński Kazimierz, akademik, Römer Edward, Römer Seweryn, Ruczyński Eustachy, Rudziejewski Jan, Rydzewski Adam, Siedlikowski Leonard, Stachowski Karol, Suzin Adam, ks. Szalewicz Kazimierz, kleryk-Pijar, z Lubieszowa, Szumski Stanisław, Taube baron Henryk, Terlicki Franciszek, ks. Trynkowski, Werner Fabjan, Wermiński Aleksander, Wiszniewski Faustyn, Wornin Eustachy, Wysocki Jan, Zahorski, akademik, Zdanowicz Feliks, akademik, Zielruka Henryk, Zaleski Bronisław.

Z kobiet siedziały u Bazylijanek: Wierzbicka, Płotnicka, Ewa Felińska, matka biskupa wywieziona pod konwojem w listopadzie do Kijowa, u Bernardynek siedziała Antonina Sniadecka, a w domowym areszcie sporo innych, np. Edwardowa Römerowa i jej siostra Medardowa Kończyna.

\*

Czasami nie wiele było potrzeba dla zwrócenia uwagi policji. Oto np. modlitwa codzienna znaleziona w papierach Józefa Kuznieckiego na wsi w Duboi przy rewizji.

Potężny Boże! Boże nieskończony!  
Jak jesteś wielki gdyś nieogarniony,  
Czy słońce świeci czy wiatr silny wieje,  
Całą mą w tobie pokładam nadzieję...  
Niech wróg zuchwały przeciw mnie powstaje,  
Niech mię uciska, srogi cios zadaje,  
Nic jego wściekłość, nic złość nie pomoże  
Gdyś ty jest ze mną wszechmogący Boże!



Daj siłę męstwa wszystko znieść cierpliwie,  
O to cię błagam, żebrzę litościwie.

Kurzeniecki miał majątki Duboja i Zamosze, u niego był Konarski z Rodziewiczem pod nazwiskiem Łojewskiego. Znaleziony wiersz dał powód do śledztwa i pociągnął za sobą uwięzienie, wykrycie należenia Kurzenieckiego do spisku, w którym był jednym z znaczniejszych, i skonfiskowanie majątków.

Ciekawem jest przeglądać zeznania. Wszystkich pytano czy chodzą do spowiedzi i komunji, wszyscy pisali, że tak. Wszystkie prawie są pisane po polsku na pytania po rosyjsku. Konarskiego pismo równe, spokojne, nie zdradza zdenerwowania, odpowiedzi jasne, unikające nazwisk, negujące co można. Jak wiadomo, niezłomnym męstwem imponował na śledztwie urzędnikom. Inni, w miarę możliwości wypierali się wszystkiego. Sypał Orzeszko, a zwłaszcza Rodziewicz, który rzecz można zgubił dziesiątki ludzi, odkrywając wszystko ze strachu. A miał pseudonim w konspiracji... Judasz!

Ks. Szalewicz zeznaje np., że poznał Konarskiego w Lisowie, jako kuzyna Rodziewicza, pod nazwiskiem Wincentego Dunina, tam w 1836 odkrył on zebrany cel Towarzystwa. Rodziewicz dawał książki zakazane. Cel Towarzystwa był: równość chłopów, sprawiedliwość. Tenże ksiądz pisze dalej z pokorą:

„Znam swój błąd i wykroczenie, przysięgam, nigdy więcej nie należeć; nadto jeszcze obowiązuję się otwarciem donieść natychmiast rządowi, jeśli bym się dowiedział gdzie o jakim Towarzystwie”.

Trzeba przyznać, że to jedyne tak nikczemne płaszczenie się, naogół odpowiedzi są pełne godności i dyskrecji.

Przez karty grubych poszytów protokularnych przewija się kwiat obywatelstwa, wszystko co było lepsze, rozumniejsze i patriotyczne, znalazło się pod kluczem lub w sieci nadzorów, rewizji i aresztów domowych. Jak pozostali przetrwali ten stan wyjąłowania społeczeństwa z wszystkich lepszych, bardziej ideowych elementów, jest to tajemnicą. Chyba działał przykład tych uwięzionych, ich męstwo i odpór, jaki dawali a badali ich w niesłychanie, brutalny sposób ks. Dołhoruki i ks. Trubecki. Pierwszy, o którym wiadomo było, że łapownik i rozpustnik, był potworem fizycznym, opasłym pijakiem, do wieprza stale porównywanym. Nie przeszkodziło mu to romansować z piękną panią z Podbrzeskich Kołkowską, i ożenić się z Lucją z Wawrzeckich hr. Zabiełłową, a część sosjety wileńskiej składała mu obrzydliwe hołdy.

Książ Trubecki był dziki zwierz, brutalny dla kobiet, okrutny dla mężczyzn, wpadał w furję i z krwią nabiegłą twarzą, z oczami

latającymi, siekł nahajem o byle co. Nie było dnia, żeby korytarze i cele Bazyljanów nie rozbrzmiewały jego tupaniem, wrzaskiem i łajaniem. Jemu też przypisują tortury zadawane ks. Trynkowskiemu i Konarskiemu.

Tak jak o sprawie Filaretów, tak i o spisku Konarskiego rozwdzić się w niniejszym szkicu nie będziemy. Szymon Konarski oczekuje dotąd studjum w rodzaju Łukasińskiego Askenazego; niemniej, czy to z broszury H. Mościckiego, czy niedokładnych Wspomnień Sobarri (Kirkora), wiemy o nim tyle, że powtarzać podstawowych zdarzeń jego działalności na Litwie i Białej Rusi nie ma potrzeby.

Celem tej notatki było dać kilka szczegółów autentycznych i nie wydanych, któreby mogły, przy okazji otwarcia Murów Bazyljańskich dla polskiego społeczeństwa, dać słaby obraz co ono w tem właśnie miejscu przeżywało.

#### *Z archiwum rodziny Römerów.<sup>1)</sup>*

W roku 1831, polityczny stan rodziny Römerów przedstawiał się jak następuje: Ojciec, Michał, wywieziony do Woroneża, za udział w Tow. Patriotycznym po kilkuletnim więzieniu w Petropawłowskiej fortecy, wraz z przyjaciółmi (i jak on Masonami), Wagnerem i Strumiłłą oraz z synem Sewerynem. Najstarszy syn, filareta Henryk, rokujący najświetniejsze nadzieje i odbywający służbę publiczną przy boku generała Paca w Warszawie, aresztowany z rozkazu ks. Konstantego, odesłany pod nadzorem policji do miejsca urodzenia, nie żyje (utonął w jeziorze dowgirdziskim). Drugi syn Edward, ożeniony od roku z dawno kochaną kuzynką Anetą Montwid-Białozorówną, cieszy się małym synkiem Alfredem i opiekuje się matką Rachelą z de Raës Kolowrat, młodszem rodzeństwem Anną i Michałem, oraz licznymi interesami. Młoda para gospodaruje w Dębinie, ślicznym dworze, na wyspie położonym.

Ale oto któregoś lipcowego dnia, pachnącego lipowym kwieciem i sianokosem, odrywają gospodarza od roli, ojca od małego synka, wrażliwą i zakochaną żonę przerażają widokiem żandar-mów. Aresztują Edwarda i wiozą go do Bazyljanów. Można sobie

<sup>1)</sup> Rodzina inflanckich Römerów z Saksonji dostała się w XV w. do Wirlandji, potem w Rydze i Inflantach na służbie kurfiurstów przebywała. Gdy ziemie te do Szwedów przeszły, wyniosła się do Litwy, duże dobra opuszczając, by „wiarę y cnotę Panu swemu y Rzeczypospolitej dotrzymać”. Nazwisko pisane w papierach Römer i Roemer, wymawiało się potocznie Romer.



wyobrazic rozpacz młodej kobiety z rocznym dzieckiem i nadzieją drugiego!

Porusza wszystkie sprężyny, jeździ i stara się, codziennie pisuje do więźnia rzewne w swej niedoli i uczuciach listy. Na tych szarych, bibulastych kartkach, w koszyku malin, w robótkach posyłanych, widać czasami zalany wilgocią atrament... To łzy ślicznej Anetki... Stare sługi opowiadały potem, że z żalu po mężu zapłakała się na śmierć! Istotnie w miesiąc po wyjściu męża z więzienia rodzi mu syna Eugenjusza i umiera na suchoty.

Oto jeden z tych listów.

Najdroższy mój Edwardzie!

Wczoraj jeździliśmy do Zakretu, lecz nie wiem czybyś mógł rozemnać pojazd z takiej odległości, nawet technienia nasze w inne zmienione już powietrze przysłoby do Ciebie. Od deszczu, który nas zmoczył, chroniliśmy się pod cieniem drzew opuszczonego ogrodu. Jak cokolwiek ustał, wróciłyśmy do domu i w małej kompanii piliśmy herbatę, wyglądamy teraz jak szczątki okrętu oderwani od siebie i rzućni na los szczęścia. Czemuż nie wolno mnie Ci posłużyć? Codziennie bym szarowała Twego mieszkania podłogę, aby mi tylko pozwolili ten czas z Tobą przepędzić! Pytasz czy nie mam nadziei odwiedzenia Cię? Cóż ja ci na to odpowiem? Wczoraj podając prośbę Księżciu Dołhorukiemu prosiłam o pozwolenie widzenia się Tobą, kazał mi parę dni jeszcze zaczekać, jutro znowu pojadę, nie chciałam Ci o tem pisać i robić próżnej nadziei. Może Bóg pozwoli nam wkrótce cieszyć się rzeczywistością i nagrodzi niewinnie cierpiących. Posyłam nuty „Precjozy” (pozwolono Edwardowi grać na skrzypcach), i ścierkę, Nie pojmuję jak będziesz mógł myć okna za kratą. Freś bawi nas swemi minkami, już pięknie tańcuje przy fortepianie trzymając się za sukienkę, popisze się przed ojcem, kiedy go do Ciebie przyniosę. Całuję cię po niezliczone razy mój naidroższy Edwardzie.

Twoja Anna.

Wilno 1833. 10 Lipca.

Najdroższa Anetto.

Niechże Cię Freś ubawia na ile mu starczyć może dziecinnych minek i konceptów, wielkie w nim znajdę odmiany kiedy tak szybko postępuje, niechże śliczne oczki Mamy swej ucałuje żeby nie płakały. Ja w moich zatrudnieniach rozmaite miewam powody wspomnienia Was wszystkich. Tak zrana chodząc ze skrzydłem,

albo z serwetą do zamiatania kurzu ze sprzętów moich, myślę że może w tym samym momencie Mama moja dobywszy chustki z puharu tej samej mocy używa. Gdy skończę wymiatać podłogę izby mojej i pozostałe brudy wzbudzają chęć wymycia poczerniałych desek, myślę wtedy o Papie. Po każdym jedzeniu zażywam tabakę, przypominając stryja Wincentego, kiedy suknie moje chędożę przypominam porządek i wzorową czystość stryja Antoniego. Kiedy chęć czytania nie daje mi sporządkować polic moich, stają mi na myśl bracia i ich kwatera. Ciebie ile razy twarz moją mydłem pachnącem myję i całując Fresia drogą minjaturę, czytając niektóre wierszyki Karpińskiego. A wszystkich Was w rannych i wieczornych modlitwach, prócz tego we śnie i o każdej godzinie. Oto są niektóre rysy zajęcia się ciała i duszy mojej, jak jedno, tak i druga, nieprzerwanego szczęścia Waszego pragnę, które obym z Wami dzielił, Pana Boga proszę. Całuję Was wszystkich i Fresiowi dziękuję że się swoją rączką przypisał.

Wasz Edward.

Śledztwa i więzienie ciągnie się pół roku<sup>1)</sup>, po którym to czasie wraca uwolniony dla braku dowodów, na urodziny drugiego syna i niebawem pogrzeb młodej, ślicznej i ukochanej żony.

.....

W roku 1837 żeni się potórnie Edward Römer z przyrodną siostrą Anety Zofją Montwid-Białozorówną. Młode małżeństwo osiada na gospodarstwie w uroczych Dowgirdziskach, majątności o sześć mil od Wilna, a dziesięć od Kowna położonej, kędy dwór i zabudowania na półwyspie oblanym jeziorem, śliczny dają krajobraz.

„Nie trudne były koło gospodarki domowych robót zachody, czytanie książek, spacer, kąpiele w pięknym jeziorze, robótki, smażenie konfitur, najroskoszniej godziny i dnie zajmowało. Ach czemuż te chwile szczęścia tak krótkie były, ta cisza była takiej burzy, takiego rozprężenia spokojności naszej przepowiednią” pisała młoda pani Zofja Römerowa w dzienniczku.

Nie długo i tym razem cieszy się spokojnym szczęściem domowym Edward Römer. Zaledwie rok upłynął, już z rozkazu księcia Trubeckiego znowu go aresztują i musi porzucić żonę, malutkie-

<sup>1)</sup> Prawdopodobnie chodziło tu o sprawę emisariusza Wołłowicza.



go syna Edwarda, interesy i starzejących się rodziców, zamieszkujących wtedy sąsiednią Dębinę z synami z pierwszego małżeństwa.

„Po odbytej rewizji i zabraniu skrzynki z papierami, wyjechaliśmy: Hassan policyjski z Wilna, Budnik wileński, który w wojnie 31 roku pod Trokami nos stracił, sprawnik miejscowy trocki Hegerstaet, major, i ja, żegnany łzami żony i służby. Koło 5-ej popołudniu stanęliśmy w Wilnie, przez roгатkę na Pohulance jadąc, zatrzymaliśmy się w domu Kostry, naprzeciw redakcji Kurjera Wileńskiego na Wileńskiej, Hassanów zapieczętował moje papiery i raport napisał, potem przez zaułki wieźli mnie do Bazylianów. Na ulicy widziałem znajomych Aloizego Dmochowskiego, Ferdynanda Gutta, Wojciecha Joczka, wszyscy kłaniali mi się ostrożnie i ze współczuciem. Piechotą przeszliśmy dziedzińiec, spoglądając na zamalowane kredą okna.

Na najwyższym piętrze w końcu korytarza, na lewą stronę od wejścia, siedział kwartalny Piotrowicz i smotrytiel (dozorca) więźniów bazylijskich.

Musiałem czekać aż ci panowie obiad zjedzą, stół zastawiony brudnym naczyaniem, obciążony mnóstwem papierów, oni z oficerem siedzieli na łóżku, a kilku „budników” usługiwało, a oni raki łuszczyli z apetytem. Sołowjew kazał mię na korytarz za parawanik zaprowadzić, żebym tam czekał, czterech żołnierzy z karabinami trzymało straż, w tej chwili wyjrzał z za drzwi sowietnik Anichimów i spytał o nazwisko, ja poprosiłem o herbatę, urągał mi, że na żadnych wygodach zbywać mi nie będzie. Zaraz potem zanesiono moją skrzynkę do komisji, i Sołowjew rzeczy moje przetrząsał, zabierając wszystko prócz pościeli. Zaprowadzono mię wnet na niższe piętro, gdzie wszystkie numery były próżne. Weszliśmy do pierwszego, lecz że nie był wymieciony, prosiłem o zmianę i zaprowadzono mię do drugiego. Izba pusta, bez najmniejszej ruchomości, lecz choć okno bez kraty i słońce w całym blasku świeciło.

Drzwi na zamek zamknięte, węzełek z pościelą na ziemi, a ja u okna otwartego z myślą lgnącą do Dowgirdziszek, do Dębiny i wślad za mym najdroższym ojcem na Żmujdz... stanowią obraz pierwszej chwili mego więzienia. Widok dziedzińca, na który w 1833 roku sześć miesięcy patrzyłem, smutniejsze obudził wspomnienia, wsparty na oknie przedumałem do zachodu słońca. Czytałem też książkę nabożną ks. de Lamenaïs pod tytułem: „Przewodnik młodego wieku, który przywiozłem ze sobą w kieszeni od fraka. Sołowjew przyniósł mi w imbryczku herbatę i bułkę, pro-

siłem go jeśli nie o łóżko, to przynajmniej o siano. Lecz to były daremne usiłowania na ten dzień, ułożyłem posłanie z całej ruchomości mojej i spokojnie przespałem od zachodu słońca aż do 7-ej rano.

18 lipca znowu dostałem porcję herbaty i wiązkę wilgotnego siana na skutek próśb wczorajszych. Po ósmej przyniesiono mi z domu herbaty z całym porządkiem na tacy, poczem poznałem, że żona moja z dzieckiem do Wilna przybyła, prosiłem o łóżko i stolik, i te mi wkrótce z domu przyniesiono. Na próżno usiłowałem domyśleć się kto by mię i za co do Komisji pociągnął, o godzinie 9-ej już się w tem uspoilem gdy wszedł z trzaskiem drzwi niezwykłym ks. Trubecki, zarzucając, mi że jestem członkiem tajnego politycznego stowarzyszenia. Gdym temu zaprzeczył, on wyliczał osoby: Kozakiewicza Stanisława, Medarda Kończę, Hrebnickiego Justyna, Dobkiewicza Franciszka, nadmieniał że są jeszcze osoby z duchowieństwa i z Monarszego Dworu, groził, nakłaniał i zachęcał do zeznania winy i wyszedł zniecierpliwiony. W godzinę wpadł znowu, wprowadził ze sobą członków Komisji: płk. Juferowa, kap. Arendarenkę i czynownika do osobnych poruczeń Warsenofjewa. Na przemiany sypały się na mnie zarzuty, przekonywania, dowodzenia o to tylko, żem członkiem Towarzystwa, już wspomnieli Szumskiego Stanisława, już ks. Trynkowskiego, Ludwika kanonika, już Kozakiewicza jako sekretarza”.

Takim porządkiem powtarzając wrażenia i troski z przed lat czterech, zamieniając ze zboląłą rodziną listy i posyłki, czytając dużo i rozmyślając dziwnie spokojnie i ze stoicyzmem czekając wyroku, doczekał się Edward Römer roku 1839, kiedy w marcu odczytują jemu i uwięzionemu niedługo potem bratu Sewerynowi i szwagrowi M. Kończy, wyrok na Sybir z odjęciem szlachectw. Poruszywszy wszystkie sprężyny stosunków i poświęcając część rodzinnych „precjozów”, udaje się zmienić wyrok na wygnanie do mniej odległej gub. Wołogodzkiej. Jednocześnie skazani akademicy ze spisku Konarskiego, w liczbie 20-stu w żołdacy, wywiezieni Jerzy Brynk, Ig. Rodziewicz, Napoleon Nowicki, do katorgi Grodecki Lud. na Kaukaz i wielu innych.

Dnia 15 lutego stracono Szymona Konarskiego, a wszystkich kogo posadzono o najlżejszą styczność z nim lub jego bezpośrednimi towarzyszami, jak kanonik Trynkowski, Dobkiewicz, lub Rodziewicz, sądzono mniej lub więcej surowo, stosownie do widzimisie sędziów i znaczenia oskarżonych osób.

Aresztowanie i uwięzienie Edwarda, a potem i Seweryna Römerów, skazanie ich na bezterminowe osiedlenie w odległych gu-



bernjach, wynikało z powodu paru wizyt emisariusza Szymańskiego w domu na Bakszczie, i poprostu dlatego, że była to rodzina znana z patriotyzmu, mająca ufność współobywateli i mogąca zawsze wywierać niepożądany dla rządu rosyjskiego wpływ na otoczenie w Wilnie i na prowincji, gdzie liczne domy krewnych, majątki a zwłaszcza poddani, traktowani w duchu demokratycznym, stanowiły tyleż gniazd znienawidzonej wiecznie odradzającej się z ojca na synów „miałej”.

Spisek Konarskiego rozgałęziony znacznie na Litwie i Białej Rusi, odkryty nim jakąś czynną akcją zdołał się zaznaczyć, pociągnął za sobą moc ofiar i cierpień, komisja bowiem z ramienia Trubeckiego oznaczała się niebywałą brutalnością.

*List Edwarda Römera z wygnania w Wielkim Ustiu do żony*

...Objęło mnie zamyślenie nad tą chwilą, kiedy w roku przeszłym ćwiekiem na ścianie rznętem liczbę 1839; początek lat tych obu tak przeciął szalę na stronę minionego, że się tylko przypomina ich różnica bez upatrzenia najmniejszego podobieństwa. Pamiętasz Zosiu jak wówczas przeczuwając, że gorzej z nami być może cieszyłem się tem co posiadałem i nie tęskniłem do rychłego rozwiązania mej sprawy. Dwa lata jak obrazy odmiennego życia stają u sądu mojej rozważki. Pierwszy tak sprawę wykląda: ciemno w izdebce o 6 rano tylko okrągłe u drzwi światelko jak księżyc od słońca na ziemię tak ono od lampy w komnatę pożyczonem świeci promieniem i krok mierzony jak wahadło zegarka słyszeć się daje, a z wieży św. Kazimierza cztery kwadranse i sześć uderzeń godzinę obwieszcza. Wstał człowiek średniego wieku, ukląkł przy łóżku i zmówił pacieź prosząc o litość nad cierpiącymi o przebaczenie win i o pociechę. Podpalił w piecu wtem zbudził się jego towarzysz oba razem nastawiają samowar, ścierają podłogę, oczyszczają ubrania i buty, a strzegą na piasku podłogi śladu czyjejs stopki... Potem datę rzną na ścianie na pamiątkę i dalej do nauki siadają. Jeden włoskiego, drugi francuskiego się uczy, a obaj pilnie zagląдают przez okno, by nie przepuścić mahoniowych saneczek, z gniademi końmi, które przez długi dziedziniec i bramę wiozą kobietkę i chłopczyka. Białe kapelusze i czapczką szamoa, stalowy płaszczyk i lisia salopka wraziły mi się w pamięć, lecz przedewszystkiem wzrok ich przenikliwy i lica świeże, po chwili starszy więzień (Römer) tulił swą kobietę, a młodszy (M. Kończka) bawił się z synkiem przyjaciela. Smutno żegnać się, gdy już upłynie godzina, ale do

jutra czekać nie wiele. Jeszcze oknem za nią wejrzeli kilka razy ręką machnęli, woźnica nawet się obejrzał i jeszcze patrzyli ku sobie choć mury ich przedzielały. Bóg co cierpienia w pociechę przemiał, szle im teraz prawdziwego oblubieńca swego. W kapocie lisami podszytej, w bobrowej czapce na uszach, w ciepłych butach i z laską w ręku szedł ten, co ludzi ukochał, boleścią bez odpoczynku lata swe liczył, a pokój na twarzy i wiarę w Panu dusza mu malowała na wieki. Znak krzyża był powitaniem, łza rozrzewnienia—pociechę. Obydwa jeszcze stoją u okna za jeżdża karetą, dwie wysiadły kobiety: jedna z trudem po stopniach wchodziła ciężarna, lecz wita wesoło, w drugiej poznasz Matkę, co dla osłody szle w górę synowi pozdrowienie. Wślad za karetą śpieszy młodzieniec, młodość w nim żartów pozwala, tyle wesołości przynosi biednym więźniom! Czy poznajesz w tym obrazie najdroższa Zosiu, siebie z Cikiem i Najdroższego Papę naszego, Mamę Rachelę i bratową Kończynę i Michasia mego młodszego braciszka?

Teras ja tak daleki od Was, w obcym mieście wśród obcych ludzi, z obcą mową na ustach... Ale da Bóg że się połączymy...

*Z pamiętnika Zofji z Montwid-Białtozorów Edwardowej Römerowej.*

...Tydzień cały we łzach na modlitwie i staraniach o widzenie męża przetrwałam. Jeździłam do księcia Dołgorukiego i Trubeckiego, żebrząc litości. Przyjmowali mnie grzecznie, ale widzieć Edwarda nie dali, a on był zamknięty w klasztorze Bazylianów, gdzie i Komisja Sledztwiennaja się odbywała. 26 lipca pierwszy ras pozwolono mi widzieć Edwarda. Z utęsknieniem pobiegłam do niego. W malutkiej celi na górze, za drewnianą, grubą kratą w oknie, cała drżąca i zmieszana witałam męża mego. Księżę Trubecki śledził spojrzenia i słowa nasze, a i pięć minut nie upłynęło dał znać, żebym odeszła. Długo się później powtarzały takie same wizyty. Najczęściej w komisji, wobec kilku świadków, a krótka chwilowa pociecha nigdy nie mogła osłodzić wzruszenia, łez i tęsknoty, jakie towarzyszyły widzeniom tak pożądanym i tak smutnym. Dnia 31 aresztowano i Seweryna, brata męża mego i wielu, wielu obywateli, a w całym mieście jeden był głos żalu i boleści, nagromadzonych rodzin.

... 13 października w dzień Edwarda króla, zamówiłam Mszę śpiewaną na intencję męża, a o 10, jak zwykle pojechałam do Klasztoru Bazylianów i wszedłszy do Komisji miałam zamiar prosić



o widzenie go. Ale za ledwie spostrzegły mnie zaiskrzone od złości oczy Trubeckiego, słowa „impossible Vous ne le verrez pas” — jak piorun z ust mu wyleciały, trzasnął potem drzwiami, aż się wszystkie klasztoru zatrzęsły ściany, a ja słowa nie wyrzekłszy, nie powtórzywszy prośby mojej, zalana rzewnymi łzami, wracałam do mego pojazdu. Z dziedzińca spojrzalam na okienko, z którego przez kraty wyglądał mój Edward i w boleści mojej pojechałam prosto do kościoła, gdzie miała wyjść Msza zamówiona. Tam padłszy na kolana przed obrazem Pocieszenia Matki Boskiej modliłam się z całym rozrzwaniem serca, polecając siebie i moich miłosierdziu boskiemu.

... Na kilka dni przewieźli Edwarda z klasztoru Bazyljanów do klasztoru Franciszkanów. Umieszczono go razem z Janem Moszkowym w małej celi Nr. 1 na dole, z okienkiem wychodzącym na dziedziniec franciszkański. Poszłam tam, czule pocałowania zdaleka przesyłając kochanemu mężowi, który postrzegłszy mnie przybiegł do kraty i kilkakrotnym schyleniem głowy, miłym uśmiechem i wesołą postacią, tęskne i smutne usposobienie moje w spokojne zamienił.

...Któregoś dnia doniesiono Trubeckiemu, że Edward rozmawiał przez szpary z drugim obok będącym więźniem. Rozdąsany na to Trubecki wpadł do celi mego Edwarda, złażał najsrożej jak mógł, groził łańcuchami, tupał nogami, a dla zupełniejszego zadowolenia swojej wściekłości, zabronił przyjąć obiad przysłany z domu, ciesząc się zapewne już z góry przerażeniem, jakiego dozna biedna żona i cała rodzina.

Mając to na myśli, że go głodem do jakichś wyznań chcą zmusić, czego już bardzo wiele na innych więźniach słyszeliśmy przykładów, w najsilniejszym poruszeniu, zalana łzami, pojechałam do wojennego gubernatora księcia Dołgorukij. Tam ze łkaniem rzekłam mu, że póty sama posiłku żadnego w usta nie wezmę, póki o mężu się nie dowiem, że ma wygody jakich dotąd używał. A że karmię dziecko, moje zatem i dziecięcia cierpienia sumieniu jego powierzam. Te słowa i mój stan skruszyły księcia i wpłynęły na Trubeckiego, że rozkaz został odwołany, ale srogą mi Trubecki gotował zemstę. 16 sierpnia coraz więcej utęskniona do widzenia męża, jadę do komisji z siostrą Pauliną, przebiegam korytarze Bazyljanów, i na pierwszym wstępie spotykam księcia Trubeckiego. Fizjognomja jego zawsze pełna złośliwego charakteru, wówczas się jeszcze bardziej zapłomieniła, oczy się zaiskrzyły, ręce ścisnął w kułaki i tupcząc nogami podsunął się do mnie tak blisko, że mi się zdawało zaraz bić mnie będzie! Krew mi

w żyłach zastygła, zbladłam okropnie; gradem sypały się łajania, wymówki, groźby, że się źle prowadzę, że chodzę pod okna męża, że raz na tydzień tylko widzieć go będę, że nic o nim nie będę wiedzieć, że go okują i tysiące innych równie bolesnych oświadczeń, które się objawiały w najsilniejszym krzyku, złości i podniesionych nademną kułakach. Długo stałam jak wryta, lecz nakoniec opuściły mię siły. Posłoniłam się na ręce drżącej siostry. Moja błądź i drzenie złagodziły księcia. Podniósł mnie, podał krzesło, przyniósł wody i dał rozkaz przywiezienia męża mego od Franciszkanów. Biedny Edward przybył po chwili. Uścisnęłam go, ale nic mówić nie mogłam dla ciągłego łkania. On także był bardzo wzruszony. Dla skrócenia zatem tej sceny, która gatunkiem widowiska dla wszystkich członków Komisji była, pożegnałam go, otrzymawszy wprzód pozwolenie przyjechania nazajutrz do klasztoru Bazyljanów, gdzie nanowo Edwarda przewieźli.

Tak niegodziwego postępowania doznawała każda prawie nie-szczęśliwa, mająca potrzebę udawania się do księcia, w celu odwiedzenia męża, brata, syna. Mało było takich których nie złażał i nie sfukał, bez pociechy odesłał i natrwożył wściekłością swoją, która była głównym charakterem jego duszy.

Roku 1839 w styczniu przyjechał do Wilna generał Połozow, Komisja się zamknęła, rozpoczął się sąd wojenny. Czas ten do ogłoszenia dekretów wiele miał powabu dla biednych matek, żon, rodzeństwa, krewnych i przyjaciół. Wszyscy mogli więźniów odwiedzać, bawić u nich bez przykrych świadków po kilka godzin, pić z niemi herbatę... Dziedziniec Księży Bazyljanów napełniony był pojazdami, karety, koczki, fajetony i drażki stały od rana do nocy i w każdej celi niewinna brzmiała wesołość, gdy ci co w niej byli, na chwilę oczy na przyszłość zamknęli. Jedna cela dla nikogo otwartą nie była, tam emisariusz Konarski najsrożej w kajdanach był trzymany. Tylko matka jego z nim się widziała, przybywszy z za Niemna na pożegnanie, i przed rozstrzelaniem jego, pod eskortą wyprawiona była do domu. Miesiąc luty smutno się rozpoczął. 8 zapadł dekret na akademików. Wszystkich sądzono „w żołdacy”. Jednych z wysługą, innych na wieki. 10 lutego ogłoszono dekret na obywateli wileńskich. Wszystkich sądzono na Sybir z odjęciem szlachectwa. Przerażenie zastąpiło miejsce tych półsmutnych, półwesołych po klasztorach posiedzeń. Wszystkie kobiety dotknięte w najbliższych przedmiotach serca, biegły z płaczem do księcia Dołgorukiego, który łaskę Monarszą i zlenie kary obiecywał. Tymczasem 15 lutego odbyła się smutna



egzekucja wyroku śmierci Szymona Konarskiego, którego imię całej tej sprawie dało nazwanie. Wywieziono na Kaukaz sądzonych „w żołdacy” akademików. W ostatnich dniach marca wywiezieni zostali Szumski i Hrebnicki do Wiatki, Stanisław Kozakiewicz i ksiądz kanonik Trynkowski z kilku innymi na Sybir. Do Wołogdy naznaczeni byli mój mąż, szwagier Medard Kończa, brat męża Seweryn, doktor Mackiewicz i Stanisław Drozdowski, z naszych znajomych. Innych nie wyliczam, bo zbyt wielka byłaby litanja.

W kwietniu nasi najdrożsi wyjechali na wygnanie. A nie sprawowani nieprzyjaciele spokojności ludzkiej, dopełniwszy tak gorliwie i świetnie jednego dzieła, zdawali się czyhać, czy nie nsunie się drugie. Jakoż nastroczyła się okoliczność! I z małych rzeczy, dzieciństwa, znowuż wysnuły się cierpienia i męki. Odwiedzałyśmy wciąż pozostałych więźniów w klasztorze Bazyljanów, w towarzystwie Antoniny z Sulistrowskich Sniadeckiej, ona, uczuciem litości uniesiona, rozdała im, i kilka akademikom, pierścionki srebrne z godłem Opatrzności, nie zapominając i o oficerach, którzy przyjaźni dla więźniów, rozmaite im powolności robili. Któż przypuszczał, że w niewinnej myśli dopełniając miłosiernego uczynku, takie sobie gotujemy piekło? Sniadecka została aresztowana, wielu uwięzionych, ogromne kabały się rozwinęły i my biedne z siostrą, tęskniące do mężów i śpieszące za nimi na wygnanie, w tem zamieszane. Ciągane na „doprosy” z dwoma siostrami do księcia Trubeckiego, Dołhorukiego i Górczakowa, który z Warszawy umyślnie dla tego „dzieła” przyjechał, coraz bardziej znękanie, zdawało się nam, że życie nam ze łzami sływa, a synkowie nasi, trzymani wraz z nami w areszcie domowym, biedne dziatki, bladły i niszczały. W październiku wzywano nas do Komisji w klasztorze Bazyljanów, z Pauliną na t. zw. oczne stawki. Wracałyśmy z tych okropnych murów znękanie, smutne i sił pozbawione. 1-go lutego Antoninę Sniadecką przewieziono do klasztoru mniszek Bazyljanek. Dzieło więc szło coraz na gorsze i groziło przedłużeniem. Na wojennego gubernatora przyjechał generał Mirkowicz, prezydentem Komisji został pułkownik d’Obry, z godnemi siebie pomocnikami. Z Petersburga przysłano generała Suchozanetha do rozpatrzenia sprawy. Odjechał niebawem, nic nie znalazłszy ważnego. A tymczasem pod władzą komendanta Essakowa nieszczęśliwi więźniowie bez ulgi, bez pociechy, jęczeli w swych celach samotnych, wzdychając do końca, choćby ten miał być najgorszy, W tych okolicznościach odbyły się sejmiki, na które wielu zjechało się oby-

wateli, a nasi wygnańcy już dowiezieni na miejsce w Wielkim Uściugu karę swą odbywali. Na lato pozwolono nam wyjechać na wieś do ojca i do rodziców męża, ale gdyśmy wrócili w październiku do Wilna, już w listopadzie przysłany z Petersburga flügel-adjutant Nazimow sprawę pierścionków nanowo rozpoczął. Antoninę Sniadecką znów z łona męża i dzieci wydarto i w murach świętojańskich, obróconych na więzienie, osadzono. My w areszcie domowym, pod ciągłym dozorem żandarma, siedziałyśmy z siostrą Pauliną w domu romerowskim na Bakszcie, potajemnie tylko widując rodzinę, umykającą z pod oka żandarmów. Dzieci drżały i płakały, uciekając od nich z pokoju do pokoju, gdy wchodzili. Ciągłe wzywano nas do Komisji i najcięższe przechodziłyśmy tam chwile, a do kościoła tylko na Wielkanoc pozwolono nam pójść, w asystencji kwartalnego. Nasi stróżowie ciągle pili i wyprawiali burdy z naszą służbą. Tak przeszła zima. 5 maja Antoninę Sniadecką z murów świętojańskich odwieziono do domu bardzo chorą, słabą. Na 26 czerwca uroczysty był wjazd biskupa Kłagiewicza do Wilna. My nie traciłyśmy serca i nieustannie podawałyśmy prośby, by nam do mężów pozwolono jechać. Jednak znów przeszło całe lato, pozwolono je na wsi spędzić. W sierpniu udało się nam pojechać do Kowna na czas przejazdu cesarza, chciałyśmy podać prośbę. Za protekcją Dmitrjewa pułkownika, który z księciem Paskiewiczem pod naczelnictwem Barkley de Tolla kampanję 1812 roku odbywał, a bywając często u żony generała Suchozanetha Reiny Białożorówny z domu (synowicy pierwszej żony mego ojca), dobrze u nich przyjmowany, a przytem wielbiciel jej wdzięków, zachował wiele przyjaźni dla familji Białożorów. Ten Dmitrjew, opowiedział Paskiewiczowi o naszej niedoli, a książę oznajmił generałowi Mirkowiczowi, że mamy pojechać do mężów. We wrześniu miałyśmy już paszporty od generała Kawenina, pojazdy umacniano na drogę, nas oszywano w ciepłe odzienia, pakowano rzeczy i prowianty. W sercach naszych dzieliły się uczucia żalu i radości: pożegnanie z rodziną i nadziei połączenia się z mężami, z którymi na wygnaniu lat kilkanaście miałyśmy spędzić”. Wśród obcych, w tęsknocie za krajem i rodziną rodząc i wychowując dzieci żyły na wygnaniu obie te siostry, Zofja Romerowa i Paulina Kończyna. A gdy wreszcie wróciły i synowie ich dorośli, przyszedł rok 63 i ci znów poszli na wygnanie, do więzienia, za tę samą sprawę... Wolności!



WSPOMNIENIA DNI MICKIEWICZOWSKICH  
W PARYŻU

27 IV — 3 V 1929

*Parler de Mickiewicz, c'est parler du beau, du juste et du vrai; c'est parler du droit dont il fut le soldat, du devoir dont il fut le héros, de la liberté dont il fut l'apôtre et de la délivrance dont il est le précurseur.*

Victor Hugo (1867 r.)

*Mickiewicz, l'égal d'Homère, de Dante et Shakespeare a droit à d'immortels éloges.*

Comte de Beaumont

(Z przemówienia w *Union Interalliée*  
d. 30.IV.1929).

**M**inęły cztery miesiące od owych dni kwietniowych, kiedy w Paryżu na *Place de l'Alma* stanął pomnik Adama Mickiewicza. W dzisiejszym okresie żniw naszych dalekim wydaje się czas, gdy spóźniona, jak na Paryż, wiosna okrywała go lekką siatką pierwszej zieleni.

Wracam do tych dni wiosnianych.

Wpatruję się w niewygasłą w pamięci siedmiobarwną tęczę wielkiego tygodnia. I jeżeli mam na propozycję „Źródła Mocy” podzielić się osobistymi wspomnieniami dni tamtych, pragnę, by podróż, która po latach zawiodła mnie z nad Wilji na brzegi Sekwany, była dla czytelnika tem, czem była dla mnie.

Dzieło Bourdelle'a, pomysł uwiecznienia Wielkiego Pielgrzyma, znane mi było oddawna. Przed ośmiu laty widziałem fragment w Salonie paryskim, całość projektu — w pracowni Mistrza. Z pism wiedziałem o bliskim urzeczywistnieniu, uroczystości, która w dniu 28 kwietnia skieruje oczy z Polski całej na ten plac, widniejący jak gwiazda na planie Paryża nad Sekwaną, w pobliżu Pałacu Inwalidów, Pól Elizejskich i obu Pałaców Sztuki. Nie przypuszczałem, że będę świadkiem tego momentu.

Była już druga połowa kwietnia, kiedy Rektorat powierzył mi mandat delegata Uniwersytetu Stefana Batorego. Przyznaję się do emocji niezwykłej, gdym sobie mógł powiedzieć, że będę wysłannikiem Wszechnicy, dla której Ucznia staje pomnik.

Kilku dni do wyjazdu ledwo mi starczyło dla zakończenia spraw bieżących, załatwienia niezbędnych formalności oraz wyekwipowania się. Radjostuchacze wileńscy zrozumieją mnie, jeżeli te przygotowania przedwyjazdne nazwę „kłopotami Oszmiańczuka”. A zająłem się jeszcze dobraniem i ułożeniem do wieńca z palm wileńskich wstęgi-samodziału. Pracownia haftów, pełna ofiarnego zapału, przez dwie doby wyszyła na srebrzystem tle amarantowy dwujęzyczny napis.

Nad ranem 26 kwietnia przejeżdżałem za Zbąszyniem granicę. Szaruga. Tu i w okolicach Berlina śnieg. Zdawało się, że do wiosny bardzo daleko.

Płaszczyzna, olbrzymie połacie pól skrętnie oranych, i czem dalej na zachód, coraz częstsze i gęstsze osiedla, miasta z wieżycami starych kościołów, fabryki. Przedmieścia, krzyżujące się pociągi podmiejskie i obwodowe. Berlin nowy, rozłożysty z dawnym staro-pruskim w środku. Szereg dworców berlińskich i znowu przedmieścia, dzielnice zachodnie.

Za Hanowerem pejzaż przestaje być monotonnym. Kraj coraz bardziej falisty. Przecinamy wzgórze-wał, *Porta Westphalica*.

I odtąd z naturą zaczyna rywalizować to, co stworzył i stwarza człowiek, coraz bardziej ją zasłaniając. Aż hen za Ren, do granicy belgijskiej, jedno prawie nieustające miasto, kolonje podmiejskich wil, kolonje domów robotniczych, jedne i drugie jakby dziś postawione, i kominy, kominy, kolosy, ubrane w czarne pióropusze dymów, a wieczorem ziejące ogniem wśród nieprzerwanych sznurów migocących świateł.

Jeszcze o zmroku wjechaliśmy w Nadrenję. Tu pierwsza zapowiedź wiosny. Pierwsze zielonkawe drzewa, pasące się już owce.

Ren. Katedra Kolońska.

W pociągu naszym — polskim, „Stołpce-Paryż” — pozmieniali się kolejno pasażerowie. Jedni powysiadali, drudzy wsiedli na ich miejsce, wnosząc ze sobą mowę kraju, przez który się jechało: polską, niemiecką, francuską. A stacje graniczne znaczone przez odmiany mundurów urzędników celnych i kontrolerów paszportowych.

Przejazd przez skrawek Belgji i wjazd do Francji odbywa się w nocy. W St. Quentin — zamiast sterczących jeszcze w r. 1921 rozstrzaskanych upiornych murów i lichej prowizorycznej stacyjki — dworzec i tuż, w ukośnym świetle elektrycznym, białe kolumny mauzoleum...

Poranek. Jesteśmy na ziemi francuskiej. Jakaś łagodność w powietrzu i pierwsze różowo-białe, wątle jeszcze wiązanki drzew kwitnących w ogródkach przedmieść Paryża. Paryż!



Biorę *taxi* i pędzę przez miasto (gdzie na każdym kroku wystają razem z gmachami dawne wspomnienia) na drugi brzeg, jakby przez wielkie przeżycia z powrotem na brzeg dawnych wzruszeń młodości. Dla iluż nie jest ten *Montparnasse* krajem lat minionych, co zawsze drogim zostanie, jak pierwsze dni wiosny na przemian słonecznej i burzliwej, jak pierwsze zanurzenia się w wir pulsującego życia w beztrosce incognita. To też ogarnia głębokie wzruszenie, że się znowu tu jest. A że czuje się tu powiew południa w tej wczesnej porze poranku, więc jest jakaś słodycz poza tem nieuchwytnem, co jest w tem dziwnem tyłowiekowem i zawsze młodem mieście.

W hoteliku przy *Boulevard St. Michel*, gdzie stawał przed laty, gospodarze poznają mnie i witają jakby witali kogoś z grona bliskich znajomych. Mam pokój z oknem do dołu, wychodzącym na typowe paryskie podwórko. Jest jeszcze uśpione, żaluzje jak powieki opuszczone, nim obudzi się życie dnia powszedniego z odgłosami rytmicznie powtarzających się godzin pracy, posiłku, wypoczynku. Jeżeli w Paryżu często uderzały mnie żywe wciąż echa XVIII wieku, to może najbardziej w podwórkach tych. Zresztą w ich stronę zwrócone jest życie nie odgradzonych tak szczerlnie jak na północy mieszkań.

Po trzech nocach, spędzonych w wagonie, chciałoby się zażyć wytchnienia jaknajdłużej, lecz nie znając programu dni, jakie nas czekają, muszę się zaopatrzyć w karty wstępu, umówić się z innymi delegatami, wreszcie zająć się wieńcem. Obawiam się sobotniego *weekend*.

Udaję się więc taksówką na *Avenue Georges V* do gościnnego domu senatora dr. Motza, gdzie zamieszkał gimnazjalny mój, a obecnie uniwersytecki kolega prof. J. Szymański, marszałek Senatu, by informacji wszelkich zasięgnąć. Wiedziałem z planu w przewodniku, że przezwane niedawno ulice: *Avenue Georges V*, wraz z *Avenue Wilson* i *Avenue de Tokio* (a więc o nazwach niedawnej wszechświatowej konstelacji koalicyjnej) zbiegają się na *Place de l'Alma*. Wiedziałem też, że przy *Avenue de Tokio* w pobliżu pomnika znajduje się gmach naszej Ambasady. A jednak dojeżdżając zaskoczony byłem, gdy przy skręceniu od strony Sekwany ujrzał przed sobą odsłonięty prawie całkowicie — złoty pomnik! Doznałem pewnego choc'u. Przy rozwartych perspektywach pięciu ulic i schodzących się między niemi blokach domów, pomnik, którego monumentalne ujęcie miało się wciąż w pamięci, wydał mi się za małym. Może za krótkim. Dopiero później, gdy po wielekroć go obchodził i sta-

wał bliżej, odnajdywałem odpowiedni punkt patrzenia. Wiąże się z tłem najlepiej, jeżeli się zbliżyć od mostu, skąd się go ma wprost przed sobą i gdzie postać Pielgrzyma unosi się nad kolumną na tle nieba, między zbiegającymi się za nim w dół linjami domów. Stąd wykonano następnie większość zdjęć. Stąd też ogarnia wzrok odrazu obie główne figury — Wieszcza i Bellony. Te są dla mnie najbardziej imponujące. Rozwarte skrzydła dolnej figury, nadzwyczajnie oddanej w ruchu oraz miecz oburącz trzymany nadają pomnikowi sylwetę kolumny rostralnej. Wieńczy ją znana z licznych reprodukcji postać idącego przed siebie z podniesioną ręką Poety - Pielgrzyma. Umieszczenie człowieka kroczącego na niedużej platformie szczytu razi niektórych krytyków. Mnie się wydaje to w tym wypadku umotywowanem, gdyż przy mocno ustawionym słupie przez kompozycję obu tych figur, umieszczonych wysoko i dążących przed siebie, osiągnęło się wrażenie ruchu naprzód i wwyż.

Bourdelle dał sam tłumaczenie swego dzieła\*). „Pomnik stoi jak olbrzymi miecz, zatknięty w skałę. Ma gardę poziomą, złożoną ze skrzydeł Ducha Epopei, unoszącego się przy głowicy miecza. Wysoką rękoność stanowi postać samego Adama Mickiewicza”.

Może myśl o mieczu podsunęła twórcy pomnika pomysł wykonania go nie z marmuru lub granitu, lecz całkowicie z brązu złoczonego.

\*

Zasugerował mi i zatrzymał mnie pomnik. Odchodzę od niego, by dopiero nazajutrz na uroczystą chwilę odsłonięcia wrócić.

Tymczasem niech Czytelnik zechce mi towarzyszyć, jak innym przybyłym do Paryża na te dni, w niedalekim promieniu do Ambasady naszej i do Biura Prasowego po przygotowane w kopertach karty na szereg przewidzianych uroczystości oraz po inne informacje. A dalej z powrotem na *Boulevard du Montparnasse* do zakładu ogrodniczego. Tu przekonałem się, jak w r. 1921 podczas urządzania Wystawy polskiej przy Salonie w Grand Palais, że rutynowanych i właśnie do rutyny przyzwyczajonych rzemieślników paryskich nie trudno pozyskać dla wykonania niecodziennego zadania o ile się w nich rozbudzi zainteresowanie ukrytego w nich artysty. Śród polifonji kwiecica o najprzeróżniej-

\*) Przedmowa do katalogu wystawy rzeźb Bourdelle'a, otwartej w d. 4.V.29 w Galerie Danthon z powodu odsłonięcia pomnika.



szych kolorach, od kontrastowych do wyrafinowanych w swej harmonii barw, wśród pracowników, układających w ciągu całego dnia wiązanki imieninowe, bukiety ślubne, lub wieńce pogrzebowe, zakończone we wstęgę, lub wstążkę w przepisowy sposób, zjawiałem się z wiązanką niespotykanych dziwnych „palm” ludowych i skromną szarą płachtą. Myślałem o kłosach do wieńca dożynkowego, lecz na telefoniczne zapytania zakładu różne źródła zawiadły. Musiała więc jako podłoże służyć zieleń. Ale gdy nazajutrz rano, pomimo niedzieli, młody subiekt zaczął coraz bardziej ochoczo najeżać zielone koło barwnymi pasiastami „wierzbanami”, zrobiły swoje, ukryły obce tło, a oskrzydłone srebrzystą płachtą skupiły około siebie uwagę wszystkich pracowników.

Tyle o wieńcu z nieśmiertelników, co przed kilkoma tygodniami ufarbowane zostały na tradycyjną Niedzielę Palmową, a którym danem było z pod strzech podwileńskich lec u stóp Wieszcza tam, gdzie tak tęsknił.

\*

Na sobotę tę, jako przeddzień uroczystości głównej, już miało się dwa zaproszenia: na śniadanie, wydane przez *Institut d'Etudes slaves* Uniwersytetu Paryskiego (nie mogłem na niem być z powodu swych zajęć) oraz na uroczyste posiedzenie *Collège de France* w wielkim amfiteatrze Sorbonny.

W wielkiej kolistej sali Sorbonny zebranych było parę tysięcy osób — Polaków i Francuzów. Prezydium, zasiadające przy długim stole, składało się również z przedstawicieli instytucji francuskich i polskich: *Collège de France*—inicjatorki akademii, jako że w *Collège* Mickiewicz niegdyś zajmował katedrę literatur słowiańskich, Rządu Polskiego, Ambasady polskiej, Krakowskiej Akademii Umiejętności, Straży Piśmiennictwa Polskiego. Za stołem prezydjalnym — miejsca dla gości honorowych. (Pewne niedociągnięcia przy wyznaczeniu miejsc dla delegacji zostały w części przy następnych uroczystościach usunięte). Zagaił akademję prezes *Collège de France* prof. Maurice Croizet, po nim mówił prof. Mazon, dziś wykładający w *Collège de France* literaturę słowiańską. Dalej następowały przemówienia polskie (również w języku francuskim): przedstawiciela Rządu hr. Franciszka Potockiego, profesorów Ujejskiego i Kallenbacha, prezesa Akademii Umiejętności prof. Kostaneckiego, Andrzeja Struga. Najbardziej przyczyniła się do podniesienia nastroju porywająca deklamacja artysty Komedji Francuskiej Hervé. Wygłosił — w przekładach francuskich — „Odę do młodości”, fragmenty z „Książ

Pielgrzymstwa”, „Polonez” z „Pana Tadeusza” i wiersz „Połały się łyzy me czyste, rzęsiście”. Deklamacja ta, wygłoszona w środkowej części programu, przerwała monotonię nieco przydługich mów (słaba strona wszystkich akademii). Mowy były czytane, ale wskutek niezgodnienia mówcy się powtarzali. Cytata: „Nazywam się Milion, bo za miliony kocham...” przytoczona została trzykrotnie.

Gdy się z sali wychodziło przez podwórze Sorbonny, otoczone sędziwymi zczerniałymi murami, a dalej na rzęsiście oświetlone ulice, czuło się, że zespolenie elementów, jakie na uroczystość złożyć się miały, jeszcze nie nastąpiło, czekało się na wrażenia bezpośrednie.

Poranek niedzielny, dnia 28 kwietnia, był pogodny. Na małym placu przed Kościołem „polskim” przy *rue St. Honoré* zjeżdżali się autami oficjalnie zaproszeni, schodziły się „na sumę” gromadki tak charakterystyczne dla wszystkich rozproszonych po świecie kolonij polskich. A wewnątrz — nabożeństwo z kazaniem polskim, sztandary zrzeszeń, pochylające się podczas Podniesienia, — to nieustanne w przeciągu wieków tygodniowe *sursus corda*, samorzutna manifestacja, nuta, która brzmi w obrazach Chełmońskiego, od jego „Kościołków” do „Raławic”. Dziś w prezbiterjum klęczał Ambasador Polski.

Dochodzi godzina trzecia popołudniu. Na *Avenue Montaigne*, jeszcze jednej prowadzącej na plac Alma, przed biurem naszym prasowem ustawiają się w szeregi szkoły, skauci, korporanci, członkowie stowarzyszeń naszych, miejscowych paryskich i z różnych miast francuskich. Dziewczęta w strojach narodowych. Te szeregi, w skupieniu oczekujące, przypominają mi przygotowania do procesji Bożego Ciała gdzieś w Wilnie, na ulicy Zamkowej, lub przed Bernardynami. Są delegacje z wieńcami. Sprawdzam czy są „moi”. Dwóch mężczyzn — na ochotnika — trzyma wieńiec, dwaj inni — końce wstęgi.

Idę na plac. Przed pomnikiem — niezasłoniętym — ustawiono trybunę z dachem płóciennym, jakby namiot o barwach ciemno-czerwonych i żółtych z powiewającymi na masztach chorągwiemi obu państw. Przejrzyste zabezpieczenie trybuny przed możliwym deszczem jest wskazane, bo niebo — już nie słoneczne — nawleczone jakby olbrzymią szarawą chustą. Niejeden z obecnych na placu spogląda z niepokojem w górę.

Naokoło balustrady, okalającej w pewnej odległości pomnik, formuje się tłum, z boku ustawia się orkiestra Gwardji Narodowej. Po wykazaniu się z posiadania karty wstępu dochodzi się



do swego miejsca w szeregach krzeseł na trybunie. Dla nas delegatów zarezerwowany rząd drugi. Pierwszy — dla reprezentantów obu rządów, prezydentów parlamentów, dyplomatów oraz dla syna i wnuków Wieszcza.

Formują się grupy. Obok dygnitarzy naszych poznaje się znanych z ilustracji w pismach Francuzów. Ambasador Chłapowski wita ministrów Painlevé i Marraud, prezesa izby deputowanych Bouisson; marszałek Daszyński ożywioną prowadzi rozmowę z Ignacym Paderewskim. Jego piękna głowa o długich siwych włosach ogólną zwraca uwagę. Jutro pisma paryskie po wymienieniu obecnego świata oficjalnego, podadzą osobno w dwóch wierszach: „Był Paderewski”. „Był Antoine Bourdelle”. A nad szpaltami ukazą się — obok pomnika — ich podobizny.

Wszyscy zajmują miejsca, a za chwilę wstają, by wysłuchać obu hymnów. Na katedrę, ustawioną przed trybuną, wchodzi pierwszy mówca, dyrektor Lewandowski, syn emigranta, by w imieniu Komitetu przekazać pomnik miastu Paryżowi. Odpowiada, przyjmując w imieniu Paryża ten dar, prezes Rady miejskiej Lemarchand. W dłuższym przemówieniu podaje cały życiorys poety minister oświaty Marraud, zatrzymując się dłużej na przyjaźni, łączącej Mickiewicza z Quinetem i Micheletem; ostatni przemawia ambasador Chłapowski. Jak wszyscy mówcy mowę swą odczytuje, ale głosem donośnym i podkreślając mające szczególne znaczenie mocne momenty polityczne.

Przy dźwiękach „Warszawianki” rozpoczyna się składanie wienców: od Rzeczypospolitej Polskiej, od Armii Polskiej, od miasta Paryża, od Wszechnicy Wileńskiej, od Polaków z dzisiejszej Litwy, od stowarzyszeń polskich we Francji.

Tu — w chwili, gdy operatorzy filmowi i fotografowie, po uchwyceniu jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości różnych osobistości i grup, wrócili do swych czynności, padły pierwsze krople deszczu, tak szczęśliwie dotąd tylko grożącego.

Składając Twórcy pomnika gratulacje i wyrazy wdzięczności Wilna, wręczam mu, na jego prośbę, jedną „wierzbę” wileńską, drugą doręczam Józefowi Mickiewiczowi.

Charakter mniej oficjalny, natomiast całkowicie swojski, miał następny moment, przewidziany w programie uroczystości: akademja, urządzona staraniem stowarzyszeń polskich w Paryżu, w sąsiedztwie placu Alma w lokalu przy *Avenue d'Jena*. Sala, mieszcząca jakie sześćset osób, była przepełniona. Barwny widok nadały widowni stroje sokołów, hallerczyków, dziewczęce ludowe i unoszące się sztandary, wysłane z delegacjami ze wszystkich

krańców Francji. Tu mówili swoi do swoich. Pierwszy przemówił sędziwy weteran 63-go roku dr. Gierszyński, dalej — minister Car i kolejno każdy z delegatów Uniwersytetów naszych, witając rodaków na obczyźnie w imieniu miast, skąd jako delegaci przybyli, wreszcie prezes związków robotników polskich we Francji Rejer. Słowa jego wielką prostotą swą i szczerością wywarły szczególne wrażenie.

Ściśle według programu odbył się wieczorem w Ambasadzie Polskiej obiad dla Prezydenta Rzeczypospolitej. Pozostał też na raucie i dopiero o godz. 11<sup>1/2</sup> opuścił p. Prezydent Doumergue Ambasadę.

Raut zgromadził do tysiąca osób. W przyjęciach, wydawanych w pałacu ambasady przez pp. Chłapowskich, biorą z pewnością często udział członkowie kolonji polskiej. Przyznam się, że na przyjeźdnym z Kraju dzisiejsza siedziba naszego dyplomatycznego przedstawicielstwa, mogąca wytrzymać porównanie z takimiż placówkami innych państw, sprawia wrażenie niezmiernie dodatnie i trudno oprzeć się radosnej dumie, uczuciu wdzięczności, że siedzibie tej nadano tę godność i zakrój. Liczne i ciężkie obowiązki swe reprezentacyjne spełniają państwo Chłapowscy w sposób pełen pogody i naturalności, która nie może nie udzielić się przebywającym w ich gościnnym domu.

Jako artysta pragnę podkreślić wytworność ram, w jakich te przyjęcia (byłem na dwóch rautach i na five o'clocku w dniu 3-go maja) się odbywają. W szczegółach drobnych, jak kartach i programach, w ukwieceniu olbrzymiego stołu obiadowego, umundurowaniu upudrowanej służby, utrzymany jest tradycyjny styl przyjęć wielkoświatowych. Szczęśliwym pomysłem było zaproszenie do części koncertowej w dniu przyjęcia Prezydenta słynnej odtwórczyni dawnej muzyki p. Wandy Landowskiej.

Po dniu, pełnym wrażeń, dążyłem do swego hotelu wzdłuż brzegu Sekwany. Wprost bramy gmachu ambasady z drugiego brzegu migotała na ciemnym tle nieba w kaskadach mieniących się światła wieża Eiffel. Wybrzeżem pędziły auta. Jedno i drugie należy do zwykłych wieczornych obrazków paryskich.

Był jeden motyw niepowszedni. Na pobliskim placu wznosił się, lśniąc w świetle zawieszonych na ten jeden wieczór reflektorów, pomnik, gloryfikujący polskiego Wieszcza.

Pomimo późnej godziny stały, zmieniały się grupy przechodniów. Słyszało się mowę nie tylko francuską. Przez niedługą chwilę doleciały mnie dźwięki kilku języków. Byłem świadkiem pierwszych pytań, do których zmusza pomnik: „qui était-ce, Mikiewicz”?

\*



Nim opowiem—w skrócie, by nie nużyć dalej Czytelnika,—o przebiegu dalszych uroczystości, pragnę zatrzymać Jego uwagę na tem, com sobie owej niedzieli—a dalsze dni były tego potwierdzeniem—uświadomił.

W centrum Paryża, w centrum stolicy Francji, stanął pomnik dla Poety innego narodu.

Nie militarny. Nie dla bohatera, który wspólnie walczył o wolność narodu.

Pomnik dla poety, dla poety obcego.

Jest w Paryżu pomnik Dantego, jest pomnik Szekspira. Przybywa, jako trzeci, nasz Mickiewicz.

Tamte pomniki trudno odnaleźć, ten trzeci stanął w jednym z centrów pulsującego nowoczesnego życia Paryża.

Gdyby stanął w dzielnicy dawnej, starej, tej, gdzie za życia przebywał Adam Mickiewicz, w bliskości Biblioteki Polskiej, zostałby uwieczniony jako wielki poeta epoki, jako emigrant, który znalazł gościnę w tem mieście i kraju, a któremu wspólnie z luminarzami miejscowymi danem było nieść naukę młodzieży, uświadamiać współczesnych. Nie uwieczniono go jako takiego. Bo wielkich było w różnych czasach wielu, z krajów dalekich nie jeden oparł się o Paryż. Lecz żaden nie dostąpił takiego uwiecznienia swej twórczości, swego dzieła.

Dlaczego On?

A może niezwykle to wydarzenie spowodował sojusz francusko-polski?

Sojusze, konstelacje polityczne, wspólności kulturalne upamiętniane były w tymże Paryżu nadaniem placom, ulicom, mostom, instytucjom nazw i imion, mających świadczyć o znaczeniu wydarzeń lub osobistości, których imiona z nimi są związane. Nie postawiono jednak pomnika.

Francuz jest bardzo ekskluzywny, paryżanin bardziej jeszcze.

On zazdrośnie miłuje swój Paryż. I nie tylko miasto to, w którym jak w soczewce, odbija się cała historia Francji. Zazdrośnie pragnie paryżanin zachować czystą, bez wpływów i domieszek, idących od innych ras, wytwórczość i twórczość u siebie wszelką, najbardziej właśnie w literaturze, poezji, sztuce plastycznej, w teatrze.

Jakżeż on oddał pod apoteozę tego Intruza jeden z placów miejskich najwidoczniejszych, najcenniejszych, dziś i na przyszłość?

W sam środek Paryża, tego centrum świata, w bity został złoty gwóźdź, a na nim wypisany wyraz: Mickiewicz.

A Francja dała swoje żyro. Na zawsze, na wieki. Jakżeż ona to uczyniła, ona, rozważna i ostrożna?

Nie dla wspólnych cech, nie dla tradycyjnej tylko i wypróbowanej przyjaźni dwóch narodów, nie dla analogii sytuacji politycznej obu państw, lub naturalnego sojuszu zdobyło się społeczeństwo francuskie na śmiały ten krok, wobec wieków, jakie mają przyjść, tak odpowiedzialny.

Uznała Francja Mickiewicza za tak wielkiego, by go wywyżżyć w oczach świata całego, wypisać to imię jako nieśmiertelne — dla tego, bo odnalazła w Nim wartości ogólnoludzkie, idee nieśmiertelne.

I zrozumiały przewodnie duchy, zazdrośnie oddane wielkiej Francji Historji, że i tym razem Francja będzie pierwsza w pochwyconiu wielkiego waloru dla ludzkości całej.

W „Księgach Pielgrzymstwa Polskiego” duch francuski odnalazł uderzające dziś bardziej, niż kiedykolwiek, słowa wieszczce i myśli, które winny się stać własnością wszystkich ludzi.

Zrozumiany został Pielgrzym-Człowiek.

Błogosławiona niech będzie Francja, w której On znalazł gościnę nie tylko doczesną.

I błogosławić będą kiedyś Francję ci z blizkich i dalekich krajów świata, co Go dziś nie znają, za to, że Francja im Go ukażała.

\*

Echa uroczystości, która w drugim dniu osiągnęła była swój punkt kulminacyjny—odsłonięcie pomnika, pochłaniały nas, unosiły się nad nami, jak jakaś kaskada, w przeciągu dni ośmiu. Oktawa.

Dzień każdy przynosił nowe zaproszenia. Streszczę się krótko. Zaraz nazajutrz po odsłonięciu pomnika odbyło się drugie przyjęcie wieczorne—również z częścią koncertową—w Ambasadzie, tym razem specjalnie dla przedstawicieli obu rządów oraz delegacji polskich.—Charakter polityczny nosiły obiady-rauty, wydane w dniach następnych przez Grupę parlamentarną francusko-polską w klubie *Union Interalliée*, której prezesem tak niedawno był nie kto inny, jak Marszałek Foch, oraz przez Instytut Międzynarodowy współpracy intelektualnej Ligi Narodów, ten drugi w starym *Palais Royal* obok *Comédie Française*, w kompleksie gmachów, co tyle widziały historii. Oba te wieczory dały sposobność do wygłoszenia całego szeregu mów. Poza stroną polityczną były to oczywiście przemówienia okolicznościowe, ude-



rzało jednak, że już sam fakt odsłonięcia pomnika spowodował bliższe zapoznanie się Francuzów z twórczością—choćby w urwykach—Mickiewicza. Świeżo wydane zbiory tłumaczeń w znacznym stopniu to ułatwiły. Cytaty, zwłaszcza z „Ksiąg Pielgrzymstwa”, dziwnie czasem nadawały się do zastosowania do czasów naszych. Mówcy nasi (ks. Zdzisław Lubomirski, członek b. Rady Regencyjnej, Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński) z okazji tych skorzystali, by zapoznać polityków francuskich dokładniej z tem, co przechodziła Polska i jak postępuje jej odbudowa.

O uwadze, z jaką urządzane były te przyjęcia, świadczyć mogłyby programy koncertów, połączonych z temi rautami na cześć delegacji polskich. W *Soirée artistique*, urządzonej przez Grupę parlamentarną, brali udział zaproszeni artyści z Opery paryskiej, z *Opéra-Comique*, z *Comédie-Française* (z niezwykłym talentem deklamowała ballady francuskie Mlle Jeanne Sully), wreszcie tancerzy z *Casino de Paris*. Część muzyczną wieczoru w *Institut International* wypełnił śpiew znanej artystki pani Argasińskiej, która odśpiewała polskie pieśni ludowe oraz pieśni Karłowicza.

Szczególniej ciekawe zebranie odbyło się w dniu 1 maja, jako zapoczątkowanie drugiego cyklu uroczystości w związku z mającym się odbyć dnia 3-go maja odsłonięciem tablic pamiątkowych w Bibliotece Polskiej. Na śniadaniu, wydanem przez Delegata Akademii umiejętności Franciszka Pułaskiego, dyrektora Biblioteki, widziało się i poznało przedstawicieli elity nauki francuskiej; dość, że było kilku „Nieśmiertelnych” (wymienię historyka Nohaca). Poniekąd symbolem wspólności nauki francuskiej i polskiej była pani Curie-Skłodowska.

Spotkałem na zebraniu tem szereg osób, które w przeciągu lat ostatnich zwiedziły Polskę i były też w Wilnie, na czele z prof. Emilem Bourgeois. Z satysfakcją wielką przekonałem się w jak żywej i życzliwej pamięci—do drobnych szczegółów włącznie—zachowali to, co w mieście naszym poznali. Również przy innych sposobnościach spotykałem uczestników wycieczki do Wilna *Amis de la Pologne*. Czas nie był wpłynął na osłabienie zadzierżgniętych wówczas przyjaznych stosunków. A niespodzianki miłej niezmiernie doznałem, gdy w jednym ze swych przemówień deputowany Paryża Emanuel Evain wobec liczego, a doborowego audytorjum, wspomniął z pobytu swego w Polsce o dniu w Wilnie, o zwiedzeniu tu szkoły powszechnej i o tem, jak dziatwa gości francuskich spotkała wiązkami kwiecica i—„Marsyljanką”.

Nadszedł wreszcie dzień Święta Narodowego—3-i Maja. Znowu nabożeństwo uroczyste w kościele polskim, a godzina 2.30 popo-

łudniu przeniosła nas do tej części najstarszego Paryża, za Notre Dame, na *Quai d'Orléans*, gdzie Biblioteka Polska wraz z Muzeum Mickiewiczowskim przechowuje najdroższe pamiątki z czasów emigracji. Pozyskała i odnowiła ona dla współczesnych potrzeb naukowych nowe lokale, udostępnione wszystkim badaczom.

W ścianie małego podwórza wmurowane zostały tablice ze spisem imion tych Wielkich i Największych, co tu tę nieoficjalną ambasadę polską wieku XIX-go tworzyli, lub z niej w pracy swej korzystali. A wśród nazwisk wielu, umieszczonych bez wyróżnienia, jakże przykuwają oko widza, przybyłego z Wilna, te trzy: Adam Czartoryski, Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki...

Tu—drugie oblicze tego Janusa, jakim jest Paryż, oblicze to, co mądrze i opiekuńczo spoglądało na rozbitki z naszego potopu, znoszące tu najcenniejsze uratowane relikwie. O ostatnich mohikanach emigracji mówił wieczorem na dorocznem posiedzeniu Biblioteki Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Józef Kallenbach, który był ich jako młody stypendysta poznał osobiście. I myśmy złożyli, jako delegacji Wszechnic polskich, wyrazy hołdu dla pamięci tych, co odeszli, i tych, co dziś, już pod skrzydłami Akademii Umiejętności, rozszerzyli ramy tej najbardziej wysuniętej na Zachód placówki kultury polskiej. Na zakończenie wygłosił świetny odczyt „o trwałych wartościach Ksiąg Pielgrzymstwa Mickiewicza” prof. Ignacy Chrzanowski.

Pożegnaliśmy odchodząc gospodarzy: patrona Biblioteki—Prezesa Akademii Umiejętności prof. K. Kostaneckiego, Dyrektora Franciszka Pułaskiego i Konserwatora St. P. Koczorowskiego, których życzliwości zawdzięczaliśmy dużo ułatwień w przeciągu tygodnia.

Tu—na gruncie jeszcze Książnicy—wspomnieć należy o kilku starannych wydawnictwach jakie w związku z uroczystościami Mickiewiczowskimi i — w porę, by się z nimi zapoznać mogli Francuzi—opublikowane zostały w Paryżu. Wymienię:

„Adam Mickiewicz—*L'homme éternel*” (*pages choisies en prose*) z przedmową prof. A. Mazon; Stanisław Piotr Koczorowski — „Adam Mickiewicz et la pensée française (1830—1923)”; „Adam Mickiewicz—*Poésies*”—wybór najdawniejszych tłumaczeń pisarzy francuskich współczesnych poecie; Jean-Paul Palewski „*Mickiewicz—l'âme de la Pologne*”, wreszcie katalog Muzeum Mickiewiczowskiego.

\*

Pod wrażeniem podniosłem przeżyć wielkich i po dotknięciu się mocnych zrębów dla przyszłych tu prac pragnęło się jeszcze



pozostać w Paryżu dni kilka, by z niego w siebie wchłaniać. Wbiera się jak do akumulatora. Bez obowiązków oficjalnych mogłem pograć się w ten Paryż, do którego tęskno zawsze artyście.

Przebrzmiewały echa obchodu. Jeszcze wizyt kilka, między innymi u wnuczki Wieszcza—panny Marji Mickiewiczówny, u wnuka—doktora Ludwika Goreckiego. Tu nieznany mi jeszcze zbiór pamiątek rodzinnych. Z gruntu jakby wileńsko-nowogródzkiego przenoszę się w bezkresny przestwór wielkiej Metropolii świata.

Raz jeszcze wpatrzeć się w ten nieprzerwany łańcuch szczytów kultury ludzkości.

Luw. Luksemburg.

Wypisuję tu tylko te dwa słowa, jak ktoś, co z dalekiej wróciwszy pielgrzymki, tylko krańce, do których dotarł, wymienia.

Znowu wiózł mnie pociąg w nocy przez północną Francję, Belgię, a w ciągu dnia całego przez Niemcy. Znowu — teren olbrzymiego wysiłku, przenikającej wszędzie pracy.

\*

Gdy w dniu 14-go maja zatrzymałem się w przejeździe w Warszawie, zająłem w kawiarni do leżącego na stole jednego z nowszych tygodników naszych ilustrowanych. Był tam artykuł o odsłonięciu pomnika Mickiewiczowskiego w Paryżu. Przebiegłem oczyma. Potem odczytałem go cały. Połowa artykułu poświęcona była samemu faktowi, tyleż — cała druga połowa — różnym „ale” i „gaffe’ie”, którą popełniono względem niektórych delegatów...

Był to przedsmak tego, co czekało mnie w Wilnie.

Nazajutrz, w dniu powrotu do Wilna, od samego rana ludzie spotykani, witając się, z miną zażenowania wyrażali mi współczucie, że było „tak”. Przysłuchiwałem się, nie rozumiałem. Gdy mi tłumaczyli, przecierałem oczy, jak gdybym się ze snu budził.

Gdym spotkał bliskiego człowieka, który również był świadkiem i uczestnikiem uroczystości paryskich, wypytywałem się go, jakbym był przestał oczom i pamięci swej wierzyć. Widział to, com ja widział, to „najważniejsze” i to „najważniejsze” zapamiętał.

Zabrałem się do przejrzenia w Czytelni Uniwersyteckiej stosów dzienników z końca kwietnia i początku maja. Zrozumiałem napotykanych znajomych. Przypuszczenia, a nawet twierdzenia, że „mogło być jeszcze inaczej”, gaffe’y wobec części delegatów, nie udzielenie przynależnych im — skądinąd słusznie — miejsc, „niedopuszczenie do głosu” — zasłoniły i mnie przy czytaniu place de l’Alma i pomnik wielkiego rzeźbiarza francuskiego dla uwielbianego przez niego Polaka. Przez radjo, w korowodzie dalej

ukazujących się artykułów, dźwięczała ta sama nuta gorczy i zjadliwych dowcipów.

I pomyślałem sobie, że może najbiedniejszym dziś człowiekiem w Polsce jest czytelnik. Jego chlebem codziennym są gorzkie żale, lub gryzący sarkazm, a gdy w poczuciu radości i dumy z osiągniętej zdobyczy, lub zwycięstwa porwie się niebacznie, by wyczytać potwierdzenie, cofa się spłoszony chichotem dotrzymujących zawsze placu trompe-joie.

Przypadkiem natrafiłem na zbiór swój wycinków z prasy paryskiej. I gdym je zestawiał, te artykuły naczelne słowem i obrazem informujące Francuzów o nowym pomniku w Paryżu, tym razem dla wielkiego Wieszcza polskiego, z odgłosami na gruncie swoistym, doznałem uczucia upokorzenia.

Zatrzymałem w ręku wycinek jeden.

Dnia 29 kwietnia „Journal” paryski przytoczył wyjątek z artykułu, który się ukazał w „Kurjerze Warszawskim” przed uroczystością odsłonięcia pomnika.

*„Le Kurjer Warszawski constate: Heureux les Polonais qui ont pu participer á cette solennité”.*

Doznałem ulgi. Oddają te wyrazy to, co pozostało mi najcenniejszym wspomnieniem i wzruszeniem z dni paryskich—wspomnienie doznanego w owych dniach szczęścia.

Wilno, w sierpniu 1929.



## T R O K I

*Wpierw trakt i zwykła droga, potem trakt szeroki,  
 Oto leżą przed nami starodawne Troki,  
 Czem jest błękit jeziora, czem czerwień ruiny,  
 I wysepki zielone i kępy olchowe?—  
 Kiedy istnieje obraz inny, a jedyny,  
 Który czar miejsc zaklętych zmniejszył o połowę.  
 Ruiny mchem porośłe, szpary w rozpadlinach  
 Wcale nie przykuwały wówczas mego oka,  
 I ścieżka, co się w górę ku ruinom wspina,  
 I jeziora niebieskie w starodawnych Trokach.  
 Tylko nocą być mogą Troki tajemnicze,  
 W obliczu duchów dawnych, w dzikich krzykach sowy,  
 Gdy księżyc z poza ruin wysunie oblicze  
 I wypłynie samotny, wielki, purpurowy.  
 I blask nikły i senny zatopi w jeziorze,  
 Sondując czarne głębie, ciche i uspione,  
 Nim się zimne jeziora łono nie otworzy  
 W ugwieżdżonego nieba oddaloną stronę.  
 Piękny jest dla mnie tylko ów pałac w Zatroczu.  
 Tam chciałabym móc mieszkać z człowiekiem kochanym.  
 Okna patrzą w jezioro, jak zdziwione oczy,  
 W zieleni błyszczą białe kolumny i ściany.  
 Nie dla ciebie, podróżny, o tych Trokach piszę.  
 Patrz prosto na jezioro, wysepki, ruiny.  
 Niech cię po modrych falach błędna łódź kotłysz,  
 Niech ci starczy ten widok za obraz jedyny.  
 O jedno tylko proszę — gdy będziesz w kościele,  
 Gdzie przez główne okute wwiódą cię podwoje,  
 Z lewej strony ołtarza spamiętaj — niewiele,  
 Napis: — „nie ufaj nigdy roztropności twojej” ...*

## ŚWIATŁO Z GÓR

**G**dy przychodzi człowiek do człowieka, słuszną jest rzeczą,  
 iż pyta się przybysza, skąd przychodzi i co przynosi?

Przed tem pytaniem — przed Wami stoję — przypomina mi  
 ono chwilę inną — chwilę, gdy po przeróżnych doznaniach mniej  
 lub więcej przykrych i ujemnych, streszczających się w poczuciu  
 wielkiej pustki i większej tęsknoty za wyrazem życia, za życia  
 tego formą właściwą i jedyną — postanowiłem oderwać się od  
 tymczasowości bytu, a wejść w byt sam, w kwiat i owoc bytu.

Po latach, które słusznie nazwaćby można latami tułactwa, sta-  
 nałem w obliczu słonecznych, zielonych polskich gór.

Wraz z szumem drzew, z linią grzbietów zarosłych bukami,  
 dębami i sośniną, jawiły się dźwięki i szmery, rysunki i rzeźby  
 osobliwe, dokonane przez skwary, mrozy, burze i posuchy, — bu-  
 dziło się serce z uspienia — a w duszy wzrastała modlitwa cicha  
 i pokorna.

Ta cnota ciszy i pokory to były zdobycze pierwsze.

Pod ich wpływem rozszerzyły się widnokreśli do granic nie-  
 znanych pierwej — zmysłom, myślom i uczuciom otworzył się kraj  
 niepowседневnej, wyższej rzeczywistości.

Wpływ położenia geograficznego, klimatu, warunków wpływają-  
 cych z okoliczności terenowych, wpływ tych spraw *otaczających*  
 na kształtowanie się zwyczajowe, obyczajowe i pojęciowe ducha  
 ludzkiego — to rzecz znana — ważniejszy jednak, mniemam, jest  
 jeszcze ów wpływ dalszy, mniej uchwytny, że tak powiem *atmo-  
 sferyczny* wpływ, płynący nie z czego innego, jak jeno i wyłącz-  
 nie z wyżynności — z tej linii wznoszącej się śmiało w górę, z tej  
 barwy zmieniającej się z zieleni w błękitną — jakby już nieba się-  
 gającej, już niebem tu na ziemi stać się pragnącej.

Obcując w takiej aurze, pełnej mistycyzmu modrego w otocze-  
 niu, w zalewie prany, która jest wśród powszedniego chleba po-  
 wietrza nizin — słowem bożem — duch ludzki bezwiednie i pod-  
 świadomie przeży się w sobie, nabiera hartu i poczucia niebieskich  
 bezmiarów.

Żeby rozszerzyć w sobie pojęciowo i obrazowo treść tego zda-  
 nia trzeba umieć przejść przez równe dywany kilimowo barwio-  
 nych równin, w srebrze żyta, w złocie pszenicy, przetykanych kro-  
 plami nieba-bławatów i strzępami zórz-maków polnych, gdzie  
 wszystko jest jasne i równe, gdzie tęsknota idzie dookoła po



ogromnym otwartym widnokregu — trzeba — powtarzam — przejść ku niepokoju wzgórz wylegających się na skrajach kompleksów górzystych, jak uspione cielska przedpotopowych zwierząt i poprzez nie wstąpić w nawy wyżłobionych rzekami dolin i wąwozów, wzdłuż których wyrastają w nieprawdopodobnym pięknie i dostojności budowle boże gór, pełne gotyckich drzew szpilkowych i wichrowych bohaterów — drzew liściastych.

Lecz nie wystarczy zachwycać się pięknem zewnętrznym — tak — jak nie wystarcza turystyczna uciecha aby pojąć tajemnicę działania wielkich dzieł rąk bożych. I tak też — chociaż tu życia cudowność istnieje, istnieje wszędzie — jest niejako pod ręką, a my nieświadomi nie umiemy jej wziąć tak, jak tęskniąc do przyjaźni wielkiej, do serca bratniego, któremu i radości nasze i smutki powierzyćbyśmy mogli, nie wiemy, że mijamy się w przechodzie za ledwie dotknawszy się niewidzącymi źrenicami — tak też i tu w tej sprawie górzystości musi nastąpić ów moment łaski poświęcającej, owa wielka spowiedź, komunja szczęsna, owa ofiara z korzyści wdzięcznej i troski powszedniej — aby w nas spłynęło najświętsze, jasne, życiodajne światło z gór.

Zważcie, że nie może nie mieć przyczyn, i to przyczyn wielkich i istotnych, ten pewnik, że najwyższe zagadnienia ducha ludzkiego, cały niesłychany problem religijności człowieczej idzie wyraźnie ze zboczy himalajskich w symbolice praaryjskiej swastyki, że na wzgórzu Bóg wyjawiał przykazania Mojżeszowi, że na wzgórzu padły słowa błogosławieństw Chrystusowych, że na górze stało się Przemienienie Pańskie — że szczyt Golgoty stał się miejscem odkupienia i ofiary.

Cywilizacja i kultura, która idzie po linii najmniejszego oporu, po zagadnieniu gładkiem wygody, panoszy się w nizinach nad drogami płaskich rzek — pobok bieżąc, przesmykuje się z swym hałaśliwym rozgwarem wzdłuż skraju lasów, dotyka stopy górzystej — omija ją, a sama wykrętna — wykręca się właśnie na pięcie i w nową *plaszczynę* wchodzi z pobrzękiem pomylnych i mylnych haseł.

Zapoznając się z tą sprawą bliżej wydaje się już nie obrazem poetyckim, a faktem ścisłym i jawnym, że w górach schroniła się i jasność i jasności siostra duchowa *prostota* — że tam nie w osamotnieniu, które jest ciężarem i porażką, lecz w samotności, która jest rozmową z Bogiem — duch człowieczy znajduje siebie: więc bezpośredniość i szczerłość i bliźniego, więc miłość człowieka, jego trosk, utrapień, jego radości, upadków i wzlotów.

Tak to staje się górzystość ziemi wielkim nowicjatem, przygo-

towującym kapłaństwo serca ludzkiego, które tylko wtedy żyje, gdy jest potrzebą sercu bliźniemu, które wtedy tylko ma rację bytu, gdy drugiemu sercu ujmie troski i smutku, a na ich miejsce zaszczerpi radość i ukojenie.

Nie muszę więc dodawać, że cała ta sprawa nie ma nic wspólnego z etnografią czy folklorem, owszem są one atrybutem artystycznym, niejako stylem myśli, lecz nic też ponadto. Nauka górzystości polega bowiem nie na zewnętrzności, barwności czy śpiewności, a na jej wartościach wewnętrznych moralnych i etycznych.

W zetknięciu z przyrodą wyżynną odpadają słowa puste, a treść słów koniecznych nabiera wagi właściwej, wymiaru należytego: człowiek to człowiek, duch to duch, miłość to miłość; bez krętaństw, matactw i dwuznaczników literackich. Lecz nie tylko słowa — i czyny i doznania w nowem jawią się wymiarze — samorzutnie następuje segregacja spraw mało, lub nic ważnych od bardziej i ostatecznie ważnych — aż cała tajemnica życia nabierze linii prostych, zdecydowanych, pozbytych doszczętnie dywagacji co dobre, co złe, co lepsze, co gorsze. Możnaż sobie wyobrazić większą łaskę, szczęście większe po nad to, że w zawiłościach życia potrafimy znaleźć drogę właściwą, że już nas nie skuszą bezdroża i manowce, że cel nasz jasny, jak słońce wschodzące z poza przepychu zórz porannych? — a kiedyż tego szczęścia zaznać możemy, dostąpić tej łaski? — *wtedy*, gdy pogodzeni z sobą, odnajdziemy największą mądrość *miłości człowieka*.

Jest rzeczą możliwą i pewną, że wypracować w sobie mądrość tę można wszędzie i zawsze, lecz nigdzie prościej, nigdzie łatwiej i nigdzie czystiej, jak na miejscach szczytowych, gdzie niebo zda się miłośnie nachylać ku ziemi, gdzie ziemia z tęsknotą wznosi się ku niebu, gdzie wichry zmiatają naleciałości i wmówienia fałszywe — a naodwrot ze wschodu wiejąc, zasiewają w sercu twem, jak w glebie urodzajnej, ziarna wieczne jak gwiazdy, — gdzie żyje w pierwotnej prostocie tradycja zmagania się człowieka z żywiołem, jego poszukiwanie i znalezienie Boga.

Unikałem dotychczas słowa Beskid — a przecież to o tajemnej mocy tych właśnie gór mówię; unikałem tej nazwy, wpierw bowiem chciałem skreślić w najszybszym skrócie istotność samą wyżynności — tego — co jest, żeby tak rzec — górzystością ducha ludzkiego — tym razem ducha nawskroś polskiego. Chodziło mi o to aby zaraz na wstępie zmyć pojęcie zbyt ciasne lokalności, partykularyzmu i regjonalizmu zbyt łatwego. Tak też Beskid rozpatrzony od strony duchowej, z wysuniętego przyłodka serca —



staje się właśnie symbolem tej górności i szczytowości, o której mówię—staje się skrótem globu ziemskiego, tak jak czas jest skrótem wieczności—jak ziemia jest tonem harmonii sferycznej gwiazd, które przecież są tak samo ziemiami i regionami, na których rozgrywa się misterjum nieba, czyścica, piekła w olbrzymiej wędrówce ducha do światłości.

Z tych to istotnych przyczyn nie opisuję wam, mieszkańcom cudownie rozkwitłego kościołami Wilna, miasta sercu polskiemu tak bardzo drogiego i bliskiego, gdzie każdy niemal kamień brukowy mówi o tem, że tędy szły stopy Króla-Ducha, miasta ziszczającego widomie swą tęsknotę w górze Zamkowej, skąd dojrzeć można bogactwo mityczne i mistyczne tej ziemi, ozdobione wstęgą Wilji, która zaiste jest Bożą wstęgą wieczystej Poloniae Restitutae—szczęśliwi mieszkańcy tej ziemi obiecanej, poświęconej macierzystej opiece promiennej Ostrobramy—nie będę wam opisywał tej przeciwległej—też kresowej—ziemi beskidzkiej—słowa tu bowiem stałyby się dźwiękiem dość pustym i nic nie znaczącym. *Trzeba samemu przejść* drogami gminnymi, obrosłymi wierzbami, topolami i lipami, na których wizerunki Chrystusów fraszobliwych, Chrystusów w piwnicy, Chrystusów upadających pod krzyżem, postacie Świętego Wojciecha, Świętej Katarzyny, i Św. Barbary i wielu innych świętych, cudownych prostotą i gotycką żarliwością tych bezimennych dzieł świątkarzy, temi drogami, które wskazują już nietylko kierunek mapą określony, lecz ten dalszy kierunek ducha, idącego ku pobożności i zaśłuchaniu w melodje budzące się w sercu.

Na drogach tych spotkamy przechodniów witających nas słowem bożem, a pośród nich owych dziwnych wędrówców, którzy od wieków są stróżami legend i mitologii, apostołami pracy i miłości, owych reinkarnowanych ptaków, które słuchały dobrych słów Świętego Franciszka w dolinach i wzgórzach tokańskich—owych powsinogów beskidzkich, druciarzy, szklarzy, sadowników, piecarzy i kamieniołuków. Przewodził im będzie Jędrzej Wowro ostatni świątkarz beskidzki, dla którego rzeźbienie w lipowym pniaku jest modlitwą, żegnaniem się i Ojczenaszem—nic też dziwnego, że promieniowanie prac, których dotykały jego grube, umęczone ręce, jest czyste, uszlachetniające i święte, jak każde dzieło ludzkie, owiane tchnieniem bożym.

W okresach sposobnych, a zwłaszcza w czas późniejszych ścierńskich, drogami górskimi zeszad od Śląska, od Spizu, ze Słowaczyny mając nas będą kompanje odpustowe rozmodlone, rozśpiewane, ekstatycznie zapatrzone gromady, idące pod opieką krzyża i gaika do Żelazdowskiej Kalwarji gdzie króluje Niepo-

kanie poczęta Matka Boska Kalwaryjska, roztaczająca swą cichą i słodką pieczę nad ziemią beskidzką, jak Ostrobramska Pani nad ziemią wileńską.

A jeśli z tą kompanją odpustową serc prostych i pierwotnych pójdziesz na wzgórze klasztorne, doznasz łaski olśnienia, zachwytu i ukojenia—ujrzesz zmęczone a płomienne i rozkochane w błaskach niebiańskich serca ludzkie, wzniesione jak trybularze, utoniesz w upojnej prostocie eleuzyjskiej misteryjności wielkiego hymnu wniebowstąpienia. Tam też ujrzesz niezdarne, lecz jakże przekonywujące, a z rokiem każdym zamierające rzeczywiste misterjum kalwaryjskie, które cię jednym rzutem przeniesie w treść i formę dramatu polskiego—dramatu odrębnego, skupiającego zagadnienie ofiarnego życia z szczęśliwą, bo odkupującą śmiercią.

Lecz wszystko to razem wzięte będzie jednak zewnętrzną choć niesłychanie uświęcającą powłoką—dopiero, gdy zaśłuchany w pieśń dróg i rzek, w melodje serc, w psalmy wzruszeń religijnych—wejdiesz w siebie i w samotności upodobnisz się górom—szczytowo i wyżynnie—wtedy dotrzesz do zagadnień najdalszych i do ich rozwiązania. W prostocie prymitywów otaczającej cię rzeczywistości ułożą się twe zagadnienia życiowe nad wszelki wyraz jasno i prosto. W oderwaniu od doraźności, zagłuszającej szczerłość pomysłów i uczuć, hałasu nieznośnego, idącego do nas zewsząd, od tych skrzeczających chwil, brzęmiących fałszywie w życiu współczesnym, od reklam, dzienników, uciech pustych, jak śmierć niewypracowana, w oderwaniu od szpetoty i kłamstwa—duch podąży wolny do wykreślenia stosunku swojego do zjawisk religijnych, etycznych, artystycznych i społecznych—tą linią idącą ku szczytowi ogarnie mordęgę i znój życia—i pozna to największe prawo, największe przykazanie, które skupia w sobie wszystkie moce, które daje rozwiązanie wszystkim gnębiącym nas zagadnieniom: Miłość człowieka i Miłość Boga.

Zaiste Chrystus z serc ludzkich materialistycznym kramarstwem wygnany—mieszka na szczytach gór, a że przybytkiem jego musi być duch człowieczy, więc nam Go stamtąd brać potrzeba.

Z wyciągniętych miłości rąk Jego spływa błogosławieństwo na serca nasze umęczone—w pokorze przyjmujemy je—bo ono jedno jedynie ziszcza nasze tęsknoty o Królestwie Bożym na ziemi.

Oto jest przykazanie górzystości, polskiej wyżynności—Króla-Ducha narodowego: przemienić się w siebie, odżyć w prostocie i szczerości, ukochać bliźniego, ukochać naród w wielkości i miłości jego, podjąć misję miłości, budować Polskę oczyszczoną od podstaw z naleciałości, zwady, zaślepienia—stać się nową formą



bytu, od rzeczy najdrobniejszej po sprawy najdalsze—wyrość ponad narody płomienną żagwią miłości odkupującej wszelkie zło i upadki. Miłość, dająca sens życiu i śmierci, musi stać się jawą dotykálną, snem naszym i modlitwą. Gdy Chrystus zakwitnie w sercach nas wszystkich, naród stanie się wonnym ogrójcem ładu, szczęścia, wybaczenia i ofiarności — prostoty obcowania, braterstwa świętego — które stoi już w przedsiönku nowej ery Królestwa Bożego na ziemi.

*Wilno, 5/6 lutego 1926 r.*

## N O T A T K I

### DO GENEZY „RYMONDA” AL. FREDRY

Z pracy St. Schnür Peplowskiego<sup>1</sup> wiemy, jak doszło do powstania tak osobliwego unikat w twórczości dramatycznej Al. Fredry, jakim jest libretto operowe z dziejów starodawnych Litwy p. t. „Rymond”. Na podstawie materiałów zachowanych w archiwum rodzinnem Fredrów ustalił ów autor, że inicjatywę do tej opery dał w r. 1835 kompozytor Fr. Mirecki, naonczas dyrygent orkiestry teatralnej w Genui.

Peplowski pobieżnie tylko i lakonicznie poinformował nas o inicjatorze (choć miał w rękach „obfitą” jego korespondencję z Fredrą). A szkoda, bo osobistość to była bodajże nieprzeciętna, a koleje życia jej—iście powieściowe. Niespokojny a przedsiębiorczy duch wywiódł go był po za granice ojczyzny i dał zakosztować odmian losu niebylejakich. Oparł się więc Mirecki na jakiś czas aż w Lizbonie, gdzie był dyrektorem orkiestry; stamtąd zaś przeniósł się właśnie do Genui. Stało się to zaś jeszcze przed r. 1830, skoro go naonczas spotkać tam mogli wojażerowie z Polski: Mickiewicz i Odyniec. Pamiętamy tą scenę spotkania ich w teatrze, podczas antraktu, jak ją żywo opowiedział Odyniec<sup>2</sup>.

Z tegoż źródła wiemy, że Mirecki, korzystając ze sposobności, nakłaniał wówczas gorąco Mickiewicza do napisania libretta operowego, od czego się poeta bynajmniej nie uchylał. Kto wie nawet, czy rzucony wtedy naprędce plan tego utworu (opowiedziany również przez Odyńca) nie zaznaczył się później w pewnej mierze w „Panu Tadeuszu”, mianowicie we wzmiance o bohater-skiej przygodzie Hrabiego pod Birbante-Rocca.

Jak się więc już wspomniało, przedsiębiorczy kompozytor, mający zresztą w dorobku muzykę do „Cyganów” (zapewne Książ-nina), wykonanych na scenie warszawskiej w roku 1822, oraz do trzech innych jakichś oper, przygotowanych dla teatrów włoskich, właśnie pod koniec 1835 r. powziął był śmiały zamiar przygotowania i wystawienia w kraju opery polskiej i zwrócił się z tem do Fredry (zachęcony lekturą jego „Noclegu w Apeninach”, do którego zresztą również wygotował muzykę, a całość później znacznie

<sup>1</sup> „Z papierów po Fredrze”, Kraków 1900, str. 51 n.

<sup>2</sup> „Listy z podróży”, Warszawa 1878, IV 183 n.



wystawił na scenie krakowskiej), ten zaś, mimo świeżego rozgoryczenia po ocenie Goszczyńskiego, zgodził się na współpracę i wogóle gorąco się zapalił do całego projektu Mireckiego.

Nie wiedzieliśmy jednakowoż dotąd, że plan libretta przeszedł był w wyobraźni Fredry pewną ewolucję i że wykonanie jego ostateczne odbiegło nieco od pierwotnego pomysłu. Informuje nas o tem, a co więcej—ów plan pierwotny przekazuje list własnoręczny Al. Fredry, pisany do Mireckiego, a przechowywany dzisiaj w Archiwum Akt Dawnych Miasta Krakowa, w zbiorach po Ambr. Grabowskim (Autografy znakomitych mężów Polaków):

Dn. 1 lutego 1836 z Lwowa.

Wezwaniu W. Pana Dobr., dla mnie ze wszech miar pochlebnemu, czynię zadość, przełożę mu plan opery tak, jak dał się chwycić i rozwinąć w tak krótkim czasie,—nie mogę jednak wstrzymać się od zapytania, kto ją śpiewać będzie. Zdaje mi się także, niż wspólna praca kompozytorów wspólnie, łącznie i razem prowadzoną być powinna. W oddaleniu, wątpię, abyśmy mogli dopiąć naszego celu. Ale probujmy.

W Hist. Pol. czytam: „Mendog, książę Litewski, przyciśniony od nieprzyjaciół, szukał pomocy w chrześcijaństwie—przyjął wiarę Ś., Krzyżakom Żmudzi odstąpił i za przyzwoleniem papieża Królem się Litwy koronował 1252 r.—Wkrótce jednak, nie mogąc znieść dumy Krzyżaków i żałując straconych Krajów, porzucił Wiarę Św... Ciągłe napady swoje na sąsiedzkie Litewskie i Ruskie kraje ponawiał i jako poganin, będąc Panem Litwy i Prus, potężnie wojował, aż przez Trojnata i Dowmunda, któremu żonę uwiódł, wraz ze synami swoimi zamordowany został 1263 r.... Zabójstwa tego pomścił się syn jego, Wojsielko, zabiwszy Trojnata, znajdując[cego] się z wojskiem swoim nad Niemnem wobec wojska krzyżackiego, którzy przychodzą pomścić się śmierci Trojnata i Litwinów zmusić do Wiary Ś. — Tu początek akcji.

*Osoby:* KSIAŻĘ Wojsielko (imię szkaradne, którego unikać będziemy).—ŚWIĘTORÓG, Arcykapłan.—NARYMUNT, wódz litewski.—BERTA, siostra Mistrza Krzyżackiego, narzeczona Alana.—KLARA, pufać Berty.—GOT-FRIED, komtur krzyż.—ALAN, kochanek Berty, w stroju krzyżackim.—CHÓRY, WAJDELOCI, KRZYŻAKI, LUD LITIEWSKI, KOBIETY.

## A K T I.

Scena wystawia Święty Gaj. Dąb rozłożysty w środku, przed nim posąg Perkuna, Boga Wojny (. . . .)<sup>1</sup>. KSIAŻĘ, NARYMUNT, ARCYKAPŁAN, CHÓR WAJDELOTÓW, czyli kapłanów, CHÓR LUDU, CHÓR KOBIET.

<sup>1</sup> Jedno słowo nieczytelne.

Blagają o zwycięstwo. Introd[ukcja] naprzykład:

CHÓR WAJDELOTÓW Boże Wojny, Boże męstwa,  
Wrogów zwalczyć moc nam daj

CHÓR KOBIET Broń nas, broń!

CHÓR MEŻCZYŹN Wiedź nas w bój!

CHÓR WAJDELOTÓW A napełni w dzień zwycięstwa  
Poświęcony tobie gaj

CHÓR KOBIET Woń i kwiat,

CHÓR MEŻCZYŹN I krwi zdroj.

KSIAŻĘ (Recit.) Potężnej Litwy dzielni Wodzowie!  
Słudzy Bogów, Ludu ojcowie!  
Zakon Krzyżaków, łupieskie plemię,  
Na pradziadów naszych ziemie  
Świątokradzką stawia nogę —  
I w nasze siedliska  
Na nowo ciska  
Mord i pożogę!  
Uderzcie w tarcze i bojowy róg!  
Odgłosem wojny niech z Ponarskich gór  
Zagrzmie Litewski bór,  
Aż zadrży wróg!  
Idźcie, stawcie hufce w rzędzie!  
Wkrótce stoczym bitwę, —  
Naszem hasłem będzie:  
Za Bogów i Litwę!  
(wszyscy odchodzą)

KSIAŻĘ Narymunt zostanie! —  
Ach, Narymuncie, w tej stanowczej dobie,  
Co mi najdroższe, chcę powierzyć tobie.

NARYMUNT Rozkaż, Panie!  
Narymunt twoje słowa  
W pamięci zachowa.

KSIAŻĘ (Arja) Serce moje bije  
Miłości i sławie —  
Dla tej życie stawię,  
A dla tamtej żyję.  
Jeśli srogi cios  
Da mi śmierć w tej dobie,  
Mojej Berty los  
Powierzam ja tobie.



Niech, nieczuła, wolność ma  
Do ojczystych wrócić stron, —  
Tam choć jedna może lza  
Gardzonego spomni zgon. —  
Ach tobie ja, tobie  
Zwierzam Berty los,  
Jeżeli w tej dobie  
Zgubny wezmę cios.

*Scena 2.*

Jeden z wodzów oznajmia, że oddział Krzyżaków, poselstwo, zbliża się do obozu. Książę w miejscu ich oczekuje. Słychać za sceną śpiew Krzyż.: PSALMÓW. Muzyka kościelna, akompanjament cichy waltorni, oznaczający marsz konnicy,—i kiedy śpiew ustał, a Krzyżacy wstępują na scenę, marsz, z połączeniem innych instrumentów, trwa ciągle.

KSIAŻĘ, NARYMUNT, ALAN, KOMTUR, ARCYKAPŁAN, CHÓRY LITWINÓW i KRZYŻAKÓW.

Komtur wyrzuca Księciu odszczepieństwo jego od Wiary Ś. i zabójstwo Trojnata,— przynosi klątwę, lub przebaczenie pod warunkiem, aby wrócił do Zakonu, wydał Bertę. Litwiny chrzest przyjęli i za panów swoich wiecznych Krzyżaki uznali. Oburzenie Księcia i odrzucenie z wzgardą.

Kwartet albo kwintet z Chórami:

KOMTUR (śpiewa)	Ugnij kolana etc.
KSIAŻĘ,	Zuchwały, lękaj się, aby twoja głowa nie spadła etc.
KOMTUR	Wojny zatem chcecie?
CHÓR LITWINÓW	Wojny!
KOMTUR	Wojnę mieć będziecie, Wojnę i zniszczenie...

Śpiew się kończy odgłosem: Wojny, wojny!

Krzyżaki odchodzą przy takim marszu, jak przyszli.

*Scena 3.*

Alan i Książę poznają się jako przyjaciele młodości. Alan ofiaruje okup za Bertę, Książę nie przyjmuje. To sprowadza przyznanie Księcia, że nie przestał być chrześcijaninem, ale chcąc pomścić się śmierci ojca, musiał wstąpić na tron, a nie mógł inaczej, jak wyrzekając się wiary Ś. Jako ostatni potomek Mendoga, ma nadzieję, że Ojciec Św. rozwiąże jego zakonne śluby, a wtenczas zaślubiwszy Bertę, w spokojnem panowaniu nawróci i naród powoli.

Duet: Uwagi, napomnienia Alana, i miłość obadwóch—treść duetu.

Książę to wszystko zleca Alanowi odkryć Bercie, gdyż ona może w nim dotąd poganina nienawidzi, a ostrożność zamykała mu usta dotychczas.

Odmiana sceny.

*Scena 4.*

BERTA, KLARA, CHÓR DZIEWCZĄT LITEWSKICH. Śpiewaniem narodowem chcą rozweselić dumającą Bertę, ta zaś śpiewa swoją miłość i tęsknotę za krajem.

*Scena 5.*

ALAN, BERTA. Dowiadujemy się, że Alan nie jest Krzyżakiem, lecz przywdział ten strój, by odwrócić wszelkie podejrzenia. Scena: duet miłosny i początek finału.

*Scena 6.*

ALAN, BERTA, KSIAŻĘ. Tercet. Alan używa ostatniego sposobu, aby uwolnić Bertę, przyznając się przyjacielowi, że nie tylko kocha Bertę, ale jest z nią oddawna zaręczony. Prośby Berty. Gniew Księcia, zazdrość etc.

*Scena ostatnia.*

NARYMUNT, ARCYKAPŁAN, Chóry etc. Krzyżacy się zbliżają. Do boju do boju! etc.

Koniec aktu I.

## A K T II.

Komnata Księcia, z otwartym przysionkiem.

Marsz tryumfalny. Chóry śpiewają pieśń zwycięską. Książę wchodzi z rycerstwem. Arcykapłan i Wajdelota na przód sceny; w głębi stoją jeńce wojenne, między nimi Alan; za jeńcami Litwini. Religja litewska wymagała ofiar ludzkich dla Bogów, i te były losowane zwykle z jeńców wojennych. Arcykapłan wzywa, aby przystąpiono do losowania i trzech oddano Bogom na ofiarę. Książę przyzwala, ale obróciwszy się, postrzega Alana.—Jego zgroza! Walka z samym sobą. Na jego znak wszyscy odchodzą, ale Arcykapłan zostaje

*Scena 2.*

ARCYKAPŁAN, KSIAŻĘ. Arja Arcykapłana. Przemawia do serca, aby szanował Bogów przodków swoich etc., a potem jego śpiew w groźbę przechodzi, jeżeliby się opierał etc. Książę zezwala na losowanie.—Ale szanuj Alana! Arcykapłan: Los to rozstrzygnie. Z temi słowami odchodzi.

*Scena 3.*

KSIAŻĘ, sam. Jego przyjaźń,—zazdrość,—cierpienie,—walka etc.



Scena 4.

KSIAŻĘ, BERTA. Berta dowiedziała się o niewoli Alana i losie, który go czeka. Duet: Berty wyrzuty barbarzyństwa, srogości etc. Boleść Księcia, którego szlachetne serce nie zasługuje tych wyrzutów.

Scena 5.

KSIAŻĘ, BERTA, ALAN. Tercet.

Scena 6.

Wajdeloci wnoszą trójnog, na nim stawiają urnę, z której będą wyciągać nazwiska trzech jeńców na ofiarę Bogom. Sekstet: Arcykapłan, Książę, Berta, Alan, Narymunt, Klara. Chór Wajdelotów, Chór Kobiet. Ciągnie Arcykapłan. Dwa pierwsze nieznanne Krzyżaków nazwiska, trzeci—Alan. Chór kobiet potwarza, dzieląc uczucia Berty. Arcykapłan, który znakomitej krwi wymagał, rad temu losowi, z Chórem Wajdelotów. Książę skrycie przyrzeka Bercie i Alanowi ratunek. Odchodzą wszyscy.

Scena 7.

KSIAŻĘ, BERTA, ALAN. — Książę chce się poświęcić. Daje swój sygnet Alanowi i każe mu uchodzić z Bertą; przy brzegu Niemna stoi zawsze w pogotowiu łódź księżęcia. Za okazaniem sygnetu sternik przewiezie na ich brzeg ojczysty. Rozchodzą się. Nb.: Arcykapłan przy odejściu zlecił na stronie jednemu z Wajdelotów mieć baczność na Alana, gdyż nie ufa Księciu.

Odmiana sceny.

Gaj Święty. Przygotowanie do ofiary. Błagalna i dziękczynna pieśń Chórow.

KSIAŻĘ wstępuje na scenę w purpurze i koronie.

Recit[ativo]: Zagaście bałwochwalcze ognie etc. Zgrozę wyrażają Chóry Książę chwyta topór, wstępuje na stopnie posągu Perkuna i potężnym cięciem obala. Tu Wajdelota, któremu Arcykapłan zlecił straż nad Alanem, przyprowadza go z Bertą, za nimi kilku żołnierzy.

Ciemnota.—Grzmot.—Na jasnym błękicie nieba ukazuje się ognisty krzyż. W górze z kobiecych głosów CHÓR ANIOŁÓW. Lud i Wajdeloci padają na kolana. Arja finalna KSIĘCIA, z Chórami: Wraca do zakonu, koronę oddaje Alanowi, etc. etc.

\*

Łatwo W Pan Dobr. poznasz, że to wszystko jest tylko pierwszym rzutem. Zdaje mi się, że ten przedmiot zamyka w sobie wiele różnaitości uczuć. Może odmieniłbym Alana na Księcia n. p. Mazowieckiego, zdanie korony byłoby naturalniejsze. Ale to wszystko, jak zgromadzę i będę miał pod ręką potrzebne historyczne materiały, łatwo zrobić będzie.

Co zaś do składu muzyki, proszę o uwagi: czy jej nie mało, lub zawiele. Scena 7 drugiego aktu mogłaby się kończyć tercetem, ale że tesame osoby już jeden śpiewają w pierwszym akcie, drugi w sc. 5 aktu drugiego, więc zdało mi się, że lepiej opuścić. Finał drugiego aktu może być także: Książę wstępuje na scenę i miast Recitat. śpiewa: Zagaście ognie, etc. a na Chórze Aniołów koniec. Nie wiem jednak, czy taki Chór, bez muzyki, rozplywający się w górze, nie będzie na sam koniec za słaby.

Bardzoby mi przyjemnie było dostać aby jedną operę kompozycji W. P. Dobr. Mamy tu ciągle operę niemiecką, a czasem wcale dobrze osadzoną. Lwów jest bardzo muzykalny, Warszawa w tym względzie równać się z nim nie może. Wszystkie prawie opery tu są dawane, niektóre miały do czterdziestu reprezentacyj przy pełnym teatrze. Styl włoski więcej nad styl niemiecki u nas się podoba. Za mojem staraniem możnaby na niemieckie libretto włoskie przetłumaczyć, gdybyś chciał nam swoje opery przysłać.

Nasza kościelna muzyka nie tak piękna jak ruska; z niej czerpnąćby może można na śpiew Krzyżaków, albo Chór Aniołów. Gdybyś W. P. Dobr. żądał, mógłbym się o tę tu postarać. Wszelką pracą moją zawieszam do odpisu W. P. Dobr. Pojedynczemu śpiewowi dawałem nazwę Arji ogólnie, ale poezja różne znajdzie sobie formy. Jednak są prawidła w układzie śpiewów, z którymi nie jestem obeznany. Chciej W. P. Dobr. podług planu przełożonego względem tych objaśnić.

Proszę przyjąć zapewnienia mego szacunku i poważania, z którymi zostają W. Pana Dobrodzieja

najniższym sługą

A. Fredro.

Adres: Monsieur Monsieur

Mirecki — p. Vienne, Gênes

Dans le Piemont.

Jeżeli teraz zestawimy plan libretta, zarysowany w powyższym liście, z redakcją jego ostateczną, wykonaną zapewne niebawem, a znaną nam dzisiaj z wydań, łatwo się przekonamy, jakiej zmianie uległa treść utworu w toku tworzenia.

Zmienił się czas, a co za tem idzie i bohaterowie akcji. „Rymond” dzieje się w r. 1283, czyli dwadzieścia lat później. Bohaterem jest Rymond, syn Trojdena, co prawda, podobnie jak Wojsielko, mnich monasteru ławryszewskiego; by pomścić śmierć ojca, zamordowanego okrutnie przez siepaczków księcia uściańskiego Dowmunda, opuścił on na czas klasztor, pobił Dowmunda, jego samego pozbawił życia, poczem osadził na tronie wielkksiążęcym Witenesa, marszałka ojcowskiego niegdyś dworu, sam zaś



znów wrócił do życia klasztornego. Władca ten nadawał się na bohatera dramatu znacznie więcej niż Wojsielko, o którym kroniki mówią, że w panowaniu poczynił sobie okrutnie, zginął zaś zamordowany we Włodzimierzu przez księcia ruskiego Leona. Na apostoła Litwy trudno go było zaiste pasować.

Poza tą jednak zmianą chwili i bohatera, oraz, rozumie się, jego otoczenia, t. j. właściwie poza zmianą nazwisk u osób występujących, główny węzeł intrygi, nie oparty wszak o historję, pozostał prawie niezmienny; tyle może tylko, że w „Rymondzie” wyraźniej został podkreślony antagonizm skryty między Księciem a Arcykapłanem, zawziętym i chytrym obrońcą starej wiary. Konflikt wszelako główny, jak się rzekło, nie uległ zmianie; tu i tam streszcza się on w walce duchowej Księcia, który przezwyciężywszy się, ukochaną (bez wzajemności) brankę i tron oddaje przyjacielowi, a sam, obaliwszy bałwany pogańskie, wraca do klasztoru. Sama już łatwość zmiany, tak powierzchownej, w koncepcji dzieła mimo obrania innego momentu dziejowego dowodzi, że w całym tym wypadku wierność historyczna nie miała dla autora większego znaczenia, że wogóle cała „historyczność” fabuły sprowadzała się w tej operze właściwie tylko do kostjumów i dekoracji. Na właściwym kolorycie lokalnym, ani też na odtworzeniu charakteru upoki, nie zależało Fredrze najwyraźniej.

Nie wykonanie więc zadania artystycznego, ale samo jego postawienie znaczy tutaj najwięcej. Waga wypadku w tem, że Fredro śladem romantyków (może śladem Słowackiego<sup>1</sup>) sięgnął był po temat utworu do dziejów średniowiecznych Litwy i że, co szczególniejsza, w pierw go wybrał, a potem dopiero jął go studjować w historii, u Naruszewicza; wybierając, ulegał więc widocznie pewnemu impulsowi, działającemu nań nie z przedmiotu, ale z atmosfery literackiej czasu. Inna sprawa, że impuls ten, w przełamaniu przez organizację artystyczną Fredry, wydał w rezultacie dzieło pod względem wierności historycznej i obyczajowej bliższe, powiedzmy, „Astoldzie” Mostowskiej niż choćby „Pojaście” Bernatowicza.

Dalszych losów utworu dotyczy jeszcze jeden list do Mireckiego, z roku 1842, zachowany w tymże zbiorze. Fredro pyta w nim, jakie są widoki na wystawienie opery, gdyż chciałby tekst swój, razem z innymi utworami, ogłosić drukiem. W rzeczywistości wiemy, że go nie ogłosił wtenczas, do druku dostał się „Rymond” dopiero w r. 1880. Oto ów list:

<sup>1</sup> Między „Mindowem” Słowackiego a „Rymondem” możnaby bodajże istotnie wykazać drobne zbieżności kompozycyjne.

Dn. 3 kwietnia 1842 z Lwowa.

Wielmożny Mości Dobrodziejcu

Nie chciej wziąć za złe, że dowiaduję się, czy trwasz jeszcze w przedsięwzięciu skończenia opery, do której libretto napisałem. Nie chcę drukować tego, co W. P. Dobr. oddałem, ani go też mogę przynaglać, ale gdyby moje dziełko miało być dla Niego bez użytku, wtenczas wydałbym je wraz z innymi, zostającymi dotąd w mojem tece.

Proszę przy tem przyjąć zapewnienia mojego szacunku, z którym zostaję Wielmożnego Pana Dobrodziejca

najniższym sługą

Alex. Fredro.

Mirecki ostatecznie przeniósł się do Krakowa, gdzie założył i prowadził szkołę śpiewu. Wtenczas też zapewne przekazał listy Fredry do zbiorów A. Grabowskiego.

Wydobywa się je tutaj na widok publiczny, bo istotnie wtajemniczają w proces sformowania się jednego z dzieł Fredry. Wiadomo, że dzieło to w wieńcu zasług literackich naszego komedjopisarza zajmuje miejsce bardzo poślednie; z tego też powodu i w literaturze krytycznej, w monografiach nawet, nie zajęto się bliżej „Rymondem”. Dla nas tutaj wszelako ta doraźna wycieczka autora „Zemsty” w dzieje staro-litewskie przedstawia szczególniejszy interes.

Stanisław Pigoń



# Z ŻYCIA ZIEM NASZYCH

## WYTWÓRCZOŚĆ ROŚLINNA W W-WIE WILEŃSKIM W ŚWIETLE OSTATNIEJ STATYSTYKI

W szkicu, który ukazał się w poprzednim numerze „Źródła Mocy”, a którego zadaniem było zobrazowanie stanu i potrzeb rolnictwa na terenie Województwa Wileńskiego, siłą rzeczy oprzeć się musiałem na urzędowych danych Głównego Urzędu Statystycznego. Dziś się wyjaśnia, jak dalece dane te odbiegały od rzeczywistości. I jakkolwiek wówczas już nie ulegało wątpliwości, że wytwórczość roślinna nie pokrywa własnego zapotrzebowania w sensie konsumpcji wewnętrznej, to w świetle nowej statystyki tembardziej wyraziście występuje ta nasza niewystarczalność rolnicza.

Nim przejdę do zobrazowania wytwórczości roślinnej na podstawie statystyki zasiewów i zbiorów w r. 1927/28 — uważam za celowe nadmienić kilka słów w jakim stopniu nowa statystyka odzwierciedla istotny stan rzeczy. Powołuję się tu przytem na wyjaśnienia p. E. Szturm de Sztrema w jego pracy „Zasiewy i zbiory w r. 1927/28” (Warszawa 1929 r.). W ciągu wszystkich lat poprzednich do r. 1927 włącznie, zarówno powierzchnie zasiane, jak i przeciętna wydajność hektara, były ustalane na podstawie sprawozdań korespondentów rolnych Głównego Urzędu Statystycznego. Powierzchnie zasiane obliczane były na podstawie liczb względnych, wyrażających zwiększenie lub zmniejszenie powierzchni zasianej, komunikowanych przez korespondentów. Podstawą do obliczeń posłużyły w swoim czasie różnorodne materiały z lat 1919—21, które ustaliły szacunkowo powierzchnię pod poszczególnymi ziemiopłodami, a które niewątpliwie zawierały dużo błędów. Ponieważ następnie z roku na rok otrzymane liczby zmieniały się na podstawie powyżej wymienionych stosunków procentowych, komunikowanych przez korespondentów, błędy nie tylko nie znikwały, ale mogły rosnąć — i nie było żadnych danych, które umożliwiałyby poprawienie liczb w tym lub innym kierunku. Wśród takich okoliczności nastąpiło wydanie rozporządzenia rady ministrów z dnia 2 marca

1923 roku, które sprawę stwierdzenia powierzchni zasianych, a w dalszym ciągu i zbiorów postawiło na zupełnie innym podłożu. Metoda została radykalnie zmieniona. Na podstawie tego rozporządzenia stwierdzenie powierzchni obsianych jest przeprowadzane przez władze administracji ogólnej za pośrednictwem urzędów gminnych, przytem są rejestrowane indywidualnie wszystkie gospodarstwa ze szczegółowym podaniem powierzchni obsianych różnymi ziemiopłodami. Rejestry te, sporządzone przez urzędy gminne, są kontrolowane i zestawiane przez władze powiatowe i następnie Główny Urząd Statystyczny. Niewątpliwie nie jest zagwarantowane, że spisy dokładnie odtwarzają rzeczywistość, niewątpliwie muszą być odchylenia od rzeczywistości na skutek dopuszczonych błędów, lub też świadomego kłamstwa, wynikającego z istniejącego u nas dotąd, niestety, dążenia do ukrywania. Co się tyczy błędów i przepuszczeń przypadkowych, to, jak stwierdza przeprowadzone dotąd szczegółowe badanie otrzymanych materiałów statystycznych, w sumie dla większych rejonów nie stanowią one znacniejszego odsetka. Co się tyczy świadomych kłamstw, to procentowego odchylenia od rzeczywistości w tym wypadku ustalić niema możliwości, można tylko stwierdzić, że kłamstwa niewątpliwie były jedynie w kierunku zmniejszenia podawanych powierzchni obsianych. Wobec powyższego i po dokładnej dłuższej analizie otrzymanego materiału statystycznego Główny Urząd Statystyczny zdecydował uznać materiał otrzymany przez spis (t. zw. rejestrację), dokonany na podstawie rozporządzenia rady ministrów z dnia 2 marca 1928 r., za bardziej dokładny, lepiej odtwarzający rzeczywistość, niż poprzednie zestawienia, sporządzane na podstawie sprawozdań korespondentów rolnych.

Z powyższą oceną wyników rejestracji zasiewów, przeprowadzonej w roku 1928, całkowicie godzimy się — nadmienić tu jednak musimy, że na terenie Województw Wschodnich odchylenia od rzeczywistości musiały być większe, tak z powodu większej nieufności rolników do statystyki, jak wogóle niższego poziomu kultury a między innymi nie odróżniania dziesięcin od hektarów.

Natomiast statystyka zbiorów budzi odwrotnie poważne wątpliwości — ale o tem później.

Porównywując liczby powierzchni pod główniejszymi ziemiopłodami w/g statystyki z r. 1928 z powierzchnią przyjmowaną poprzednio na podstawie szacowań korespondentów p. E. Szturm de Sztrem ułożył tabelę obrazującą różnice w liczbach względnych, biorąc stosunek powierzchni z 1928 r. do powierzchni po-



przednio przyjmowanej. Dla Województwa Wileńskiego różnice te przedstawiają się następująco:

pszenica . . . . .	140,0
żyto . . . . .	81,2
jęczmień . . . . .	99,4
ówies . . . . .	75,9
ziemniaki . . . . .	103,6
gryka . . . . .	55,1
proso . . . . .	0,1
groch . . . . .	180,3
łubin . . . . .	95,7
koniczyna . . . . .	33,5
seradela . . . . .	134,8
len . . . . .	268,3

Innemi słowy tylko dla jęczmienia i względnie ziemniaków i łubinu cyfry powierzchni były poprzednio szacowane bez większego błędu. Niedoceniana była powierzchnia pod pszenicą, seradela, grochem i szczególnie lnem. Zbyt wysoko natomiast szacowano powierzchnię pod żytem, owsem, gryką, koniczyną. Z prosem — to już było zupełnie źle: poprzednia statystyka wykazywała około 6 tysięcy ha, wówczas gdy w rzeczywistości jest tylko 6 ha.

Według rejestracji powierzchni zasiewów w r. 1928, poszczególne główne uprawy na terenie Województwa Wileńskiego w r. gospodarczym 1927—28 zajmowały następujące powierzchnie w hektarach:

	Brasław	Dzisna	Mołodeczno	Oszmiana	Postawy	Święcany	Wilejka	Wilno	Województwo
Pszzenica	2407	2815	1673	1629	1618	2592	875	2066	14675
Żyto	38459	41583	21010	30531	28079	37551	30441	69848	297502
Jęczmień	11627	9284	5811	6995	5983	8097	9506	15072	72375
Owies	12528	18915	13295	13997	6868	11161	10383	20298	107445
Gryka	146	21	161	1636	446	1762	1171	9060	14403
Groch	4981	3353	1870	2512	4642	6363	6799	6651	37171
Łubin	95	511	2761	3494	423	1077	2970	8114	19445
Seradela	28	183	841	1944	71	863	2414	4739	11083
Koniczyna	1399	3668	3302	4220	564	1849	2965	5614	23581
Ziemniaki	11524	13134	9335	8994	10087	12007	15667	21508	102265
Len	9217	10028	2651	4233	4145	4145	2379	1876	38764
Konopie	83	65	178	47	113	95	117	265	963

Z braku miejsca nie podajemy tu przestrzeni pozostałych upraw według powiatów. Podajemy je natomiast poniżej w odniesieniu do całego województwa (w ha):

proso . . . . .	6
mięszanki: jęczmień i owies . . . . .	1815
inne mięszanki . . . . .	3731
fasola, bób, soczewica . . . . .	2780
peluszka, wyka, bobik . . . . .	4704
pozostałe pastewne . . . . .	920
rzepak i rzepik . . . . .	8
mak . . . . .	70

Łąki w województwie zajmują 325269 ha, w tem łąk polnych 160432 ha, nizinnych 163895 ha i meljorowanych — 942 ha.

Rozpowszechnienie poszczególnych upraw w w-wie wileńskim według stanu 1927-28 r. jest następujące (na 1000 ha uprawianej ziemi):

pszenica . . . . .	19,1
żyto . . . . .	391,7
jęczmień . . . . .	95,3
ówies . . . . .	141,5
gryka . . . . .	19,0
proso . . . . .	0,0
mięszanki ze zbóż na ziarno . . . . .	7,3
groch . . . . .	48,9
fasola, bób, soczewica . . . . .	3,7
peluszka, bobik, wyka . . . . .	9,4
łubin . . . . .	25,6
seradela . . . . .	14,6
koniczyna . . . . .	31,0
pozostałe pastewne i mięszanki . . . . .	1,5
ziemniaki . . . . .	134,6
inne okopowe . . . . .	4,0
len . . . . .	51,0
konopie . . . . .	1,3
rzepa, rzepik . . . . .	0,0
mak . . . . .	0,1
inne oleiste . . . . .	0,1
warzywa . . . . .	0,1

W porównaniu do lat przedwojennych powierzchnia poszczególnych upraw (głównych) uległa przeważnie znacznej redukcji, E. Szturm de Szterm podaje w swej pracy „Zasiewy i zbiory



w roku 1927—28” (z której właśnie czerpiemy przytaczane daty statystyczne) następujące cyfry powierzchni obecnej w odsetkach do stanu z r. 1909—1913.

pszenica . . . . .	56,1
żyto . . . . .	84,4
jęczmień . . . . .	89,6
owies . . . . .	68,9
ziemniaki . . . . .	109,3

Bardzo znaczna jest redukcja powierzchni uprawy pszenicy (procentowo największa w całej Polsce), co może należałoby postawić w związku z błędami statystyki przedwojennej, oraz owsa. Należy nadmienić, że powierzchnia owsa we wszystkich województwach jest mniejsza od przedwojennej.

W świetle przytoczonych danych statystycznych z r. 1928 niewystarczalność rolnicza Województwa Wileńskiego występuje bezporównania jaskrawiej, niż to przedstawiliśmy w poprzednim numerze „Zróżel Mocy“.

Według statystyki z r. 1927 pod żytem miało znajdować się 370,5 tysięcy ha. Rejestracja z r. 1928 redukuje właściwą powierzchnię do 297,5 tysięcy ha. Skutkiem tego inaczej już wypada kalkulacja normy konsumpcji żyta w województwie na głowę ludności. Przy przeciętnym wypośredkowanym za okres przedwojenny 1901—1913 r. urodzaju żyta z jednego ha,—7,3 q i areale żyta—297,5 tysięcy ha, zbiór żyta w w-wie wileńskim wyniesie 2171,7 tysięcy q. Ludność nie produkująca zboża (miejska, nie rolnicza) licząca 250000 głów, konsumuje rocznie 450 tysięcy q, przyczem część swego zapotrzebowania pokrywa zbożem importowanym. Import żyta do województwa większym wahaniami od r. 1924 nie ulega i mniej więcej wyraża się sumą 250 tysięcy q, czyli że rolnictwo miejscowe bierze udział w aprowizacji miast w wysokości około 200 tysięcy q. Po potrąceniu od zbiorów: ziarna potrzebnego na zasiew (535,5 tysięcy q, licząc 1,8 q, na 1 ha) i część zbiorów spieniężanej na rynkach miejskich (eksportu niema),—pozostaje na zaspokojenie potrzeb konsumcyjnych ludności rolniczej (1030 tysięcy mieszkańców) oraz inwentarza—1436,2 tysięcy q, czyli około 140 klg. żyta rocznie na głowę ludności, nie zaś 180 klg. jak to obliczaliśmy na podstawie statystyki z lat poprzednich.

Tylko 140 klg. żyta rocznie na głowę ludności w latach przeciętnego urodzaju—tylko 140 klg. włączając skarmienie inwentarza! W tych warunkach już nie może ulegać zaprzeczeniu słuszność,

stale przezemnie podkreślanego zdania, że ludność wiejska w-wa wileńskiego normę spożycia zattosowuje nie do wymogów organizmu lecz wysokości urodzaju, zaspakajając potrzeby organizmu przez zwiększone spożycie nie tylko kartofli ale i rozmaitych surogatów mniej lub więcej szkodliwych.

Przytaczaliśmy w swoim czasie jak niska, nie odpowiadająca wymogom organizmu, względnie racjonalnej hodowli, jest konsumpcja i innych ziemiopłodów oraz pasz. W świetle statystyki z r. 1928 stan wygląda jeszcze rozpaczliwiej, bowiem wyjaśniło się ostatecznie, że naprzykład obszar ped owsem był szacowany o 24 proc. wyżej, niż w rzeczywistości było, pod gryką o 45 proc., pod koniczyną o 65 proc. i t. d. Po potrąceniu ziarna na zasiew, nie licząc części zbiorów spieniężanej na rynkach miejscowych dla potrzeb konsumcyjnych ludności miast, na wyżywienie przeszło jednego miliona ludności rolniczej, 204,4 tysięcy koni, 362,1 tysięcy bydła rogatego, 227,2 tysięcy świń, 208,9 tysięcy owiec i t. p. pozostaje zaledwie (w latach przeciętnego urodzaju):

Pszeniczy . . . . .	105,6	tysięcy q
Jęczmienia . . . . .	347,3	” ”
Owsa . . . . .	429,8	” ”
Ziemniaków . . . . .	4908,7	” ”

Siana przypada na sztukę dużego inwentarza (koni i bydła) od 800 do 900 klg. rocznie.

Do jakiejże znikomej nprmy musiała spaść konsumpcja wobec katastrofalnego niedoboru płodów rolnych i pasz przy realizacji zbiorów w roku 1928! Głód był nieunikniony, bowiem nawet elastyczna zdolność żołądka rolnika wileńskiego do zwężania się ma przecież granice, jak granice również istnieć muszą dla używania surogatów. Nawiasem mówiąc, klęska nie była należycie doceniana: w błąd tu wprowadził zbyt wysoki szacunek przez urzędową statystykę przestrzeni pod główniejszymi ziemiopłodami.

Ogłoszone przez Główny Urząd Statystyczny dane zbiorów w Województwie Wileńskim w r. 1928, jak zaznaczyliśmy na wstępie, budzą poważne wątpliwości.

Przeciętne zbiory z 1 ha w q według rodzaju własności miały wynosić:



Ziemiopłody	W-wo Wileńskie		Polska	
	większa własność	mniejsza własność	większa własność	mniejsza własność
Pszenica . . . . .	10,1	8,0	15,9	11,3
Pszenica jara . . . . .	9,7	9,1	15,2	9,1
Zyto . . . . .	6,4	5,7	14,3	10,9
Jęczmień ozimy . . . . .	9,4	8,0	17,6	12,8
Jęczmień jary . . . . .	6,4	6,0	17,0	12,1
Owies . . . . .	8,0	6,9	15,3	11,4
Gryka . . . . .	3,0	2,6	7,0	5,9
Groch . . . . .	5,3	5,5	13,8	8,3
Saradela na nasien. . . . .	5,2	4,3	6,5	6,2
Koniczyna na " . . . . .	4,7	1,5	3,1	2,9
Ziemniaki . . . . .	74,0	63,0	131,0	106,0
Len na nasienie . . . . .	4,2	3,5	5,0	5,7
Len na włókno . . . . .	3,2	2,9	4,5	4,6

Zbiory ogólne oraz przeciętne (z 1 ha) w q, bez rozróżnienia rodzaju własności, według tejże urzędowej statystyki były następujące:

Ziemiopłody	Zbiory ogólne	Zbiory przeciętne
Pszonica ozima i jara . . . . .	130499	8,9
Zyto . . . . .	1731841	5,8
Jęczmień ozimy i jary . . . . .	436717	6,0
Owies . . . . .	772050	7,2
Gryka . . . . .	38231	2,7
Proso . . . . .	42	7,0
Mieszanki: jęczm. i owies . . . . .	13223	7,3
Mieszanki inne . . . . .	27143	7,3
Groch . . . . .	204607	5,5
Fasola, bób, soczewica . . . . .	22889	8,2
Peluszka, bobik, wyka . . . . .	34561	7,3
Łubin na nasienie . . . . .	34073	8,3
Saradela na nasienie . . . . .	8001	4,5
Koniczyna na nasienie . . . . .	5204	1,6
Ziemniaki . . . . .	6616612	65,0
Len—nasienie . . . . .	140274	3,6
Len—włókno . . . . .	114387	2,9
Konopie—nasienie . . . . .	3037	3,2
Konopie—włókno . . . . .	2705	2,8

Ziemiopłody	Zbiory ogólne	Zbiory przeciętne
Rzepak i rzepik . . . . .	54	6,8
Mak . . . . .	305	4,4
Koniczyna (pasza) I pokos . . . . .	554046	23,5
" " II " . . . . .	384838	19,0
Peluszka, wyka, bobik (pasza) . . . . .	37726	17,1
Saradela (pasza) . . . . .	108765	15,3
Pozostałe pastewne oraz mieszanki	2540	2,8

Szacunek zbiorów niewątpliwie jest wygórowany. Niedobór poszczególnych ziemiopłodów wynosił w roku 1928 od 20 do 60 proc., siana — do 50 proc. Tymczasem przytoczone przeciętne są bardzo zbliżone do zbiorów z okresu 1903 — 1912 r.

Ponieważ nie wszystkie powiaty ucierpiały w jednakowym stopniu skutkiem nieurodzaju, przeciętne urodzajów w całym województwie nie daje dostatecznie przejrzystego materiału dla analiizy lub orientacji jak dalece dane rejestracyjne zbiorów w roku 1928 odchylają się od rzeczywistości. Otóż według powiatów urzędowa statystyka przytacza następujące cyfry zbiorów z jednego ha w q:

Powiaty	pszenica	zyto	jęczmień	owies	ziemniaki
Brasław . . . . .	6,9	5,2	3,2	3,8	31,0
Głębokie . . . . .	12,0	5,0	3,3	5,4	31,0
Mołodeczno . . . . .	16,3	12,4	14,2	15,9	115,0
Oszmiana . . . . .	9,2	4,4	8,4	7,9	78,0
Postawy . . . . .	8,2	6,7	5,5	5,3	67,0
Święciany . . . . .	5,7	5,6	3,7	5,4	65,0
Wilejka . . . . .	6,0	5,6	7,1	6,5	56,0
Wilno-Troki . . . . .	6,6	5,1	6,5	6,7	81,0

Dostatecznie tu pobieżnego rzutu okiem, by stwierdzić nieręczowość tych danych. Powiat Mołodeczański bardziej ucierpiał skutkiem nieurodzaju, niż Oszmiański i nie dużo mniej, niż Wilejski (dwa sąsiednie powiaty). Tymczasem urzędowa statystyka podaje dla powiatu Mołodeczańskiego cyfry dwukrotnie większe niż dla dwu sąsiednich powiatów, przytem znacznie przewyższa-



jące przeciętną urodzaju w całej Polsce, a ustępujące li tylko urodzajowi w Poznańskim i na Pomorzu. Przytem kiedy? — w roku nieurodzaju w powiecie. Dotąd o tak wyjątkowo urodzajnej oazie w Województwie Wileńskim było głucho. Dalej, w powiecie Wilejskim były bez porównania gorsze urodzaje niż w Wileńsko-Trockim, urzędowa statystyka natomiast podaje dla żyta i jęczmienia cyfry większe w pierwszym wypadku, dla owsa mniej więcej zbliżone. Urodzaj pszenicy w powiecie Brasławskim i Dziśnieńskim był jednakowy — statystyka urzędowa szacuje urodzaj w pierwszym wypadku na 6,9 q, w drugim 12 q. Odnośne cyfry dla owsa—3,8 q i 5,4 q—również nie są realne, takiej bowiem różnicy urodzaju na terenie tych dwóch powiatów nie było. Odwrotnie nieurodzaj owsa był właśnie większy w pow. Dziśnieńskim, a pozatem 5,4 q z ha, to przecież cyfra zbliżona do urodzaju normalnego.

Te i inne zestawienia porównawcze wykazują tak znaczne odchylenia od rzeczywistości przytoczonych w tabeli cyfr, że w żaden sposób danych tych nie można uznać za miarodajne. Z małymi wyjątkami są one wprost nierealne. Przykład statystyki zbiorów w powiecie Mołodeczańskim nasuwa przypuszczenie, że gminy nie zawsze odróżniały pudy od centnarów...

Z tych względów nie możemy wykorzystać urzędowej statystyki zbiorów w r. 1928 celem zobrazowania niedoboru poszczególnych ziemiopłodów przy realizacji plonów w ubiegłym roku. Że niedobór ten był wprost katastrofalny, świadczy głód, który zapanował już w początku roku bieżącego na terenie Wojew. Wileńskiego, świadczą szerokie rozmiary akcji dokarmiania ludności, oraz wydatna pomoc kredytowa w gotówce i naturze podczas wiosennej akcji siewnej. W zrozumieniu tego stanu rzeczy czynniki miarodajne zastosowały względem Wileńszczyzny poważne ulgi w postaci odterminowania płatności podatków i pożyczek w Banku Rolnym i Banku Gospodarstwa Krajowego.

W jesieni po żniwach zbiegną się jednocześnie terminy płatności tak wszelkich świadczeń normalnie przypadających, jak odroczonej poprzednio w związku z nieurodzajem. Wobec tej niewystarczalności produkcji roślinnej, jaką stwierdziliśmy w pierwszej części niniejszego artykułu, budzą się poważne wątpliwości, czy rolnictwo wileńskie nawet w wypadku dobrego urodzaju, w stanie będzie uiścić jednorazowo ciężące na nim należności,—tembardziej, że jak dotąd, konjunktury cen na ziemiopłody układają się w wysokim stopniu niepomyślnie.

*Zygmunt Hartung*

## O DAWNYCH JARMARKACH W ZELWIE I GRODNIE

W ostatnich latach powstał w Grodnie projekt urządzenia, raczej wskrzeszenia, jarmarków grodzieńskich w połączeniu z Wystawą przemysłowo-rolniczą krajowego znaczenia, to też dziejom ich należy udzielić nieco uwagi, ponieważ historia bywa pomocną w rozstrzygnięciu niekiedy bardzo skomplikowanych kwestyj.

Nie mamy zamiaru kreślenia dziejów powstania jarmarków lokalnych w Grodnie i prób tworzenia ich w zamierzchłej przeszłości, nawet za czasów królowej Bony, a poświęcimy nieco uwagi czasom porobiorowym.

Ze na schyłku XVIII w. istniało w Grodnie centrum przemysłu polskiego, o tem wszystkim wiadomo, a pomnik twórcy tegoż Antoniego Tyzenhauza, w kościele po-jezuickim w Grodnie będzie przez długie lata jego czyny szlachetne przypominał.

Wielkie dzieło zostało zmarnotrawione, a próby ożywienia handlu i przemysłu na większą skalę nie tylko w Grodnie, lecz i w całym kraju zostały przecięte ostatecznie dziejami roku 1812. Oczywiście mamy na względzie wegetujące pozostałości po Tyzenhauzie, jak chociażby „manufakturę” grodzieńską, którą zarządzał jeszcze w pierwszych latach XIX w. ostatni jej dyrektor Bylczyński.

Jednakże zbyt mocne miał tradycje jarmark w Zelwie, pow. wołkowyskiego, gdzie już w połowie XVIII w. kwitł handel koniami, a liczne zjazdy okolicznych mieszkańców i ziemiaństwa z całego kraju uczyniły to, że Zelwa na przełomie wieków XVIII i XIX staje się, jak twierdzą niektórzy (M. Baliński w „Starożytnej Polsce”; pułk. s. gen. P. Bobrowskij w „Grodn. gub.”) po Lipsku jednym z największych centrum handlowym nawet w Europie środkowej, oczywiście w okresie jarmarków.

Dziś trudno w to uwierzyć, co napisali dawniej o Zelwie, jednakże świadectwa współczesnych i dokumenty historyczne potwierdzają, że na jarmark dostarczano koni niekiedy po kilkanaście tysięcy, a sam właściciel Zelwy, Aleksander Sapieha, b. kanclerz wielkiego Księstwa Litewskiego, którego uważają za twórcę tych jarmarków, wystawiał przeszło tysiąc zrebaków angielskiej, tureckiej, duńskiej, lub też neapolitańskiej rasy.

Na jarmarku w Zelwie można było spotkać kupców z nad Wołgi, Gdańska i Królewca, z dalekich krain Azji i Lipska. A wówczas jednakże nie było ani tak dogodnej komunikacji, jak obe-



nie, ani też wygód mieszkaniowych i innych warunków, wymaganych przez kupiectwo dzisiejsze i zwiedzających jarmarki.

W archiwum dereczyńskim (w pow. słonimskim) skrzętnie dawniej były przechowywane rejestry z lat 1781 — 1796, w których zanotowano pozycje przychodowe i rozchodowe administracji jarmarków w Zelwie\*).

W roku 1786, w okresie jarmarków, jak widać z rejestrów, sklepów było 201, a wynajęcie ich przyniosło dochodu 34.568 zł. 3 gr., zaś w r. 1795 — 42.690 zł. 25 gr.

Z lustracji kupiectwa, przybyło w r. 1786 na jarmarki okazało się, iż pochodziło:

	Handlujących w sklepach:	W domach prywatnych
z Litwy i Podlasia . . . . .	101	4
„ Korony . . . . .	49	7
„ Małopolski . . . . .	11	9
„ woj. mińskiego . . . . .	23	6
„ „ wileńskiego . . . . .	9	1
„ Witebska . . . . .	1	4
„ Mohylewa . . . . .	1	—
„ Besarabji . . . . .	1	1
„ gub. moskiewskiej . . . . .	1	14
„ Kamieńca - Podolskiego . . . . .	1	1
„ Kazania . . . . .	1	1
„ Gdańska . . . . .	1	1
Razem . . . . .	201	49

Dochody z jarmarków przeznaczone były na utrzymanie rozmaitych instytucyj i klasztorów. W r. 1790 wydano: XX. Pijarom w Szczuczynie 1750 zł., OO. Dominikanom w Różanymstoku 875 zł., OO. Bonifratrom w Nowogrodzku 660 zł., XX. Misjonarzom w Łyskowie 700 zł., OO. Bazyłjanom w Różanie 875 zł., OO. Dominikanom w Dereczynie 705 zł., klasztorowi w Berezi-Kartuskiej 4.000 zł. i OO. Bazyłjanom w Czerlonie 585 zł. — razem 13.160 zł.

Wydatki ks. Sapiehy na jarmarkach były bardzo skromne. W r. 1790 zapłacono za 2 tuziny filiżanek 48 zł., 3 sery holenderskie i dwie cytryny 19 zł. oraz inne towary — 196 zł. 28 gr.

\*) Korzystamy z relacji niejakiego Konstantinowa, który sprawozdanie z jarmarku w Zelwie p. t. „Miestieczko Zelwa i jeżegodnaja w niej jarmarka” ogłosił w dodatku do „Grodnen. gub. wiadomosti” za r. 1864 Nr. 9.

W r. 1793 — za 40 cytryn po 1 zł. — 40 zł. i „głowę” cukru wagi 13 funtów lit. — 32 zł. 15 gr.

Inne pozycje wydatków były na utrzymanie ochrony wojskowej i dozorców przy sklepach, światło, zakłady gospodarcze i teatr.

Wina i inne napoje były sprzedawane w t. zw. „Lisiej Norze” lub wprost „Norce”. Na „Psiej górce” lub też „Górcie” czyli obszernej sali na piętrze drewnianego domu, znajdującego się na uboczu, odbywały się nieraz dzikie zabawy do rana w towarzystwie płci pięknej... Na środku sali tańczono w czapkach i konfederatkach. Panowała tam dziwna na te czasy równość stanów...

Rząd rosyjski skorzystał z sytuacji, w jakiej znaleźli się Sapiehowie w okresie powstania 1831 r., wszystkie prawie dobra im skonfiskował i Zelwa od r. 1832 przeszła pod zarząd dóbr państwowych.

Jarmarki jednakże nie upadły zupełnie i w r. 1844 został ustanowiony specjalny zarząd „pod nabludieniem sztab-oficera żandarmów”, jak podaje o tem jedna z informacji rosyjskiego sztabu generalnego (P. Bobrowskij, Grodn. gub.), na podstawie których głównie oparliśmy zarys dziejów jarmarków po r. 1832 w Zelwie.

W r. 1857 rząd rosyjski oddał jarmark w dzierżawę kupcowi grodzieńskiemu, Fonlejbie, na lat 6 za 38.400 rubli. Już ta suma może świadczyć na jaką skalę jarmark w Zelwie był zakrojony, mieszkańców zaś Zelwa wówczas miała zaledwie 1315 osób płci obojga.

Ciekawe są naogół dane statystyczne, dotyczące się jarmarków w Zelwie, to też niektóre podajemy niżej na podstawie danych urzędowych, które muszą (ze względu na podatki) cokolwiek się różnić od rzeczywistych.

W latach 1845—1849 przywieziono towarów przeciętnie na sumę 1.295.584 rs.—sprzedano na sumę 906.841 rs., w 1850—1854 przywóz—894.493 rs., sprzedaż—366.757 rs., w 1854—1859 przywóz — 605.035 rs., a sprzedaż — 309.270 rs.

Był to okres przełomowy dla jarmarków w Zelwie.

Nieurodzaje i wojny, a później powstanie 1863 r., jako też urządzenie linii kolejowej (Petersburg — Warszawa), wreszcie usiłowania rządu rosyjskiego do przeniesienia jarmarków z Zelwy do Grodna (o czem niżej) przyczyniły się do upadku jarmarków zelwiańskich, raczej przestały one być takimi, jakimi były w ciągu szeregu lat dziesiątków przedtem.

Na stu przyjezdnych bywało w połowie ubiegłego wieku na jarmarkach w Zelwie:



Kupców z towarami . . . . .	41 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
Kupujących . . . . .	40 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
Zarobkujących . . . . .	10,8 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
Woźnic . . . . .	6,2 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
Artystów . . . . .	2 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>

Operacji handlowych dokonywano na wspomnianej wyżej „Psiej górze”, gdzie przy dźwiękach kilku skrzypiec bawiono się, jak i w czasach przedrozbiorowych, do samego rana.

Przedstawienia teatralne odbywały się trzy razy w tygodniu. W r. 1860 był tu Francuz, Ludwik Persoir, i dał 12 przedstawień. Prawdopodobnie był baletmistrzem, ponieważ w programach figurowały głównie tańce i „zabawy indyjskie”. Muzyków w tym czasie było na jarmarku 15, a przedstawielek lekkich obyczajów 12.

Stosunek narodowościowy wśród przyjezdnych był mniej więcej taki: na 100 chrześcijan było 146 osób wyznania mojżeszowego, 2 cyganów i 2 tatarów (z nad Wołgi).

„Kwatera” kosztowała od 30 kop. do 2 rubli dziennie w mieszkaniach prywatnych i od 75 kop. do 3 rs. w t. zw. Caféhausie.

Z wykazu towarów widać, iż administracji jarmarków chodziło głównie o rynek dla towarów, pochodzących z Rosji. Przed powstaniem styczniowym liczba kupców polskich maleje (rozwój Włodawy), a z Lipska, Gdańska i Królewca wcale ich niema.

W r. 1857 gubernator grodzieński, Szpejer, wystąpił z wnioskiem do władz centralnych o przeniesienie jarmarków do *Grodna*.

Sprawa ta jednakże była w ciągu kilku lat wałkowana, a wypadki 1863 r. położyły jej kres na długie lata.

Próby uruchomienia w Grodnie jarmarków o znaczeniu krajowym były czynione niejednokrotnie.

Jeszcze w 1845 r. rosyjskie władze centralne zezwoliły na urządzenie, raczej wznowienie jarmarków w Grodnie w czasie od 26 czerwca do 25 lipca (st. st.).

Obroty jednakże były tak minimalne, że po kilkunastu latach jarmarki przestały istnieć.

Przeciętny przywóz towarów był następujący:

W latach 1847—1851 na sumę 15.500 rs., sprzedaż na 3,281 rs.
” ” 1852—1856 ” ” 9.726 rs., ” ” 3,892 rs.
” ” 1857 r. ” ” 3.654 rs., ” ” 2.981 rs.
” ” 1358 r. ” ” 1.800 rs., ” ” 1.800 rs.
” ” 1859 r. ” ” 1.200 rs., ” ” 700 rs.

W roku 1860 jarmark zupełnie się nie udał.

Liczne komisje badały przyczyny upadku jarmarków grodzień-

skich. Interesował się tą sprawą i rosyjski sztab generalny, a ministerstwo spraw wewnętrznych specjalnie delegowało do Grodna naczelnika wydziału gospodarczego, radcę Muszyńskiego, który złożył na ręce naczelnika kraju, gen. Nazimowa, specjalny memoriał z d. 5 sierpnia 1860 r. (st. st.), który pozostaje cennym dokumentem nawet i w dobie obecnej dla charakterystyki Grodna, ponieważ bardzo szczegółowo omawia wszelkie możliwości powodzenia jarmarków, jako też podaje cenne wskazówki, niezbędne dla rozwoju miasta.

Muszyński przedewszystkiem wskazuje na znaczenie przeprowadzenia regulacji Niemna i połączenie kolejowe Grodna z Pińskiem i konieczność urządzenia stałego mostu na Niemnie.

Uzasadnienie wniosków tak mocne i przekonywujące, że nie jeden szczegół może być pomocny w przyszłości, gdy sprawa komunikacji wodnej będzie należycie postawiona. W połowie ubiegłego wieku przechodziło rocznie przez Grodno od 150 do 300 berlinek i od 500 do 800 tratów. W ciągu szeregu wieków istniał handel z Królewcem. (Większa część ołtarzy do kościoła jezuitskiego w Grodnie została sprowadzona w pierwszej ćwierci XVIII w. na berlinkach z Królewca).

W r. 1860 Muszyński uznał za najodpowiedniejsze place dla urządzenia stałego jarmarku na przedmieściu zaniemeńskim i Łosośnie, a *czasokres* trwania tegoż w miesiącach sierpniu — wrześniu. Stanowczo wypowiada się przeciw urządzaniu czasowych „bałaganów” drewnianych (dosłownie!) i wyraża przekonanie, że Grodno zdobędzie się na pawilony o typie amerykańskim, czyli o żelaznej konstrukcji (choć nie przewidywał pożaru hal targowych w Zelwie we wrześniu 1862 r.).

Rząd rosyjski rozporządzał wówczas wielkimi kapitałami pochodzącymi z konfiskaty mienia Sapieżyńskiego, które, zdaniem radcy Muszyńskiego, mogły być użyte na przeniesienie jarmarków z Zelwy do Grodna.

Raport Muszyńskiego leżał długo „pod suknem” aż wreszcie trafił do Archiwum Państwowego w Wilnie, a Grodno pozostało miastem pamiątek dziejowych, których też nie umie należycie uszanować.

Jednakże duch twórczy nie przestał istnieć i od czasu do czasu powstają wielkie i piękne projekty (Wystawa - Jarmark o typie stałym, Politechnika), ożywiają one nieco gród Witolda i Batorego, posiadający wielkie aspiracje i dążenie do przodującego znaczenia pośród innych miast na północnym-wschodzie Rzeczypospolitej.



Niezawodnie Grodno ma wszelkie dane ku temu, pomimo że na wznowienie jarmarków trzeba było czekać lat aż 67.

Na czele Komitetu organizacyjnego Wystawy-Jarmarku widzimy Eustachego ks. Sapiehy, potomka kanclerza i twórcy jarmarków krajowych.

Józef Jodkowski

Grodno

## Z WILNA DO SOPOCKIŃ

### I.

Sopockinie. Miejscowość? Ale gdzie i w jakiej stronie, pyta zwykły śmiertelnik w Polsce, jak się pyta tysiącrotnie, słysząc dziś nazwy rozmaite, wydobywane z przeszłości i nagle zawieszane nad wszystkim, jak drogowskazy. Oszmiana pod Wilnem, lub Ozorków pod Warszawą są tysiącrotnie każdemu bliższe, niż te Sopockinie, o których nawet nie wiadomo, jak pisać, przez b czy p.

Przed kilku wiekami leżały niemal na kraju świata, choć „wiadomo” było, że leżą w województwie Trockiem, tem najdziwniejszem i najbardziej fantastycznym województwie na Litwie, które sięgało z Trok do Grodna i dalej aż do takich tajemniczych wód jak Biebrza i Narew.

Do Sopockiń znaczyło jechać pod ścianę zachodnią Litwy i utknąć nad Hańczą, tam, gdzie kończy się płyta grodzieńska, olbrzymia cytadela naturalna, która stacza się ku nizinom augustowskiego kanału, czyli na doły wypełnione wodą, podobnie jak obronności każdej porządnej twierdzy staczają się w sztuczne rowy i topiele.

Sopockinie rysował na swojej mapie *Magni Ducatus Lithuaniae* nadworny geograf Radziwiłłów. Dlaczegoż ten geograf kazał małemu miasteczku cofać się trwożliwie przed wielką białą plamą, dziwnie pustą? Czyżby Sopockinie bały się puszczy?

O dziwaczny kraju na pograniczu dawnych Prus, Litwy i Mazowsza! Jeszcze dziś siedzą tam niedaleko taki Osowiec (jakże kasał podczas wielkiej wojny!) i taka Wizna (jakże kasała za Piastów!).

Cały kraj stanowi tam za Niemnem fort wysoki i szeroki, prawdziwe pogotowie, z tym animuszem zawsze żywym i czynnym, który pozwala chrzcic nawet małe i niepozorne wioski tak ważkimi nazwy jak Bohatery i Bohatrowicze.

Do Sopockiń zatem jedziemy!

### II.

Najpierw trzeba przebyć przestrzeń z Wilna do Grodna. Droga krótsza na Ejszyszki i Raduń nie jest jeszcze gotowa, trzeba jechać na Lidę i Skidel. Przecież nie możemy ryzykować na drogach, które się budują i z których wciąż trzeba zjeżdżać w rowy i rozpadliny grząskie i lepkie.

Fiat nasz turyńskiej fabryki, maszyna sześciocylindrowa, czerwono łyskająca się w słońcu, pójdzie każdą drogą, niemniej oświadczyć musimy, że jest sobą tylko na takich szosach, jak te, które prowadzą z Medjolanu do Werony lub Padwy.

Z Wilna pod górę piąć się jest sprawą kilku minut, potem zjeżdżać w dolinę Rudomina sprawą innych kilku minut. Prędko kończy się szosa, a zaczyna się stary trakt szeroki, a i kapryśny, jak te wszystkie odwieczne trakty, które pochodzą z czasów niemal Olgierda czy Witołda, kiedy karawany wozów obładowanych towarem sunęły przed się od morza do morza.

Koło Jaszun jedziemy już granicą puszczy Rudnickiej. Mamy tę puszcze królewską ongiś i myśliwską, perłę puszczy na Litwie obok krzyszyńskiej, białowieskiej, lub nalibockiej, po prawej ręce za ścianą drzew; wszystkie te mateczniki odwieczne, mokradła leśne, topiele i okropności, o których mówi poeta, że psy na ich widok „uciekają, skowyczą z obłąkanym wzrokiem”.

Same Jaszuny (ongis Śniadeckich i przez to związane z Ludwiką i Słowackim), potem Soleczniki, jedne i drugie, to skupienia ludzkie jedną nogą, aby tak powiedzieć, stojące jeszcze w lesie, pragnące się z niego wydobyć, nie mogące się wydstać, gdyż rzeki nad którymi leżą, bynajmniej nie mają zamiaru płynąć ku wschodowi, ale przeciwnie skierowują się na zachód i na dobre w stronę puszczy.

Sól jest tu na kraju puszczy w rozmaitych nazwach, już nie tylko w tych Solecznikach Małych i Wielkich, ale i w Solczy i w Posoleczu i wszelkich Sołkach, za którymi trzeba się już na dobre uganiać, chcąc je odnaleźć.

Cóż znaczy sól skupiona nagle na kawałku ziemi, na jednym obszarze, przez który droga stara prowadzi? Czyżby wożono ją do Wilna i tu w Solecznikach po drodze składano aby wymieniać ją na futra, miody, lub wosk puszczy. Kościół jest z czasów Jagiełły i Witołda. Czyż to nie dowodzi w prosty sposób, że na trakcie był ruch ludzi i towarów i, że skoro wieziono „specjały” z Kijowa, Słucka lub Nieświeża musiała być i sól



czarnomorska, na którą człowiek w tych stronach był zawsze łakomy? Można tak myśleć, można też inaczej.

Bo wszystkie Solcza, Posolcza, Soleczniki dają się także związać z jakąś wodą słoną, która tu mogła bić z ziemi, jak dziś bije w Druskienikach, które są przecież także tylko rodzajem Solecznik skoro *druska* znaczy sól po litewsku.

W bibliotekach można czytać Pliniusza i jego dziwaczne poglądy na sól, która pojawia się także w lasach, na mokradłach i błotach, ale którą trzeba przez ogień prowadzić, aby się dała wziąć w palce. „*Ardentibus lignis aquam salsam nifundunt*”. Czyżby to nie był klucz do zrozumienia tego, że i na Litwie starej, jak i w Galji lub Germanji można było sól otrzymywać lejąc solankę na rozpalone głównie drzewa, tem więcej, że mowa jest u Pliniusza także o dębach, które miały być doskonałym materiałem w takich prymitywnych procesach warzenia soli. Dębów zaś, chwala Bogu, nie brakowało nigdy w kniei rudnickiej, która się prosi aby była zamieszana w te jakieś praktyki dokoła rozpalonych stosów, te procesy, w których wylewano wodę tajemniczą na ogień, aby z kolei furczał ten ogień i sól przez wodę gdzieś chwyconą w głębiach ziemi z powrotem odbierał ku bezmiernej radości czarowników, którzy mieszkali w Solecznikach.

Pielgrzymie polski, lub turysto! Przejeżdżając lub przechodząc przez Wielkie Soleczniki, wstąp do kościoła, aby podziwiać rzecz piękną, ocalałą w Polsce, sukienkę srebrną w obrazie apostoła Judy Tadeusza, blachę misterną, kutą przez złotników wileńskich, może nawet tych samych, co pracowali nad historyczną i słynną sukienką Przenajświętszej Panny w obrazie Ostrobramskim. Spójrz na stopy apostoła. Św. Juda Tadeusz był orędownikiem spraw rozpaczliwych. Taką sprawą rozpaczliwą było dla wędrowca otrzeć się o puszcę, z której wypadał zwierz albo zły człowiek. Wszak zbóje zadźgali ulubionego malarza króla Władysława IV bliżej Jaszun i przez to zadali straszliwą krzywdę sztuce wileńskiej, wszystkim tym kościołom, w których Piotr Dankiers pracował.

Spójrz na srebrne sandały i pomyśl: na takich skrzydłach przylatywał święty apostoł na zawołanie. Leciał z pomocą, jak i święty Mikołaj, który także na każde zawołanie zjawiał się z pomocą. Cudowne sandały! Dalekie od wszelkiego naturalizmu, od imitowania rzeczywistości, kopjowania natury. Tylko artysta mógł widzieć takie sandały w snach. Co ciebie, kochany, najwięcej zadziwić może, to styl tych sandałów. Przecierasz oczy i pytasz się: jestże to scytyjska sztuka czy alerodyjska, jak ją tam Rostopcew

nazywa, więc taka, jak ta, której okazy można było kiedyś podziwiać w petersburskim Ermitażu, zwłaszcza patrząc na jedyną w swoim rodzaju lwicę z kurhanu Kelermes. Dwadzieścia pięć stuleci temu wstecz kwitła taka sztuka nad Czarnem Morzem. Skądże jej echo znajduje się w Solecznikach, w tych sandałach apostoła z blachy załamanej w graniasto-błyszczące powierzchnie?

Kościół stoi dziś pod wezwaniem książąt apostołów. Dawniej stał pod wezwaniem św. Mikołaja, a jeszcze dawniej Pan Bóg wie \*).

Tyle razy się palił, tyle razy wstawał z popiołów, że i opiekunów swoich zmieniał. Niemniej jednak zawsze pamiętał, że kościół jest na szlaku wędrownym i, że trzeba przypomnąć dobrym ludziom, że i apostołowie Piotr i Paweł wędrowali, że wędrował biskup Mikołaj, choć czasem po takich dziwnych i nieobjętych, szlakach i, że wędrował Juda Tadeusz, syn Marji Kleofy, który razem z Szymonem jest zawsze czczony w ostatnich dniach października, kiedy zaczyna być w powietrzu burzliwie i niesamowicie.

Dziś Soleczniki mają dwór, fabryczkę, doskonałe gospodarstwo, pana energicznego. Jest to królestwo Wagnera. Zboża ciągną się po widnokreśli, młynek klekoce, dym porywa się z wysokiego kominu i jak chorągiew trzepoce. Taka jest utajona permanencja tego dziwnego miejsca nad rzeką Solczą, że jak niegdyś tak i dziś zbierają się tu energie czarnoksięskie.

Trocik (tak się nazywa nasze auto), po chwili odpoczynku zaczął biec jak szalony w stronę Bieniakoń i Werenowa. Przerzynał dalej ciemną zieleń, wszelkie soki i jędrności puszczy leśnej, kiedy nagle — ale to raptownie i bez zapowiedzi, wjechał w ciepłe, słoneczne prądy. Owiąło nas coś suchego, słodkiego, pachnącego. Zmiany raptownej nie było sposobu dostrzec na niebie, w powietrzu i na ziemi, poprostu wszędzie. Podmuchy Niemna łagodne witały nas, przylatywały zdaleka.

\*) Należałoby historykowi sztuki zbadać perypetje obrazu św. Tadeusza w Solecznikach Wielkich. Po zwinięciu Pijarów w Werenowie (kościół pod wezwaniem J. Tadeusza) mógł się obraz dostać w dzisiejsze miejsce. Skąd do Pijarów trafił? Na mapie Makowskiego (patrz reprodukcję u Jana Jakubowskiego. Tomasz Makowski Nr. 1 Wydawnictwo Instytutu dla badania Ziemi Wschodnich. Warszawa u Gebethnera 1923) Werenowo (nie żadne Woronowo) nazywa się Błotna. Co do starej drogi z Wilna do Lidy mniemać wolno, że zrazu prowadziła przez Rudomino i Turgiele, a stąd dopiero do Solecznik i Żyrmun. Dowodziłoby to, że puszcza Rudnicka sięgała jeszcze w XVI wieku daleko na wschód i, że Jaszuny całe tkwiły jeszcze w puszczy.



Byliśmy w regionie wielkich dolin, biegnących południkowo, a nie jak przed chwilą, w regionie rzek równoleżnikowych. Puszcza została za nami, nawet nie mieliśmy czasu z nią się pożegnać — opuściły nas wszystkie opary, wilgoci leśne przepadły, jak kamień w wodzie.

Auto jest instrumentem czarownym dla kogoś, kto pragnie frazować krajobrazy w naturze. Jadąc błyskawicznie kładzie się obraz za obrazem na sobie, jak zboże, które się ścina. Wszystkie widoki są z jednej i tej samej ręki malarza, aż nagle bez zapowiedzi zaczyna się nowa serja, w której chmury są inne, barwa nieba, powietrze, flora — wszystko inne. Granice między regionami nie są u nas raptowne, a jednak... Autem jadąc czy lecąc, skupiać możemy obrazy w jedną całość, gromadzić warjanty, aby nagle wszystkie je oddzielić od nowej całości, tak jak czytając dramaty, żegna się sceny jednego aktu, aby witać inne sceny, już należące do nowego aktu.

Z aury puszczy, nad którą kłębią się opary i przeciągają srogi muzyki, przedarliśmy się w kraj zboża. Raptownie spostrześliśmy się, że już jesteśmy pod niebem czystszej i wśród welskiej flory. Za nami została granica w powietrzu.

Ciepło, aromaty, słońce, trybularze niewiadomo jakich kadzielnic, rozmaite zefiry odurzały na dobre. Trzeba było przejść przez chwilę, chwileczkę akataleptycznej bezwładności, jak się dziś nieprzytomność określa, jakiegoś niebytu, aby wrócić na świat. Mózg znowu nasuwał porównania, kojarzył ze sobą co bliskie, jednym słowem pracował, jak gdyby nic nie zaszło. A jednak było przelecenie przez jakąś granicę i oczy pilnowały czy to się nie powtórzy. Zbliżaliśmy się do Bastun i Żyrmun.

Kiedyś za wielkiego Mendoga, kończyła się na tych słonecznościach Litwa plemienna. Długa linja grodzisk z usypanej ziemi zaznacza punkty krańcowe, do których docierała mowa litewska.

Od Krewa na wschodzie, przez Holszany, Traby, Gieranony, Lidę i Żyrmuny na Ejszyski, Raduń i Mercz pilekalnie — grodziska miały zawsze otwarte oczy.

Ruś siedziała za Niemnem. Litwa nie spuszczała oczu z tej Rusi. Jakaż to rozkosz posuwać się linją dawnych fortec, spoglądać przed się na resztki puszczy granicznej. Ta puszcza była ongiś bezludną i pełną strachów dla każdego człowieka, co śmiał się przedzierać z jednego świata w drugi. Jesteś naprzykład w Holszanach i widzisz grodzisko na skłonie góry, jak jaki wulkan wygasły. Dolina otwiera się w kierunku Oszmiany. Gro-

dzisko broniło ziemi zbożowej, pracowitej, zawsze skrętej, tak jak ją Czesław Jankowski epicko opisał.

Jesteś w Gieranonach i stoisz wśród ruin z których wszystko widać przed sobą na mile i mile. Zamek tęczyński — szepczesz do siebie — bo żaden inny zamek do głowy ci nie przyjdzie, kiedy zobaczysz takie monumentalne zwaliska i takie błękitne widoki.

Albo wreszcie jesteś w Żyrmunach, do których w tej chwili zbliżamy się i gdzie stoi kościół, pamiętający jeszcze czasy, kiedy czczono dęby i oddawano im hołd wśród bicia w kotły.

Niemen w przeszłości dzielił Litwinów od Słowian. Puszcza graniczna stanowiła nieprzebyty mur, dzielącą tamę, przegrodę żelazną, przez którą tylko z narażeniem życia wolno było torować sobie drogę. Była to barjera dzieląca. Pracowała też dobrze nad tem, aby ludzi tak z jednej jak i z drugiej strony najbardziej od siebie oddalić, poróżnić.

Spoglądamy na tę barjerę. Las jest wytrzebiony, w rozdarciach na gołej ziemi biwakują jałowce. Piaski dawnych rzek tworzą monotony krajobraz. Trzeci obraz — mówię do siebie głośno — napotkany od rana, i po kolei rozpamiętuję jeszcze raz, ten pierwszy wilgotny i chłodny, niemal na gruntach błotnistej puszczy Rudnickiej, ten drugi zbożowy, od Bieniakon począwszy, ze słodyczą miodu w powietrzu, nad piaseczkiem suchym, oraz ten trzeci na wyblakłych ziemiach, zmieniony do niepoznania, chodzący w mocno wytartej szacie, więcej może zachowany w wyobraźni, niż myślimy.

Od Żyrmun zaczęły się nasze dolegliwości. Brukowano nową szosę, czyli jeżdżono po niej skrzypiąc i świszcząc jakimś parowozem czarnym, przed którym należało z szacunkiem na bok rejterować. Okropne gliniaste wyboje. Fama o tych wybojach trzyma się uparczywie, głosząc, że niejedno auto wyciągano z błota pospędzanymi końmi z kilku wsi.

Nam się jakoś udało i z wielkiem zadowoleniem witaliśmy Lidę. Lida to był nasz obiad, to było nasze wytchnienie, zarazem zwrot w podróż, bo odtąd mieliśmy podwoić kurs na gładkiej jak stół i wyprostowanej szosie.

Na kraju puszczy granicznej i uśmiechniętej ziemi, którą jeździmy już od Werenowa, czemże jest Lida kochana, ze swemi białymi i czerwonymi papilotami w zielonych włosach?

Kiedyś była więcej heroiczna, niż dzisiaj. Zapomniała nawet, że była bastjonem, schodzącym na dół w stronę Niemna od Gieranon z jednej strony, a Ejszyszek z drugiej, czyli ostrogą,



która bez lęku wdierała się w głąb puszczy granicznej jaknajdalej w kierunku do słońca.

Dziś Lida jest ruchliwa, fabryczna. Jest to małe miasteczko nie zrównane w swej zapobiegliwości, energii, odmienne od takiej Oszmiany, która śpi lub od takich Święcian, które także śpią. Dookoła starego grodziska, wyglądającego jak mrowisko, które zburzono i we wnętrzu którego postawiono zamek, tłoczą się ludzie, przedewszystkiem krzyczą.

Spoglądasz na herb Lidy i widzisz, jak we Lwowie, lewka małego podniesionego na łapach. Przypominasz sobie w jednej chwili, jak wychodzisz z dworca we Lwowie i, jak na Gródeczkiej ulicy musisz sobie zatykać uszy zupełnie jak w Bukareszcie. Lida to maciupki, miniaturowy Lwówek. Przedewszystkiem jak Lwów, jest na twoje usługi. Jedziesz z Wilna i chcesz zjeść, możesz zjeść i to dobrze. Chcesz spać spokojnie, możesz spać. Chcesz kupić, proszę, wszystko jest czego zapragniesz, nawet są w księgarni ostatnie nowości.

Ruchliwa jest Lida nie tylko na ziemi, ale i w powietrzu. Aeroplany wojskowe szybują aż powietrze warczy. Kolej jest też pełna warsztatów i gwizdu lokomotyw. Dodaj do tego, że chłopcy krzyczą, czyli zgodnie z nowoczesną pedagogią, wyrabiają sobie głos, wtedy przestaniesz się oburzać, kiedy powiem, że Lida jest jak kogut, który swoje kikeriki wykrzykuje między Wilnem a Nowogródkiem.

Książęta lidzcy byli ruchliwi, a na zamku trzymano nie tylko zwykłych Tatarów, ale i samego chana Hadży-Gereja, urządzając mu takie haremy i taki strój bogaty, że fama o nich gniewała Wilno. Jak bardzo musiało miasteczko być ruchliwe, dowodzą bracia Świętego Franciszka, którzy zawsze szukali największego tłoku i ścisłu by ewangelizować. Dawali swe serce, a gdzie więcej serca potrzeba, jak nie w ludzkim mrowisku, w którym walka o byt każe ostrzyć ząbki. Lida była takim mrowiskiem i dlatego Minoryci tu przyszli wcześniej z Polski. Fara, leżąca niedaleko zamku, była wtedy perłą miasta. Jagiełło wznosząc tę budowlę zaklinał Wszystkich Świętych na świecie, Najświętszą Pannę i najwyższą podniosłość Św. Krzyż, aby współpracowali z miastem, w którym znalazł się niebawem i św. Mikołaj na rynku.

Blżej naszych czasów, Mickiewicz przejeżdżał wiele razy przez Lidę, jadąc z Nowogródka do Wilna, lub z Wilna z powrotem do domu. Z rozczuleniem przejeżdżał przez miasteczko, które

w wielkich światłościach oprawił z Nowogródkiem razem, w tym jednym poemacie, który nazywa się Grażyna.

Biwakujemy krótko w Lidzie. Profesor Rydzewski, który nauczył się przed kilku dniami szoferki i wiezie nas, jak gdyby zęby zjadł niewiadomo na ilu i na jakich autach, p. Rywieńska, która świeżo wydała pracę także w związku z lokomocją prędką i najprędszą, a teraz jedzie z nami objuczona mapami, torbami, aparatami, jakbyśmy wybierali się do Centralnej Afryki, wreszcie moja skromna osoba, wszyscy troje prawimy komplementy gospodarzom w Kole Pań, że nam dają jeść dobrze i dużo, a zwłaszcza, co jest najbardziej rzeczą radosną, tanio. Za chwilę my z kolei wyjdziemy na ulicę aby pilnować auta, a nasi asystenci panowie Wiktor Korolewicz i Kazimierz Baudouin de Courtenay, o ile sobie już na dobre „nie pozwolili“, czerpiąc z napchanych plecaków, przyjdą zapewne dokończyć ostatecznie siestę.

Droga na Skidel i Grodno. Jest to jakieś zjeżdżanie i wyjeżdżanie przemiłe w świecie, ale najłagodniejsze, bo niemal jak na huśtawce. Kto jedzie bryczką, ten już trochę zorientuje się w tem, że to zjeżdżanie i wyjeżdżanie arcywolne jest w związku z tarasami rzek, przez które prowadzi droga. Dziś wody są leniwe, ale kiedyś, jak świadczą szerokie doliny, musiały być mocno rwące. Taka Dzitwa na przykład. Kiedyś pracowała. Teraz, jak Bóg przykazał, w siódmym dniu odpoczywa, przegląda się w sobie, odbija jak w lustrze galopujące centaury na niebie. Podobnie Lebioda. Obie rzeki są naprawdę najbardziej rodzonemi siostrami ruszcycowej Olszanki w Bogdanowie, która też srebrzy się i mizdrzy do zieleni zapomniawszy, że był czas kiedy pieniała się, lejąc jak opętana, i niosła kamienie w dół, jak jaka Bystra lub Raba.

Uderza na drodze brak osiedli. Dobrze, jest puszcza wielkopańska, ale gdzie są ludzie? Szosa leci lasem i lasem tak, że wszystkie odcienie zieleności razem zaczynają muzykować. Przerzynamy pastwiska, łąki, nawet pola zbożowe. Gdzie są miasteczka, wsie, sioła, dlaczego nie widać jakiej gorzelni? Jestem niespokojny, spoglądam na mapę. Więc to tak: rojno jest od ludzi, ale kilka kilometrów w bok od naszej drogi, bo nowa szosa nie jest starym traktem na Lebiode, Iszczołnę i Szczuczyn, ale wojenną drogą, która miała w najkrótszym możliwie czasie dostawiać prowianty, naboje i ludzi rosyjskim fortom w Grodnie.

Maszyna puszczona zaznaczała chwilami swoje... nie chcę zdra-



dzać ile kilometrów na zegarze. Nawet nie było czasu obejrzeć się i chwycić miejsce, gdzie to droga stara z Wilna do Krakowa przecinała tę naszą drogę równą, jak stół i uciekającą, jak błyskawicznie rozkręcająca się biała szpulka w bajce dziecinnej. Napewno droga dawna prowadziła spokojnie, nie spiesząc się, z całą uwagą i przezornością dawnego autoramentu, czuwając tylko nad tem, aby jaknajwięcej obejść sucho i jaknajmniej zamoczyć nogi.

Blżej Skidla znikają lasy. Ornej ziemi przybywa nagle. Wciąż jest jednak wielka własność, latyfundjowy styl. Jeszcze parę kilometrów i przejeżdżamy przez ostatnią wodę przed Grodnem. Kotra jest bardzo malownicza, kręci młynek w niegłębokim jarze i zaczyna już drzeć, czując, że Niemen niedaleko.

Zastanawiam się raz jeszcze nad przebytemi wodami. Odwrotnie jak na całym świecie, są one ciche i spokojne w górnym biegu. Zamiast hałasować bliżej źródeł, jak wszystkie normalne rzeki, wody te śpią nieledwie wśród lilij i kwiecia czarów, jak w balladzie. Dopiero bliżej ujścia otwierają oczy. Wszystkie rzeki na świecie, czując niebezpieczeństwo połknięcia, zwalniają biegu i symulują omdlenie. Te nasze—niepoprawnie, bez wstydu lecą w otwarte ramiona.

Ze Skidla mamy jeszcze 12 km. do Grodna. Wieczór zapada i oczy z natężeniem czegoś przed sobą szukają. Puszcza została za nami. Czujemy, że równia także zostanie za chwilę za nami. Jakiś błękitny pasek daleko na horyzoncie, oderwał się od nieba, zgęścił i w jedno zlał z ziemią. Czy mnie się zdawało, że ktoś krzyknął, bo cały kraj zaczął podnosić się, wydymać raptownie przed naszymi zdumionymi oczami. A więc płyta grodzieńska! Najwyraźniej to ona się podnosi i zmusza wody Niemna do szukania głębszej szczeliny. Tam gdzie czarno, tam jest właśnie dolina.

Nawet nie dostrzegliśmy w jaki sposób się ziemia podnosi, bo kiedyśmy ją poczuli pod sobą, pod mknącym autem, już byliśmy na spadzistości. Najwyraźniej czuć było kamienistą glebę. Jechaliśmy z dołu w górę i z góry w dół, nierówno, niemal nerwowo, czując, że się wszystko rwie, łamie w spadkach, że wszystko jest faliste, niespokojne, plastycznie garbate. Nie było żadnej wątpliwości, że w mroku z nami razem jakieś wydłużone pasy, paseczki, wstążki, wstążeczki ornej ziemi pędziły, radując się, że przyjeżdżamy, że jesteśmy.

Boże, toż to są wszystko pola uprawne, cieńsze, szersze, ale

pocięte równiutko. Płuca stęknęły. Obrobiona jest ziemia, czuć trud ludzki. Pokolenia za pokoleniami od wieków pracują tu na płycie, orzą, sieją, wybierają kamienie.

Ileż tych kamieni było, ileż ich jest jeszcze i pozostało do wybrania!

A tak. Ziemię pocięto na paski. Każden na swojej działce pracuje, każdy na niej się trudzi, częściej zginając kark, niż rozprostowując.

Nie policzysz znoju ani męki.

Pokolei leżały zaścianki szlacheckie opodal nas przy drodze, wsie chłopskie, albe nawet dwory.

Trud trudów włożony jest w tę ziemię grodzieńską.

Za nami bliżej Kotry i Skidla została równia i bezkłopotliwość — tu zaś, na górze, troska przykucnięta jest obok każdej góry wybranego kamienia na spadzistości, na garbatości, na ostrości ziemi, która ma swoje fundusze i wcale nie pragnie poddawać się człowiekowi.

Śladu nie było nigdzie z lasu.

Tylko na miedzach było widać grusze pogarbione mocno i zbite krzaki schodzące nad Niemen w głębokich jarach, jakby to były bałki na stepie.

Najcięższą pracą rąk człowiek od czasów siekier krzemienych haruje tu na płycie i zmienia twardą morenową glinę na pulchną ziemię.

Wyobraźnia nas niosła. Stała Orzeszkowa i z jej powieści, nowel, szkiców, ten cały świat, który jest tam zawsze obecny, ma ogorzałe lica, ręce spracowane i stopy pokaleczone. Ponadto ma oczy, Boże, jakie oczy! O jasności bezmierna i światłości wylewająca się z tych oczu! W obliczu tajemnicy powstawania takich ocz zawsze drżała Orzeszkowa.

Było zupełnie ciemno, kiedy wjeżdżaliśmy do Grodna. Latarnie Trocika, wielkie ślepia w tej chwili nadmiernie rozszerzone, mknąc po ulicach, zapoznawały się po raz pierwszy z tem miastem starem, skupionem, mającem dużo do powiedzenia, posiadającym w sobie przeżycia, jakie sobie kto tylko zdoła wyobrazić, aż do tych fatalnych i tragicznych w przeddzień ostatniego rozbioru, które Los w swoim okrucieństwie nie omieszkał raz na zawsze nie utrwalić na czole tego grodu dumnego, górnego i zawsze królewskiego.



### III.

Najpierw kilka słów o uczuciach, które budzi Grodno.

Bo przyjeżdża się zawsze do tego miasta z zabarwieniem określonym. Kto słyszał o śmierci Batorego i rozmyślał nad tragicznym tej wczesnej śmierci, albo kto zastanawiał się nad ostatnim sejmem w Grodnie i abdykacją Stanisława-Augusta, zatem nad mrokami, które spadły z rokiem 1795 na Polskę, ten nie może nie ująć fatalnych uderzeń, ani zapomnieć, że były, ani też zagłuszyć. Zatem to, co dominuje w pierwszej chwili po przyjeździe do Grodna, to ciekawość, jak wygląda miasto, które zadawało rany serdeczne. Ale wnet przychodzi tu trzecie czucie, związane już z nowymi czasami, po roku 1863, kiedy zdawało się, że niema żadnego wyjścia. Z Grodna rozległ się głos wiary i miłości. Skądśmy przywykli odbierać hjobowe wieści, tam właśnie zapalała Orzeszkowa ogniste wieści.

Rozmyślamy więc nad Grodnem. Przesuwamy przed oczami miasta Polski. Wszystkie są obrócone na południe, na wschód, albo na północ. Kraków spogląda na Wisłę i Krakusowy kopiec, na południe też spoglądają Toruń, Sandomierz, Płock. Warszawa spogląda na wschód, tak że pierwsze promienie dnia zapalają szyby w królewskim zamku. Również Poznań nad Wartą obrócony jest na wschód. Na północ obrócony jest Lwów i na północ w stronę Wilji, obrócone jest Wilno. Lublin zaś spogląda na wschód, żenić chcąc północ z południem, czyli Wilno i Kraków. Tylko jedno Grodno wśród tych miast stanowi krzyczący dysonans. Ono wśród wszystkich stolic królewskich zwrócone jest na zachód.

Kiedy mrok na dole nad Niemnem rozpościera się i zmienia tę rzekę w Styks, wtedy goreją szyby w Batorowym zamku. Potem gasną raptownie i zapadają się w noc. Kto błądzi w zamkach, w starym królewskim, albo w nowszym sejmowym, na który były skierowane armaty Siewersa, ten szepciem nad Wartą zapalają słowa Ducha Słowackiego, z pieśni drugiej pierwszego rapsodu, formułę tajemnic nowego żywota: „A jam skrzydlate obrócił ramiona wschodowi”.

Ale rzućmy tę mistykę, którą można snuć w Grodnie bez końca. Kurzawę historycznych wspomnień budzi to miasto, jak Kraków. Nawet Wilno jest więcej obrócone wprzód i w to, co jest przyszłe i rozwiera się raczej przez czasy przeszłe w coś, co jest przed nami, niż Grodno.

Niemen odwieczny najpierw, jakieś bursztyny spławiane do Olbii nad morzem Argonautów, potem w wiekach średnich nazwa

rzeki Chronos, przypominająca Kronidę, to jest Zeusa Gromowładcę. To jest wszystko pełne sensu, bo pioruny raz poraz trzaskają nad Niemnem, ciągnąc z chmurami z nad Bałtyku. Potem wymowne długie milczenie. Odwieczne tradycje Jadźwy, która tworzyła państwo jeszcze przez Litwę Mendoga i torowała sobie drogę kamiennymi toporami z nad Bugu. Razem z tem enigmat po dziś dzień, mała cerkiewka na Kołozy z całą mistyką kolorowych gwiazd nad blokami skał wmurowanych w cegłę. I tajemniczy jakiś związek między tą obronną świątynią z XII w. a wielką świątynią, po wiekach dźwignioną później w Supraśli. Znowu długie milczenie. Grodziska, palisady, rowy, długi rozdział, który Niemcy nazywają „Lithauen als Schauplatz der Deutschordenkämpfe”. Równocześnie postać Witolda, tego sobowtóra Fryderyka sycylijskiego na północy, i w dwa wieki po pierwszym. Kazimierz Jagiellończyk i jego drewniany dwór. Lilja z rodu królewskiego—Kazimierz i jego śmierć w Grodnie. Zygmuntowie. Batory. Jezuita przy wielkim królu, duchowa armia tak bardzo potrzebna dla anarchizującej Polski.

Dnie Smoleńska i dnie Kremla i wieża Bernardyńska z talarów od kopyta postawiona przez rycerstwo wracające do domu. Dominikanie, Franciszkanie. Jak we wszystkich polskich miastach Karmelitanie bosy w miejscu, gdzie uderzenia wroga mogły być tak fatalne. Śmierć wielkiego króla Władysława IV i żałobny konwój z ciałem do Krakowa na drodze niebezpiecznej, między Mereczem i Grodnem, nad którą czuwa Św. Mikołaj. Okropne czasy Jana Kazimierza, kiedy Wilno była mordowana i Grodno mordowane. Demoniczne prorocтва z powodu przyścia na świat Piotra Wielkiego, czerń kozacka, moskiewska i szwedzka. Gwiazda, która mocno zaświeciła na chwilę: Tyzenhaus. Potem już mroki i mroki—ciemności idące ławą, owe sejmy, Siewers, abdykacja—wszystko gwoździe przybijane do trumny. Nie pomoże Napoleon, nie pomogą ułani księcia Józefa. W ciemności prostuje się infernalny Murawiew, od którego na Trybunale Sądu Ostatecznego kiedyś Grodno będzie musiało zażądać pełnej listy Męczenników. Wreszcie Orzeszkowa, której pomnikiem nie jest to, co napisała, ale to co w sercach Grodnian obudziła i co żyje w nich dotąd. I Grodno dzisiejsze, to ostatnie Grodno, które ma ten bulwar nad Niemnem, aby ochronić zamek i dziesięć bobrów, które pływają opodal jakby to nie bobry były dzikie, ale jakieś zwierzęta bliskie, dziwnie domowe.

Niech mi Józef Jodkowski, nasz przyjaciel, dziejopis, miłośnik i fanatyk batorowego Grodu, nie bierze za złe, że ominąłem to



lub owo, a tylko z pamięci wypisuję to, z czym zrosłem się i o czym tyle razy myślałem, zachodząc do jednej lub drugiej fary, na zamek, na plac obronny bernardyńskiego kościoła, lub w ogrody otwarte nad Niemnem w dawnym serafickim klasztorze u sióstr S. Klary. Jadąc poraz pierwszy na Litwę przed laty 29, przejeżdżając przez Niemen, szeptałem, spoglądając na Grodno: tu mieszka Orzeszkowa. Upłynęło potem wiele lat, zanim znalazłem się w samym mieście, w tej jakiejś dziwnej atmosferze, w której rzeczy duchowe rodzą się tak łatwo w emanacjach czy norach tajemniczych.

Przyjechałem na święta Bożego Narodzenia. Na ulicach błyszczały pancerze z lodu, Niemen płynął, niosąc białe góry, każąc im się kręcić, a w powietrzu migotały igły z mrozu, grzejąc się bezkarnie w słońcu. Stałem na zamku, spoglądając na śniegi i lasy. Nagle, na tle szumu rzeki w dole i szczypania mrozu w górze, stanęła przedemną żywa scena, z krakusowego Norwida, nad którą wtedy z Osterwą pracowaliśmy w warszawskiej Reducie, owa pierwsza scena, w której starzec schodzi do grobu i ostatnim wysiłkiem zaklina królewiczów, aby pozostali zgodni ze sobą. Usłyszałem najwyraźniej głos starca i, co dla mnie było nowe i niespodziewane, głos smoka w tej scenie, smocze świsty, szczypania i złości. Scena zmieniała się we mnie, w moim teatrze wewnętrznym na część wielkiego muzycznego dramatu, w którym po jednej stronie była słoneczność harfiana uzgodniających akordów, a po drugiej stronie kakofonia rozmaitych odgłosów, które towarzyszą sercu, kiedy rozpoczyna się anarchja.

Opowiadam to wszystko dlatego, aby zachęcić poetów, malarzy i muzyków do odwiedzania Grodna, a przez to do wciągnięcia w siebie i swoją twórczość tego wszystkiego, co tam jest w powietrzu, podobnie jak w Krakowie i Wilnie.

Opowiadam zarazem to wszystko dlatego, żeby zaznaczyć, że i w tej wycieczce do Sopoćkiń znalazłszy się w Grodnie, już nie wiem po raz który, potrafiłem o rzecz, o którą za każdym razem potraçałem w tym mieście, to jest o to, że ciemności nie mogą nie ustępować światłu, skoro serce drgnie siłą cudotwórczą. Każda ciemność może być zrzucona przez akt serca, a na taki akt serca człowiek zapracowuje sobie choćby przez takie bezgraniczne oddanie się ziemi, jak to, które jest zapisane co chwila na ziemi grodzieńskiej przez owe paski długie, cienkie zagonów, misterjowe, dziwne wstążki w tym obrzędzie, które wiąże w jedno złożenie rąk i słoneczność dobywającą się z powrotem w twarży.

Spaliśmy twardo w jednym z hoteli grodzieńskich, nie wiedząc nawet, że chmury gromadzą się w powietrzu i ślota jest przed nami.'

W południe należało być na kolei, bo z Wilna przyjeżdżali słuchacze U. S. B., adepci geologii i geografji, aby oglądnać wielki przełom niemnowy, a potem kredowe łomy w Miałach.

Pani Rywieńska zdążyła już oblecieć Grodno, być na Kołozy i na rynku. Przychodziła oznajmić, że odkryła stary rynek, jeszcze starszy, niż ten, który jest dziś między witołdową i jezuicką farą. „Złapałam go na podwórzach. Nie mógł mi się wymknąć. Dziśniejszy jest oddalony od zamku, tamten był bliżej swego pana”.

Do Muzeum zaszliśmy, aby pogadać z Jodkowskim. Dyrektor był zaaferowany, wybierał się na jakiś jubileusz, czy chrzest nowo sprawionych sztandarów.

Z pociągu gramolili się studenci, wynosząc walizy i worki. To są kontrasty, rozumiem, kiedy jedni jadą na wycieczkę, jakby za daleki Ocean, a drudzy nie przywożą nawet derki ze sobą, choć wiedzą, że będą spali na sianie i że może być zimno. Najmłodsze latorośle drżały w batystowych sukienkach.

Poniemuń leży parę kilometrów w górę od Grodna, jest to własność książąt Drucko-Lubeckich. Leży w przełomie niemnowym, który w miarę jak oddalamy się od Grodna, staje się coraz bardziej odludny, pusty, złowrogi i niemły. Oto do czego prowadzi zbrodnicze wycinanie lasów!

Wiatr szalał, spadając na wodę kotłującą się i wściekłą. Wymagać aby pod miastem człowiek drżał o każdą trawkę mogłoby się wydawać rzeczą arcyśmieszną, z drugiej jednak strony tak ogołocić wysokie brzegi, jak pod Żytowszczyzną, to przecież jest nielada sztuka. Wystarczy powiedzieć, że w tej naszej wędrowce kilkogodzinnej (i gdzie, w jakim miejscu na świecie!) nie widzieliśmy ptaka, jednego zwierzęcia. W przełomie żyje jeden tylko Niemen, wiruje, pieni się, raz coraz ciska o jeden brzeg, zawadza, potem o drugi. Gdzież jest ptactwo, które przylatywało ongiś z południowych krajów i nad wodą czyniło muzyki, które jeszcze dziś nosimy w sobie żywe?

Wróciliśmy do Poniemunia, które jest perłą w przełomie. Mieliśmy parę lat temu sposobność gościć u pp. Śrzednickich, kiedy był zjazd geologów polskich i kiedy na dziedzińcu lało się piwo z beczek, jak woda za dotknięciem różdżki jemiolowej. Teraz gospodarz nas zatrzymał. Doskonałe były szparagi i doskonała na-



sza gawęda. Korzystać z zaproszenia nad Niemnem jest to spędzić przemiły czas wśród ludzi, którzy mówią przedewszystkiem o tem, co kochają, a tem jest Grodno i Grodzieńszczyzna, nieskończony, wiekiuisty temat, nie mogący nikogo ani znużyć ani znużyć.

Studenci długo w noc niepokoiłi Grodno, z humorem rozwijając się w gęsiego, czy inne zygzaki, związane zleceniem ptaństwa na wiosnę.

Rano rozpoczęła się perypetja do kredowych gór w Miałach. Znowu parę kilometrów, tym razem jednak w dół Niemna, niemal tyle razy, ile wczoraj w górę. Starszyznę wiozł Trocik. Młodzi z torbami, młotkami i kompasami przedzierali się kolumną przez zboże.

Tak rzadko na Litwie naszej zobaczyć możemy fundament prawdziwy i skalny, że jest rozkoszą oglądać kredę pod Grodnem. Oceaniczny muł z przed miliona lat—bez żadnej metafory czy hiperboli.

Morze wtedy pokrywało Polskę i było pełne dziwotworów, tych jakichś jaszczurów, o których Słowacki w *Genezis z Ducha* bajecznie się wyraził, mówiąc, że były to „z kości okręta”.

A tak kochani. Spójrzcie tu są ślady ślimaków, a tu ostróg.

Tu jest gąbka cudem zachowana, tak, że można jej architekturę podziwiać. Tu znowu jest piorunowa strzałka, kość z kości wielkiego morskiego polipa, który ofiarę swoją ramionami okręcał, jak to dziś czynią ośmiornice w zatoce neapolitańskiej, lub w zatoce Palermo.

Ofiarę swoją trzymała nasza mądra i pastwiła się nad nią jak tylko może się pastwić zwierzę, w którym serce podobne jest do stalowego gwoźdźca.

Tu, kochani, patrzcie, jest białutka kreda, pył delikatny błota morskiego i zachowane jakieś zęby rybie. Rozłożył się po śmierci potwór, zostały ostre zęby. W ciemnościach głębokich wód przy piorunowych błyskach latarek, zapalonych na grzbiecie morskich rabusiów, działa się zbrodnie.

Jeżeli masz oczy i świecę mędrca dzięki której czytać możesz mowę skał — patrząc się na tajemnice, które przed tobą usuwa wtedy ręka niewidzialna, to możesz tylko krzyknąć: ta biała kreda pełna runów, to jest epopeja światowa bez końca.

Ocean przewalał się kiedyś na miejscu Grodna, Wilna, Warszawy. Aż przyszedł ten biały lód, przez Bałtyk, zsuwając się ze Skandynawskich gór, pokrytych wtedy nadmiarem lodu. Aż do Karpat spływał ten lód, aż do Kijowa, Polskę zamieniając

w białą Grenlandję. I oto te wszystkie gliny, piaski, ily, nanosy, rumowiska, okruchy, zwały, kamienie, które tworzą powierzchnię naszych ziem nad Niemnem i Wilją (tak samo nad Wisłą i Wartą) są niczem innym, jak wyschłym i stwardziałym błotem, niesionym przez lody, pod sunącym lodem.

Do glin, do lodowcowych, morenowych ilów zawołać możemy: Przykryliście sobą cuda i te cuda są schowane w głębi! Więc i kreda, dawne dno morskie. Na kredowym mule są zielone piaski, a w tych piaskach bursztyny. Drzewa szpilkowe szumiały na lądzie, a rzeki porwaną żywicę niosły grzebiąc w piaskach zielonych.

Oto jest bursztyn i oto są piaski zielone. A nad piaskami inne jeszcze piaski, pył delikatny, cukrowy. Spoglądajcie, kochani, na ten piaseczek, ten pył delikatny. Znajdziecie go w Starej Wsi, w Chłapowie, na Pilicy, w stokach wysokich nad morzem naszym. Była to epoka jezior wielkich. Figi rozkrzewia się i cynamon z korą pachnącą. Magnolje rozwierały kwiaty jak talerze. Tu, gdzie Grodno, tu, gdzie Warszawa i Wilno, był klimat cieplejszy, niż w Jałcie lub Synope. Oto macie kawałek zwęglonej materji. Owoce może ongiś złociste i pachnące, słodkie i pełne świeżości jak pizang na Tahiti.

„Każde drzewo jest wielkiem rozwiązaniem matematycznego zadania, tajemnicą liczby” mówi Słowacki. O floro wymarła, w węgiel obrócona, figi, orzechy, cynamony, drzewa chlebowe! Ileż ptaków rajskich siedziało na waszych gałęziach! Motyle były takie pełne ognia, rubinu i szafiru, jak dziś na Gwinei lub Samoa. A krzyki słońca radującego się z istnienia takiej flory, takiej fauny, ryb kolorowych w wodzie, czyż nie są niemal związane z tym pyłkiem, tym piaseczkiem, który się wygrzewać musiał, jak jaki krokodyl na skwarze. Dobrze, że w Grodnie ziemia otwarła czeluście i że wygląda biały fundament, wszędzie gdzieindziej schowany. Ziemia się tu podniosła, odsłoniła swe kości. Jesteśmy pełni pokory dla wielkich Dni stworzenia. Przedkołyskowy nasz żywot wygląda z każdego kamienia. Spoglądamy z jednej strony wstecz w otchłanie, które były, z drugiej przed się, już na nowym brzegu i niemal przed siebie, w oczy jasne, pełne nieba na zbożowej roli, które grodzieńska ziemia umie rodzić, nową formę form w wiekiuistej pracy na przedłużonej drodze wypracowywania form. Tak jest. Są oczy czerwone, co świecą jak karbunkuły i chowają się w ciemności i są oczy, które wychodzą na słońce i mają wszystko co jest ludzko-anielskie. Jakaż jest tylko straszliwa i przydługa droga,



która prowadzi od jednych do drugich! Tajemnica pochodu „Ad Astra”.

Wróciliśmy do Grodna, raczej do Stanisławowa, klucza wszystkich dóbr Drucko-Lubeckich.

Teraz taka rozmowa toczyła się przy obiedzie u p.p. Cytarzyńskich.

„Oderwano Grodno od Wilna. Jakżesz Panowie do tego mogli dopuścić, żeby poseł sejmowy, nie orjentujący się w tem co jest Polska, w dniach Odrodzenia i początku mógł gafę uczynić i postawić Białystok nad Grodnem. Dla Białegostoku żywimy tylko sympatię, więcej, nawet adorację, gdyż można stamtąd cudownie odwiedzać Wiznę, Goniądz, Knyszyn, Supraśl, Wasylkowo, puszcę Białowieską. Wszystkie autobusy zbierają się na rynku i wszystkie z tego rynku wyjeżdżają. Jest nawet taki, który idzie do Augustowa, a inny do Baranowicz. Ale na miłosierdzie Boskie wojewoda musi czerpać z czegoś duchowo i na czemś historycznie stać. Polska musi czuć, że ma ziemię pod sobą. Wojewoda w Grodnie czułby, że ma ziemię i przeszłość i, że każdy jego krok jest dalszym ciągiem historii, która zaczęła takie lub owakie formy rodzić na danym kawałku. W Białymstoku jest przemysł. Serce się raduje, gdy widzi jak przędzalnie i farbiarnie z uporem jakimś zaciętym, wbrew inflacjom i nonsensom fiskalizmu, przecież zmieniają się w prawdziwe, z prawdziwego zdarzenia, najprawdziwsze fabryki. W Białymstoku jest jeszcze pałac Branickich i na dziedzińcu tego pałacu stoi jeden Herakles, który dusi Cerbera, a drugi, który dusi wielogłową hydrę. To wszystko jest bardzo piękne. Wzrusza mnie nawet i to, że Polska kiedyś darowała była Białystok Czarnieckiemu, jak później Obłęgórek Sienkiewiczowi. Ale Panowie, to jest wszystko. Niema tam jak w Grodnie wielkiej przeszłości. Tam duch nie gada. I dlatego myślę, że wcześniej czy później Białystok, który należał od wieków i należy dalej do ziemi nad Narwią i nie miał nic wspólnego z Niemnem (chyba że stał pod jego ścianą) będzie musiał wypuścić ze swoich rąk, żywe i królewskie miasto, które ma prawo, jak i w przeszłości, być chyba niezależne i tworzyć miasto stołeczne, wojewódzkie. Wyobrażam jak musi się chwila mi dusić Białystok, kiedy chce jakiś sens dobyć z ziem rozmaitych, chaotycznie skupionych, a sens się taki nie da dobyć. Chwała Bogu zaczynamy oczy przecierać. Przedewszystkiem rozumieć, że przeszłość nie wolno gwałcić, ziem kiedyś połączonych ze sobą nie wolno rozrywać. Niemen i Wilja głębiej ze sobą są sprzęgnięte, niż to nawet się wydaje. Dwa miasta—gdyby gwiazdy dwie świeciły zawsze na drodze do Moskwy.

Wielki Batory związany był jak mało kto z Grodnem. Zakładając Akademię w Wilnie dobrze wiedział co robił dla przyszłości i mądrości samej ziemi. Najwyższej radości zaznało też Grodno w związku z tą Akademią, której przecież emanacją był Tyzenhauz i jego skrzydlate, a przecież tak praktyczne plany.

Za to, że Wilno mogło spokojnie pracować ze swoją Akademią w Centrum Litwy, dostawało Grodno Sejmy co trzy lata, które zmuszały nie tylko Warszawę, ale Poznań i Kraków nad Niemen przyjeżdżać i czyniły ze starego grodu chwilami ul pełen niesfornych trutni. Historia nie da się tak wziąć w palce jak arkusz papieru i podrzeć. Ziemia ma swoją nieubłaganą logikę i dlatego nie mogło Grodno nie być na obszarze Rzeczypospolitej w najmroczniejszej chwili ziemią obiecaną dla najwyższych wskazań, do których dorosło Wilno, przez iluminacje Mickiewicza oglądające Nowy Zakon na Sercu. Orzeszkowa wcielając natchnione formuły w życie samo najcięższe i najczarniejsze, praktycznie i z całym uporem, była jak ogrodnik, który zastał „kamienie a zostawił kwiaty”.

Ach, ten wyraz: praktycznie... z którego dziś Polska robi bożyszcze, chcąc zejść z obłoków i tu na ziemi poruszać się, a nie jak nasi przodkowie — gdzieś pośrodku między niebem i ziemią, jedno i drugie wiążąc.

Zatem nie było sposobu, ale jak już wczoraj w Poniemuniu w obliczu szparagów poniemuńskich inspektów, tak w tej chwili także przy szparagach rozmowa się toczyła o tem, co ma Grodno, co może mieć... pod ziemią.

Taka ona dziwna ta sprawa grodzieńska. Zaczyna się ciemnością, w której biją pioruny. Potem słońce przez chmury przedziera się, choć jeszcze długo turkocze powietrze. Po rodzajnym deszczu otwiera się ziemia. Są szczeliny i pęknięcia. Człowiek nie spuszcza oka z ziemi, już ją chce oglądać z pod spodu.

Tyzenhauz, potem cudowny Chreptowicz i z nim razem pani Branicka, siostra króla, twierdzili, że zioła ziemi grodzieńskiej mają specjalne, Św. Jańskie, które w kąć zapędzają wszystkie zioła — nawet — tu zawsze był grzeczny pokłon w stronę Wilna — nawet wileńskie. Imć Pan Gilibert był właśnie dlatego sprowadzony zdaleka, bo się znał na aptece.

A teraz co było?

Pytanie było postawione: mylą się czy nie mylą przemysłowcy grodzieńscy, pan inżynier Cytarzyński, kiedy twierdzą, że trzeba kopać?

Przyciskano nas coraz bardziej do muru.



Wtedy zawołałem: Niech się kłopotce Rydzewski, niech mówi, gdzie wiercić. Od szeregu lat przystawia ucho do ziemi i twierdzi, że pod Grodnem turkocze. Wiercić trzeba i że Tyzenhauz miał rację zaczynając wiercić, to jest dziś niedośpiewana prawda. Piliśmy tego dnia w Stanisławowie, w pałacyku Stanisława Augusta warjackie zdrowie, przyszłość pokaże — jednej z trzech rzeczy: soli, węgla lub żelaza pod Grodnem, godząc się wszyscy, że Rydzewski wskaże owo miejsce, na którym stanie wielka, nową epokę zaczynająca, wieża wiertnicza.

## V.

Znać wino, które piliśmy w Stanisławowie nie było znowu tak bardzo niewinne skoro, przez dobrą chwilę błakaliśmy się nie mogąc wjechać na prawdziwą i jedyną drogę prowadzącą do Sopoćkiń. Deszcz bombardował na dobre w mikowe okna naszego Fiata. Młodzież waliła za nami czy przed nami autobusem. Rozlegały się jakieś głosy, niewiadome śpiewy czy tańce, czy wszystko razem. Chwyciliśmy dopiero na dobre powietrze w Świacku, gdzie stanęliśmy. A więc tu jest Świack, ten ogród, ten dwór, to morze rozkwitłego, pachnącego bzu.

Czytelnik się zdziwi, że jechaliśmy do Sopoćkiń a stanęliśmy w Świacku. Gdzież są te Sopoćkinie? Są, przejeżdżaliśmy przez nie, ale nie mieliśmy co w nich robić, gdyby nie ten dobry, kochany dwór w Świacku, który nas przyjął. Sopoćkinie są bowiem małym miasteczkiem, niedotykając nikogo, aż prawie nikczemnem. Aby taka gromada wielka ludzi mogła spać i jeść, na to trzeba było dworu, otwarcia takiego rąk, jakie w Polsce dawnej wszystkie dwory uważały sobie mieć za obowiązek święty.

Zlecieliśmy jak z nieba, bo nikt nie przypuszczał, żeby tu na kraj świata w taką słotę ktośkolwiek mógł zdala przyjechać, choćby był tysiąc razy zapowiedziany. Ale byliśmy. Już grzaliśmy się w salonie, w jadalni, przy bilardzie, na gankach. Był dzień 3 czerwca, niedziela, którąś już do później nocy jakoś tak dziwnie przekładali, to rozmową, to muzyką, to tańcem, to jedzeniem. Oczy kleiły się na dobre choć ucho długo nie mogło sobie dać rady z tą ulewą na dworze, która wstrząsała wszystkimi drzewami w parku. Rano ze zdumieniem otwarły się oczy, widząc słońce i cały świat w odświeżonych kolorach.

Już byli wszyscy na dziedzińcu i także nasi chłopcy, którzy spali ale nie jak panienki w ciepłych łóżeczkach.

Fiołkowe glicynie jakby w jakimś Sorencie ubierają w Świacku południową ścianę dworu a obok nich są winogrona, które po-

dobno w październiku czasem są słodkie i soczyste. Tego roku dużo drzew pomarło w ogrodzie.

Ale oto już idziemy na Angalję. Gospodarz nasz, właściciel Świacka p. Józef Górski prowadzi nas przez las w górę. Orkiestra ptaków była jakby zamówiona.

Angalja była to góra z wielkim kamieniem na czubku, samiusienki kraniec płyty grodzieńskiej, jej punkt ostatni na obszarze największego podniesienia i najbardziej na północ. Tyle razy w Wilnie wpatrywaliśmy się na mapie w ten koniec wysuwającej się płyty, gdyby na koniec rufy okrętowej, prującej wody podnoszącej się, że wiedzieliśmy wyraźnie, dokumentnie, gdzie stoimy.

Między drzewami na dole wioska, pola, dalej lasy, puszcza i tak bez końca do samego horyzontu. Puszcza Augustowska czarna, monotonna, niemal ponura, na którą patrzymy w tej chwili bez trwogi, ale w stronę, której tyle razy, na tym miejscu przyglądano się ze strachem. A te piaseczki na dole to kanał? A tak, kanał augustowski, zakryty przez drzewa, rów jak sznur rozprostowany, którym można jechać z Niemna do Wisły lub z Wisły do Niemna.

Oka nie spuszczałyśmy z puszczy. Tam był jasny punkt, Wejsieje, jak to sprawdzali nasi chłopcy drapiąc się na drzewa i weryfikując mapę lornetką.

Puszcza Augustowska to jest zatem świat zamknięty, zwarty, tajemniczy, pełny jezior kryjących się za drzewami, na który ostatni kraniec płyty grodzieńskiej na Angalji wciąż spogląda.

Widziałem w Polsce podobny krajobraz, ale może mniej beznadziejny, z Radostowej, kiedy się spogląda na czarną, przeczną Katarzyny. Puszcza pod Tatrami także jest mroczna, ale nad nią jest oddech — architektura pełna strzelistości Lodowego, Garłucha, dalej na wschodzie Krywania i Salatyńskiego.

Także i z Wilna, z Ponar patrząc przed się widać czarny kraj z bitej, ciemnej puszczy, ale Wilno rozbraja posępność wszelką i przywraca uśmiech z powrotem na lica.

Tu z Angalji spoglądając widzimy puszcę bez reszty, jedno morze niekończące się i po horyzonty i wszędzie czarne.

To jest krajobraz Wacława Sieroszewskiego, który tu mieszkał w Świacku, ta jakaś taiga, którą niósł ze sobą po świecie, i wszędzie odnajdywał.

Mało kto wie może w Polsce, że w czasach najstraszniejszych ten dwór na dole przytulił przyszłego pisarza do serca i pozwolił chłopcu przyjąć do siebie i wziąć wielki dech w sobie.



To kolega zabrał kolegę do siebie na wieś, jeden kolega drugiego, który był jak pies niemal już w zębach moskiewskich ogarów szcztutych przez Apuchtiņa.

Jeżeli w Żeromskim jest Świętokrzyska puszcza, to w twórczość Sieroszewskiego jest wmurowana Augustowska. Zresztą, przecież to jest ta sama puszcza nie inna, co za Uralem nad Leną i Kołymą, a która tu z Azji wylała się i niemal dochodzi do tego lasu już bukowego i cieplejszego, który snuje się bliżej Atlantyku. Ten bierze w siebie wszystkie łagodności Golfstromu, a augustowska — eurazyatycka z naszego Pojezierza, ciągnąca nad Pacyfik jest raz oddana na łup wielkich skwarów, potem nagle katastrofalnie na łup wielkich mrozów. To jest nic innego jak właśnie tajga.

Chłopcy krzyczeli z drzew: piaski żółte po prawej ręce, to Niemni, za zbożami pod nami na lewo Sopoćkinie.

W tej chwili przeleciały przed nami i wysoko dwa łabędzie. Rozpoczęła się natychmiast automatycznie niemal rozmowa, o ptakach, a która jest naszym wielkim krykiem sumienia pragnącym zagłuszyć to, co się stało, to jest to, że wody nasze wszystkie w Polsce milczą strasznie puste.

Ostatnie łabędzie. Kiedyś przylatywały na wiosnę chmurami zbitymi.

Grecja stara nie chciała wierzyć, że łabędzie śpiewają. Ze śpiewających łabędzie czyniła mity, kolorowe, fantastyczne, wszystko dlatego, że greckie łabędzie na Morzu Śródziemnym nigdy nie śpiewają.

Te nasze śpiewały. Śpiew umilkł. Tylko ta para szalona mknęła w powietrzu nie znajdując bezpieczeństwa.

Tak, tak. Zaczęło się od tej okropnej daniny. Trzeba było uzbrojonym wrogom dostarczać od każdego dymu po skórce. Rozpoczęła się rzeź kun, bobrów, soboli. Dziś wiewiórki są prawie wytępione, a jutro — nikt nie zobaczy jednego zwierzęcia, chyba w książkach i we fantazji, kiedy człowiek będzie się rzucał w snach, pokutując za morderstwa.

Jakaż mogła być rozmowa, która zaczęła się o łabędziach, o dzikich gęsiach, o żurawiach i cietrzewiach, jak nie rozmowa o wojnie, która tu szalała zawsze, ale już najokropniej podczas wielkiej wojny?

Przecież tu właśnie jest kąt, w którym schodzą się ze sobą granice.

Jak w przeszłości był tu kąt, w którym ze sobą graniczyło Mazowsze, Litwa z Rusią i kraj czarnego krzyża na białych płaszczach,

tak i dziś graniczą tu plemienna Litwa Polska i Prusy Wschodnie.

Okropna była ostatnia wojna. Armaty moskiewskie na Angalji myślały, że Niemców powstrzymają od wyjścia z Augustowskiej puszczy, ale Niemcy się przedarli dalej na Wschód i pod Druskińnikami przecięli wszelkie połączenie. To co była później to była jedna rzeź wybijanych rosyjskich pułków przez kilka karabinów maszynowych, ukrytych zdradliwie, jakaś karta potwornej zdrady czy głupoty, czekające na pióro epickie wielkiego Tołstoja lub Balzaka

Kiedyś dwa razy do roku, z tej samej puszczy Augustowskiej wychodzili krzyżacy na Grodno. Raz drugiego lutego, kiedy wszystko było jeszcze zamarznęte i modlono się do Matki Boskiej Gromnicznej, Perkunatele, o powrót wiosny, drugi raz 15 sierpnia, kiedy dzień był upalny, ziemia w godowym szale, a po kościołach dziękowano Wniebowziętej za plony. Oto jest zakon, który gloryfikował swoją patronkę, będącą jedną Miłością i jedną czystością jakimiś faktami niepoczytalnych morderstw, pożog i brania w niewolę ludności, która już była przez Jagiełłę chrzczona, ale którą, wobec negowania tamtego chrztu, traktowano gorzej niż zwierzęta. Z tej samej puszczy zwykle równocześnie po zamarznętych rzekach, uzbrojona horda skradając skierowywała się na Wilno niewychodząc z lasów, aż dopiero pod Trokami lub w Miednikach. To był ten wojenny szlak, zapuszczański trakt ukryty przed okiem człowieka, który odkrył był malborski zakon, jak odkrywa jakiś ryś lub wilk ścieżkę, aby zbliżyć do Bogu ducha winnej ofiary.

Więc Wilno miało instynkt bojąc się dalekiego sopoćkiniowskiego węzła, gniazda jaszczurczego, ukrytego w puszczy i mogło ono przez geografa swego Makowskiego sygnalizować pokoleniom XVII wieku tę trwogę, już tylko podziemną, immanentną, echo dawnej trwogi, która była jednak i zdradzała się jeszcze w rysunku, tak jak dziś w grafologii ręka zdradza się wykreślając linje, z których odczytać można bojaźliwe napięcia.

Dobrze jest skończyć o wojnach, spoglądać na zboże kwitnące, zapomnieć, że jest zło, które czyha jak kamień na zboczu, gotowe zaraz lecieć, skoro się go ruszy.

Tak i my. Spoglądamy na płytę grodzieńską, jej kraj ostateczny, jej krawędź. Tak to ona. Jak z Krzemieńca do Lwowa posuwać się można wzdłuż krawędzi podolskiej, tak tu nad Niemnem można posuwać się przez Sopoćkinie, Lipsk, do Goniądza, wciąż idąc wzdłuż krawędzi, która z dołu wygląda jak mur.

A cóż to za miasteczko dziwaczne te Sopoćkinie?



Teraz widać je jak na dłoni. Chowają się przed lasem, przed błotami, uciekają w płytę, cofają się w szczelinę małej doliny jak zwierzę, które pragnie z bezpiecznego miejsca obserwować.

Kilka domów drewnianych, bożnica, odarty kościół, pusty, wielki rynek, nędza okropna, agonja ostateczna, oto co wojna zrobiła z miasteczka, w którym można było pić ongiś szampan, kupować jedwabie i z przemytnikami się układać, aby to przewieźli z Niemiec co tylko dusza zapagnie.

Strome jest zbocze, nad domami wysokie urwisko. Jeszcze są ślady pożarów, obronności, grodziskości tego miejsca. Na polach małe mogiłki ale dawne, prahistoryczne skoro znajdują się garnuszki, żalniki słowiańskie.

Gdzież jest ród wielkich Sopoćków, który wraz z Puksztami ongiś trząśł samemi Trokami?

Płyta dawała zboże i zboże to wymieniano na produkty leśne, na futra, воск, miód, potaże i czarną lepkaż, bez której trudno było jechać czortopchajkami choćby najbardziej prymitywnymi. A więc z puszczy ludzie ciągnęli do Sopoćkin i zabrawszy kaszę lub mąkę długo jeszcze wspominali, że tam jest wesoło i kolorowo. Przychodzili w łapciach, w kozuchach swoich dziwiąc się ruchliwości sopoćkińskich mieszczan, którym nadano magdeburskie prawo, świadectwo dojrzałości średniowiecznej.

Płyta i lasy, Sopoćkinie i puszcza, ludzie tu, ludzie tam, odwieczne zboże od strony Grodna kończące się raptownie i garnuszki ofiarowywane dziadom, aby na tamtem świecie przebywając nie zapominali o żywych.

Wracamy do Świacka. Teraz idziemy po mokrych łąkach ubranych w same jaskry. A teraz znowu między zbożem. Ktoś mówi: teraz kłosuje. Ktoś inny dodaje: dwa tygodnie kłosuje, dwa tygodnie rosuje, dwa tygodnie nalewa, dwa tygodnie dojrzewa.

Jest obiad, potem spacer nad Augustowski kanał, który dopiero skończy się późno i w nocy.

Nie trzeba zaraz tak opadać duchowo. Wyobraźnia maluje z fantazyją, wielki kanał. A tu niespodzianie niemal rów i trochę wody. Pewnie, że w tej chwili granica litewska jest ciężka i że kanał po którym posuwać się powinny korowody statków, jest okropnie pusty.

Spoglądamy na torfy i piaski i małą wodę, która jeśli człowiek, zechce, podniesie się natychmiast aż po brzegi, aż do tego znaku który pokazuje: tu była.

Nad kanałem ani jednego ptaka. Życie zamarło i to jest okropniejsze jeszcze niż ten kanał nie zupełnie opuszczony.

Zato Niemen wspaniała. Teraz dopiero dziękujemy Bogu za tę granicę litewską, dzięki której lasy się tu trzymają i nie są rąbane. Pomyśleć, granica otwarta—to w jednej chwili pełny wandalizm i łapczywość ludzka, kawiarnie warszawskiego pełne mrowia handlarzy i te brudne transakcje, za które płaci cały naród. Z przerażeniem można oczekiwać chwili, kiedy człowiek z zębami wyszczerzonymi runie tu na drzewa, wściekły, że go za rękę trzymano.

Słońce zachodziło. Żółte piaski niemnowe zmieniały się na krzyczącą pomarańczę. Na wodzie blaski czerwieniły się, opodal las czarny, milczący, i wszystkie możliwe fiolety na niebie.

Kto raz spoglądał na taki Niemen, ten wie, że ta rzeka daje moc i stalowe nerwy. Mógłby coś o tem powiedzieć Ten, który nas wszystkich do życia nowego prowadzi w Polsce i sam w Druskienikach spoglądając na wodę Niemna raz wraz po zmęczeniu odzyskuje siły.

Piękne są Tatry. Ale tu na północy mamy ten swój Niemen i ten rywalizować potrafi z Tatrami.

—Jakto, ktoś krzyknie: całe Tatry od Landoku do Osolitej z Garłuchem na czele Pan na jedną szalę wielkiej wagi kładzie a na drugą szalę Niemen, rzekę?

—A tak, Panie drogi. Niemen i puszcę odwieczną i jeziora i pioruny. Jeśli tam u was rozlega się krzyk z powodu barbarzyńskiego trzebienia lasów i naród cały śpieszy kupować Pieniny, bo wszystko jest zagrożone, to i u nas na drugim krańcu Rzeczypospolitej jest czas pomyśleć o tem, co zrobić aby dewastacja lasów tak nas nie zaskoczyła, jak was, którzyście ufali, że rodzina Uznańskich chyba nie zechce pozostać w tyle od rodziny Zamoyskich, która przez Władysława, pana Kuźnic pokazała, że jest na wysokości najwyższych antenatów. Okropne są te rany zadane w Tatrach i nieuleczalne w których piarg dolomitowy się sypie i raz na zawsze taką pustynię otwiera jak w Kastylji. Nie mogę zapomnąć Ikwy, która płynie pod Dubnem i z której natrzasa się cynicznie okropna pustynia ogołocona z każdego drzewka.

Chcę tu przypomnieć, że nad Niemnem czytać Króla Ducha to tak jak Homera czytać nad morzem albo Danta w tym pasie piniowym, który straszy po nocach pod Rawenną.

„Dusza... w Styksie, w Letejskiej wodzie albo w Niemnie...” zaczyna Słowacki, nic mogąc dobrać wyższych słów na samym początku, kiedy Duch aby piorunowe skupić siły musi na chwilę to zrobić „co wiedzą tylko wniebowzięci”.



Było ciemno, kiedy zmęczeni, ale odświeżeni wewnątrz do-  
wlekliśmy się do dworu w Świacku z powrotem.

Nie wiedzieliśmy nazajutrz jak dziękować.

Bo to, co dla nas najważniejsze, było to, że garstka mło-  
dzieży uniwersyteckiej (złożona z rozmaitych elementów, wiar  
i narodowości) zetknęła się była na chwilę z tem, co może być  
najwyższe w Polsce.

Mogli się ci nasi chłopcy i te nasze panny własnymi oczami  
przekonać czem jest dwór, który stał i dalej stoi na straży du-  
chowych dóbr, na Polskości, na heroizmie.

Pomyśleć, w tym samym dworze, w którym Sieroszewski znalazł  
schronienie przed moskiewskimi zbirami, dziś w innych zupełnie  
warunkach (materiałnie dla dworu stokrotnie gorszych) gościła  
gromada z uniwersytetu U. S. B. przez dwa dni, odkrywając że  
„gość w dom, Bóg w dom”, może być w naszym życiu, tem  
czem było w przeszłości—początkiem łączenia się w Jedno.

W chwili, gdy wsiadaliśmy do auta i autobusu słońce zaznaczała  
długim grzmotem, że ustąpiła wyjątkowo tylko na jeden dzień.

Teraz zaczęła się wściekła jazda. Chodziło oto, aby przed  
nocą dolecieć do Wilna i nie dać się przez deszcz zatrzymać  
po drodze. Raz jeszcze w Grodnie zrównał się Trocik z auto-  
busem i młodzieżą, która śpieszyła na kolej.

Już pędziliśmy, znowu wyjeżdżając z deszczu na słońce i ze  
słońca pakując się w gwałtowną ulewę między zygzaki piorunów.  
Siedem kilometrów przed Lidą pękła guma na kole. Wpadliśmy  
na górę do Koła Pań na Kotłuszy. Chciał nas zatrzymać pan  
Meysztowicz z Gieranon ale musieliśmy się z jego rąk niemal siłą  
wyrwać. Szczęście było z nami, bo na najgorszym odcinku djabły  
nie odważyły się zepchnąć nas w błoto. Obryzgnani cynicznie sły-  
szeliśmy ich śmiech za sobą. Potem auto niosło z Żyrmun spo-  
kojnie aż znowu okropne bombardowanie trzeba było wytrzymać  
nawałnicy, która lała się w samo ucho. Drogi wyglądały jak roz-  
topy wiosenne i trzeba było dużo benzyny pompować. Ale i to  
wszystko przeszło i już gracko, elegancko, jakby nic nie zaszło,  
a cała podróż była kilkusekundową igraszka wjechałszy w ulice  
Wilna.

*Mieczysław Limanowski*

## O „NIEDOBREJ MIŁOŚCI” ZOFJI NAŁKOWSKIEJ

Pióro Nałkowskiej posiada zalety tak wysokiej klasy, że stawia naszą  
świetną powieściopisarkę w pierwszym rzędzie współczesnych autorek euro-  
pejskich, w tym szeregu, w którym stoją Comtesse de Noailles, Ricarda Huch,  
Zygryda Undset i Karin Michaelis.

Tym razem znów autorka „Hrabiego Emila”, „Charakterów”, „Luster”,  
„Choucas” i „Romansu Teresy Hennert” — sprawiła swoim licznym wielbi-  
cielom radosną niespodziankę. Nałkowska dała, mówiąc w dwóch słowach,  
wykrój życia naszej prowincji w dniu dzisiejszym. Nietrudno odgadnąć, że  
cała sprawa dzieje się w Białymstoku i jego okolicach, w towarzystwie, uję-  
tem w ramy: od góry: wojewody i senatora z lokalną generalicją — aż wdół  
do skromnie zarabiającej urzędniczki Mani Siesławskiej. Akcja psychologicz-  
na, obrysowana łagodnymi konturami zwykłych wydarzeń „prowincjonalnych”,  
jak wycieczki samochodowe, ślizgawka, przyjęcie w województwie—skupiona  
jest w soczewce czworga osób: Pawła i Agnieszki Blizborów, oraz Renaty  
Śluczańskiej i jej męża. Splątane nici uczuciowej intrygi między temi dwoma  
małżeństwami trzyma autorka w delikatnych, pewnych rękach, które są abso-  
lutnie kobiece i wysoce twórcze. Nie „rozwiązuje” konfliktu, gdyż takie kon-  
flikty są i rozwiązuje je dopiero śmierć, a nikt właściwie oskarżać tu ani  
radzić, ani pomóc nie może. My ludzie XX wieku widzimy ich dokoła siebie  
aż nadto wiele — słyszymy raz po raz słowa „zdrada”, „rozwód”, „dramat”,—  
czasem „pojedynek” lub nawet „samobójstwo”. Sądzymy zazwyczaj fałszywie.  
Pojęcia nie mamy, co się pod temi słowami kryje. Mamy gotowe, tanie, wy-  
godne formułki, w które włączamy żywych ludzi i krwawiące serca. A tam  
wewnątrz jest zupełnie inaczej i pojęcia o tem nie mamy. Tynkujemy wszystko  
lepką mazią pogłosek, domysłów i plotek. Póki nas samych dnia pewnego życie  
nie rozciągnie na swem bezlitosnem kole. Nad tem wszystkim trzeba się zadu-  
mać, wertując spokojne karty „romansu prowincjonalnego” Zofji Nałkowskiej.

Nowe życie niepodległej Polski stawiało pisarzy przed nowym światem za-  
gadnień. Już teraz literatura z wyżyn narodowego powołania politycznego  
schodzi w poziomy codziennej rzeczywistości — i zaorywa ogromne odłogi  
realnego życia. Z kamieniołomów pracy powszedniej, z roli, kopalń, z fal  
morskich, doli urzędnika, żołnierza, nauczyciela i robotnika — znosi się te-  
raz głązy na budowę nowych gmachów. Już nasz byt nie jest mitem wśród  
gwiazd, już nie marzymy o „państwie ponad państwa”, nie podtrzymujemy  
ducha w narodzie fatamorganą „Chrystusa narodów”, lecz, z Konradem  
z „Wyzwolenia”, — chcemy tego co jest wszędzie, co jest, tak, jak jest, tyl-  
ko... z usunięciem oszustwa narodowego“.



Pisarze chwytają pług, kilof, wprzęgają się w jarzmo prawdziwego życia— i odrabiają to, co było zaniedbane. W każdej dziedzinie jest ogromnie wiele do zrobienia. Jak Kaden-Bandrowski dał potężny obraz groźnej pracy w kopalni węgla, jak Strug rekapitułuje bohaterstwo prostego żołnierza, jak Ferdynand Goetel ogląda okiem współczesnego Polaka dziwy życia obcego— tak Nałkowska w ostatniej powieści rzuca nam przed oczy szary, tu i owdzie barwnymi nitkami przetkany kobierzec naszej prawdy dnia codziennego. Każdy się przejrzy w tem zwierciadle, każdy ujrzy siebie żywego w tem towarzystwie, rozpozna rysy dobrych znajomych, odgadnie ich los i dolę.

Twórczość Nałkowskiej cechuje głęboka obserwacja dusz i ten nieokreślony, trochę pobłażliwy, bardzo rozumiejący, smutny uśmiech, właściwy ludziom mądrym, a pozbawionym fanatyzmu. Na każdym słowie czuje się ciepły, życzliwy dotyk jej kobiecej ręki. Kwintesencją powieści, o której tu mowa, znajdziemy na pierwszych jej kartach, które trzeba po skończeniu lektury przeczytać raz jeszcze. Lecz mimo tego wstępu nie jest to powieść „z tezą“ i napewno nią być nie chce. Jest tak różnorodnym obrazem, że oglądając ją pod różnemi kątami, w rozmaitem oświetleniu, znajduje się w niej coraz to nowe strony, jak w rzeźbie. Będzie nas nawet bawiło rozkosznie naszkicowane, wzruszające ubóstwo młodych małżeństw dzisiejszych, kupujących meble na raty, przystrajających skromne mieszkanka małym kosztem a z wielką pomysłowością szczegółami, z których każdy nowo nabyty jest powodem do dużej radości. Widzimy plastycznie ową siedzibę magnacką Osienieckich, zniszczoną przez wojnę i zastarzałą tradycję, a odnawianą i modernizowaną przez bezwzględną przedsiębiorczość młodej gospodyni, cudzoziemki pani Fleur, która krytykuje wszystko i wszystkich. Wieje tu wogóle, poprzez cały smętek „regionalnej“ pospolitości, jakiś świeży zapach oziminy, czuje się te pędy nowego, budzącego się życia, chociaż to życie przejawia się często tak beznadziejnie płaske i prostacko.

Znakomity opis ślizgawki jest nieco symboliczny w stosunku do stylu całej książki. Nałkowska sama jakgdyby ślizga się powiewnie po gładkiem lustrze życia, które opisuje, z niewytłumaczoną lekkością robi „holendry“ i ledwo tykając ziemi, przemierza cały wielki teren wzdłuż i wszerz...

„Niedobrą miłość“ możnaby tak samo, jak zatytułowana jest inna książka Nałkowskiej, nazwać galerją „Charakterów“. Więc taka Mania Siesławska i jej miłość do Justyna — to już jest arcydzieło kreślenia charakteru. Wyrazisty, jakże prawdziwy typ ojca Agnieszki, starego Walewicza, który przystosowuje się do każdej sytuacji, do każdego układu politycznego i zawsze jest na wozie — i dochodzi do wniosku, że on właściwie wcale się nie zmienia, że to „tylko bezustannie zmienia się świat“. Inne, znane nam doskonale z życia profile — to generał Ninota i jego żona, która „umiała się odpowiednio ubrać, właściwie odezwać, we wskazanym czasie złożyć i odebrać wizytę — i o tych wszystkich tajemnicach pouczyła swego niedość doświadczo-

nego męża“ — a „gdy ktoś naiwny, według panującego u nas zwyczaju, podziwiał jakiś szczegół jej domu albo jej stroju, generałowa odpowiadała z wyrefinowanym uśmiechem: „widziałam ładniejsze i miałam ładniejsze“. Tak, że już w żaden sposób nie można było mieć wątpliwości, z kim ma się do czynienia“. Typów równie wspaniale uwiecznionych jest więcej: dyr. banku Niwolewski n. p., albo hrabina Osieniecka, reprezentantka ginącego świata, walcząca z nowym, który z energją wniosła jej synowa, nie licząca się z nikim Amerykanka. Ale ośrodkiem książki jest Agnieszka Blizborowa i rozpinający się nad jej życiem, grzebiący jej szczęście osobiste — łuk rozpalającej się miłości między jej mężem Pawłem a Renatą Słuczańską. Miłość ta bez miłośierdzia traktuje ją. W jednym słowie mówi się na to „egoizm Blizbora“, autorka nazywa to „niedobrą miłością“. Paweł pałał przedtem dziką, ponurą, pożądliwą miłością do swej żony — póki nie znalazł innego pożądanego. Tak się na to mówić zwykło — to jest określenie „normalne“. Ale czyż załamania życia można ujmować w słowa normalne, czyż można duszę ludzką wogóle bez reszty zamknąć w słowach? Można chyba, jeżeli się dysponuje słowami Nałkowskiej. Ta najszlachetniej kobieca wśród autorek polskich potrafi wiele powiedzieć między słowami.

„Los Agnieszki się odmienił — i już nie był do niej podobny. Dopiero po pewnym czasie ona sama stała się podobna do swego losu“. Agnieszka ma dziecko, którego oboje z mężem tak pragnęli. Ale teraz jest inaczej, niż marzyli: dla niej dziecko jest ostatnią deską ratunku w życiu, on stoi daleko i jest obcy. Przemiany w Agnieszce robią się głębsze, już ją zupełnie poorały. Aż wreszcie zdobywa się na wypowiedzenie tego, co jest wszystkim wiadome, a o czem nikt tak wspólnie otwarciem nie mówi: „Niema w tem niczyjej winy i nikogo nie potrzeba oszczędzać. Tak się staje. Kończy się jedna miłość i zaczyna się druga“. Te słowa brzmią prawie bohatersko. Blizbor wobec nich jest nędzny i mały. I jeszcze jest rozmowa nocna obojga opuszczonych. Słuczańskiego z Agnieszką. I tu dowiadujemy się, jak to jest z tą Renatą, jaką już raz niesamowitą rolę odegrała w życiu swego męża. „Zwykle myśleliśmy, że do spełniania pewnych ujemnych ról życiowych istnieje też pewna specjalna odmiana kobiet, które mają w sobie tajemnicę instynktu, genjusz kobiecości. Myśleliśmy o nich, że to one zawsze wnoszą z sobą niebezpieczeństwo do cudzej miłości, że groźne są dla rodzin, przychodzą zewnątrz, by wprowadzać dramaty. — Ale — pyta Nałkowska — czy te kobiety są inne, niż wszystkie? Czy może to jest każda — w pewnym układzie stosunków, w jakimś może zwrotnym czy kulminacyjnym punkcie swojego życia“?.. Takimi pytaniami kończy się książka. Kończy się pytaniami — i to jest znamienne. Autorka nie stawia tez, nie feruje wyroków, nie rozcina zagadnień, tylko określa ich rzeczywistość.

Gdybym miał w jednym słowie powiedzieć, co sądzę o tej powieści: powiedziałbym: „rozkoszna książka“. Rozkoszna, mimo że tyle w niej smutku i tyle wstrząsającej współczesności.

Witold Hulewicz



I.

Zmarły niedawno prof. Józef Kallenbach należał formalnie do t. zw. krakowskiej szkoły krytyków i historyków literatury. Uczeń Tarnowskiego, który z kolei był ze szkoły Klaczki i Siemińskiego, Kallenbach faktycznie walorami swego talentu i badań, raczej był zbliżony do ojca polskiej nauki literatury i krytyki, jakim jest w jej dziejach, u samego początku, Antoni Małecki, pierwszy monografista Słowackiego i polski wogóle.

Po Tarnowskim odziedziczył Kallenbach zamiłowanie do wzniosłości, dążność do polotu i reagującą uczuciowość, dalej, wrażliwość na zagadnienia społeczne i polityczno-narodowe, z Małeckim łączy go ścisłość i skrzętność badania, zmysł psychologiczny, odczucie idealnych i estetycznych pierwiastków literatury polskiej.

Głębszych i trwalszych cech pokrewieństwa z badaczami literatur zachodnio-europejskich, nasi badacze i historycy literatury do niedawna nie posiadali, a i dzisiaj w zbyt wielkiej mierze nie posiadają. Wprawdzie były czasy ulegania Taine'owi — ten okres znaczą imiona Chmielowskiego, Spasowicza, Chlebowskiego, by wymienić najwybitniejszych tylko; urok Brandesa był przemijający: złośliwe i niesprawiedliwe sądy koryfeusza krytyki europejskiej o literaturze polskiej zniechęciły do niego badaczy naszych; Zola i naturalizm krytyczny minął bez głębszych śladów.

Naprawdę bliższe węzły zawiązaliśmy z zachodem na gruncie badań ściśle historyczno-literackich, z grawitacją wyraźną ku dociekanom filologiczno-historycznym i biograficznym, inaczej mówiąc wyszliśmy ze szkoły niemieckiej w zakresie tego, co stanowi główną cechą pozytywną naszej historii literatury.

Dopiero czasy późniejsze, znaczone imionami Porębowicza, Kallenbacha, Chrzanowskiego, Windakiewicza i Matuszewskiego otworzyły wrota francuskim wpływom i francuskiej estetyce. (Nie mówiąc już o Tretiaku i Brücknerze, zajmującym tak wybitne, a odrębne i samodzielne, nie podpadające powyższemu podziałowi stanowiska w dziejach historii literatury i krytyki polskiej).

I w tej dziedzinie — badań literackich — wyłączny charakter naszej literatury, tak bardzo polityczny i patrijotyczny, wybił wyraźne swoje piętno, nadając odrębne, swoiste oblicze duchowe.

II.

Nauka historii literatury polskiej powstaje w czasach niewoli politycznej i tuż zaraz po wspaniałym rozkwicie romantyzmu. Te dwie okoliczności określają z góry jej charakter i odrębność. Z tych również względów nad roz-

lewnością i refleksją estetyczną Tarnowskiego, spiętrzeniem logicznym głębokich psychologiczno-estetycznych wywodów Spasowicza i pozytywistyczną solidnością badań Chmielowskiego góruje tendencja społeczna, probierz polityczny, reguluje te wywody wrażliwość patrijotyczna. Wszyscy trzej reprezentują odrębne programy polityczne i zależnie od nich zaprawiają wskazaniem politycznym swoje wywody literackie — ale u wszystkich głęboki sens polityczny i patrijotyczny tych wywodów wybija się ponad inne momenty badań — ściśle literackich (historycznych, estetycznych lub psychologicznych) na czoło, nadaje charakter społeczno-narodowy całej dziedzinie badań.

Co miał wspólnego z nimi i z tym charakterem badań historyczno-literackich Kallenbach? Czem się różnił?

Jako historyk i filolog obraca się na przestrzeni trzech wieków literatury polskiej — wiek XVI natomiast i XIX umiłował specjalnie — wielkim okresem piśmiennictwa naszego poświęcał swe badania: bada powstanie języka i twórcę jego Reja, bada dalej rozkwit tego języka w osobie Kochanowskiego i Skargi, temu drugiemu poświęcając piękną część swej pracy i talentu, wnikając w sumienie ówczesnej Polski Niepodległej, którem to sumieniem był niewątpliwie wielki kaznodzieja. Rej, Kochanowski i Skarga prowadzą Kallenbacha ku Mickiewiczowi, Słowackiemu i Krasińskiemu — ku rozkwitowi nowożytnej literatury polskiej, w rodzaju swoim tak charakterystycznej dla ukształtowania psychiki polskiej, tematem tak pokrewnej Skardze i wiekowi XVI.

Jako estetyk Kallenbach najwrażliwszy był na wzniosłość i patos, i dlatego z takim umiłowaniem oddał się badaniom twórczości Krasińskiego. Znamiona tej wrażliwości znajdujemy też i w stylu Kallenbacha i w sylwetce jego duchowej: jest w miarę w swych badaniach patetyczny i wzniosły w wysłowieniu, owiewa szlachetną atmosferą entuzjazmu pisarza badanego; postawę duchową Kallenbacha cechuje zdolność do zachwyty i umiejętność oddania uczuciowego nastroju.

Jako psycholog śledzi rozwój bogatej indywidualności i duchowości poety i człowieka. A że w Polsce najpełniejszym duchowo człowiekiem i najwznioślejszym poetą był Mickiewicz — Mickiewiczowi poświęcił Kallenbach cały swój trud uczonego i Polaka.

III.

Odrodzenie polityczne narodu po wielkiej wojnie światowej wywoływało potrzebę postawienia przed oczy młodym i nowym pokoleniom wzoru, godnego naśladowania. Wywoływało konieczność wskazania, skąd czerpać należy nieprzebrane zasoby nowej treści, zapładniających form, wiecznie żywych źródeł moralnego i etycznego doskonalenia się. Wzór i źródło nie były ukryte. Na wodza Młodej (w całym tego słowa znaczeniu) Polski był powołany ten, który do odrodzenia dążył czynnie przez całe życie — Mickiewicz.

Już w roku 1898, Kallenbach, pomimo istnienia monografii Chmielowskiego o wieszczu, odczuwał potrzebę „przedstawienia powolnej, lecz stałej ewo-



lucji duchowej Adama Mickiewicza w ciągu jego żywota". Autor sam krzepiąc się „nieśmiertelnym źródłem poezji Mickiewicza... tyle wyniósł z niej korzyści duchowej i tyle pociechy”, że zapragnął udzielić i uprzystępnąć naukę i życie wieszczą najszerszym warstwom. Pisał swą piękną monografię bezwątpienia „dla pokrzepienia serc” w okresie niewoli politycznej.

Że trafnie i wnikliwie przeczuł potrzebę stawienia przed oczy wizerunku duchowego poety, świadczy szybkie wyczerpanie pierwszego wydania monografii i jej ponowienie w okresie jeszcze bardziej pogłębionego kultu dla Mickiewicza, w okresie ugruntowania odrodzonej Rzeczypospolitej. I to drugie wydanie (a właściwie „rozbudowanie”) jeszcze prędzej wyczerpało się w obiegu księgarskim z przyczyn aż nadto zrozumiałych: i dla waloru wykładu i dla głodu powszechnego człowieka pełnego.

Jak głęboko, jak trafnie ujął Kallenbach wizerunek poety świadczy fakt, iż w drugim wydaniu musiał jedynie „rozbudować” wykład na podstawie nowych materiałów, gdyż, jak stwierdza to najwybitniejszy obok Kallenbacha i Bruchnalskiego znawca Mickiewicza prof. St. Pigoń, autor „pisząc swe pierwsze wydanie, wybiegł tak daleko naprzód przed swe rówieśne pokolenie, iż pogłębiający się z latami kult Mickiewicza nie zostawił dzieła na uboczu, ale natknął się na nie właśnie poraz drugi, jak na swój — zapewne: nie wyraz pełny, ale żywy współczynnik”. I dalej: „Monografia Kallenbacha... zajęła wysokie, jedno z naczelných stanowisk w literaturze mickiewiczowskiej. Posługując się filologiczną ścisłością i sumiennością, obejmowała całokształt twórczości poety i dzieła człowieka, przedstawiała je w barwnym słowie, ogrzewając je szczerem i gorącym przejęciem uczuciowym. Ten żywy, serdeczny stosunek autora do przedmiotu i wybitny talent pisarski sprawiły, że książka Kallenbacha stała się odrazu najpoczytniejszym dziełem o Mickiewiczu nie tylko w świecie uczonym i szkolnym, ale wśród szerokiej publiczności”...

W swych badaniach nad Mickiewiczem Kallenbach propagował poznanie poety „przez osobiste przejęcie się jego treścią”, przez ukochanie „swego Mickiewicza... z własnego przeżycia i wniknięcia bezpośredniego w piękności niewyczerpane, bo nie dające się wyczerpać”.

Przez trud nad Mickiewiczem Kallenbach zajął czołowe miejsce w dziejach krytyki literackiej w Polsce.

#### IV.

Jest jedna okoliczność specjalnie charakteryzująca Kallenbacha jako uczonego, okoliczność niezwykle cenna i znamienna w pracy badawczej i pomnażająca w sposób trwały chwałę uczonego. To odnajdywanie nowych materiałów i nowych danych dla charakterystyki twórcy lub jego dzieła.

Kallenbach, jak słusznie to stwierdza prof. Ign. Chrzanowski, miał „szczęśliwą rękę w odkrywaniu rzeczy nieznaných, a niezmiernie cennych” tak, iż ta „szczęśliwa ręka... mogłaby śmiało pójść w przysłowie”. Istotnie. Nikt chyba

nie prześcignął Kallenbacha w dorzuceniu pełną garścią nowych i nieznaných materiałów do biografii i twórczości Mickiewicza, Krasińskiego, Niemcewicza i wielu innych.

Nowość tego odkrycia lub znalezienia nie kończy się u Kallenbacha na samym odkryciu lub znalezieniu. Świetny filolog zastosuje znaleziony szczegół, lub źródło do całokształtu utworu lub biografii, zanalizuje tekst, zestawi z poprzednią redakcją (jeśli istnieje) i wyciągnie wszystkie wnioski, jakie w związku z nowym materiałem wysnuć się dadzą.

Naturalnie, że ta „szczęśliwa ręka” to już nietylko zasługa samego Kallenbacha, szperającego zbiory, archiwa i biblioteki, ale również i szczęśliwy traf, sprzyjającym losem zwany. Ale okoliczność owa charakteryzuje dobrze znakomitego badacza, jako filologa.

#### V.

Że dużo własnej zasługi Kallenbacha tkwiło w owej „szczęśliwej ręce” i dobrym losie uczonego, świadczą jego zasługi dokoła uporządkowania naszych wielkich archiwów i zmontowania aparatów pracy naukowej dla studujących naukowo.

Profesor kolejno wszystkich prawie uniwersytetów polskich, a uprzednio Fryburskiego, nie uchyla się Kallenbach od pracy organizacyjnej, której posiada zmysł wybitny, i od trudu stwarzania podstaw materialnych naukowego badania.

W okresie niewoli stwarza warsztat pracy we Fryburgu szwajcarskim, gdzie obcym i swoim na wolnej ziemi wyklada literaturę polską. Po powrocie do kraju obejmuje katedrę w Lwowie, następnie udaje się do Warszawy w roku powołania do nowego życia Uniwersytetu Warszawskiego dla zorganizowania studjum polonistyki, w roku 1919, z chwilą wskrzeszenia Wszechnicy Batorskiej, przybywa tu do Wilna, gdzie pełni funkcje dziekańskie, prowadzi wykłady, organizuje bibliotekę i seminarjum polonistyczne.

Dodać należy, iż Kallenbach był dyrektorem Muzeum Czartoryskich w Krakowie (równocześnie profesorem Wszechnicy Jagiellońskiej) i że uprzednio z wielkim powodzeniem uporządkował zbiory ordynacji Krasińskich w Warszawie. I ten trud inwentaryzatorski i organizacyjny stanowi część chwały Kallenbacha.

#### VI.

Dla zaokrąglenia krótkiej charakterystyki uczonego i nauczyciela kilka słów o poglądach teoretycznych i metodzie Kallenbacha.

Dzieje literatury narodu wysnuwa Kallenbach „z poezji jego życia i czynów”, szuka pełni wyrazu dla oblicza duchowego danego piśmiennictwa. Z dzieł i życia twórcy wyprowadza charakterystykę jego, samo dzieło bada wszechstronnie sposobem historyczno-filologicznym i estetyczno-psychologicznym.

„Sądziłem zawsze, że biografia jest niezbędna w organizmie książki, jak w ciele człowieka kośćiec, ale też tak jak on powinna być niewidoczna” —



mówi, mając na myśli monograficzne badania. Szły one po linii możliwej przedmiotowości, jak i wszystkie badania Kallenbacha, które wyróżniały się swego rodzaju „temperaturą moralną“ (nie dosłownie w sensie Taine'owskiej „*la temperature morale*“, uważanej przez Chmielowskiego za równoznaczną z idealistycznym pojęciem „ducha czasu“) owiewającą dzieło i twórcę, a tak uszlachetniająco udzielającą się czytelnikowi jego dzieł.

Skala odczucia i rozumienia twórców na przestrzeni kilku stuleci jest u Kallenbacha obszerna. Od początków literatury narodowej sięga do czasów współczesnych sobie, od Reja do Konopnickiej i najnowszej poezji przeorywa grunt skalpelem krytycznym, entuzjazmując się walorami istotnymi i umiejętnie ten entuzjazm przelewając w czytelników i słuchaczy.

Wydając już w Polsce niepodległej dzieło o Mickiewiczu, pisał: „Pracę moją poświęcam młodym, jako naturalnym spadkobiercom filomatów i filaretów, co przed stu laty w Wilnie rozpoczęli dzieło wiekopomne odrodzenia Narodu“. Niech mi wolno będzie określenie to uogólnić i stwierdzić, iż Kallenbach pracę całego swego życia poświęcił młodym, bo nie tylko jako uczoney wybił się na czoło historii literatury polskiej, ale w niemniejszej mierze zasłynął jako pedagog i nauczyciel.

Nie stworzył wprawdzie szkoły w zakresie badań literackich, jak Pilat we Lwowie, Chrzanowski w Krakowie, lub jak w zakresie historii nowożytnej Askenazy, jednakowoż wychował i wykształcił długi szereg wybitnych uczonych z młodszego pokolenia, a miarą tych uczonych jest Juljusz Kleiner. Bo Kallenbach jako kierownik seminarjum polonistycznego i nauczyciel — trzeba to stwierdzić — mało miał równych sobie. Dotyczy to umiejętności pokierowania młodym pracownikiem, dostosowaniem metody do jego pracy, i naprowadzenia drogą własnego, osobistego wysiłku do wyników pozytywnych w badanym zakresie literatury.

## VII.

Wreszcie słowo *pro domo nostra*.

Wilno Skargi, Mickiewicza i Filomatów zajmowało wybitne miejsce w działalności pisarskiej Kallenbacha. Nie tylko przez to, iż postaciom tym poświęcił *magnam partem* życia swego, ale też, i to przede wszystkim, przez osobiste zetknięcie się z Wilnem i poświęcenie mu pracy pedagogicznej i organizacyjnej na stanowisku profesora, dziekana wydziału, kierownika seminarjum i organizatora biblioteki seminaryjnej, wreszcie, i to najważniejsze, przez stworzenie atmosfery serdecznej współpracy, podniosłego obcowania mistrza z uczniami w momencie pełnego „triumfu Filomatów“.

Kallenbacha z Wilnem i Wilno z Kallenbachem łączyły węzły trwałej i głębokiej sympatii i przyjaźni.

I dlatego z głębokim smutkiem i żalem żegnamy tym wspomnieniem postać znakomitego Uczzonego, Pisarza i Nauczyciela.

Wiktor Piotrowicz

# V I L N I A N A

**Djarjusz Walnej Rady Warszawskiej z r. 1710 — wydał Ryszard Mienicki.** (Źródła i materiały historyczne. Wydawnictwo Wyd. III Tow. Prz. Nauk w Wilnie t. I). Wilno, 1928, nakł. T. P. N. w Wilnie, str. XV+416.

W przedmowie do swej pracy autor mówi: „Sądzimy, że djarjusz rzuci niemało światła na owoczesnych ludzi i obraz samej rady na tle owoczesnych stosunków i wypadków — przede wszystkim w zakresie zmagających się dwu prądów, reprezentowanych i wydobywających się z łona dwu konfederacji: warszawskiej i sandomierskiej, pod znakiem której właśnie odbyła się i rada z r. 1710 — „Sejmem Warszawskim“, „Sejmową Walną Radą“, „Walnym Zjazdem Warszawskim“ inaczej zwana, której uchwały zawarte są w „Vol. Leg.“.

Rzeczywiście: pomimo licznych wzmianek o tej radzie, pomimo nawet opisów przebiegu obrad wiele rzeczy dotychczas było niezupełnie jasnych, dokładnego obiazu niesposób było odtworzyć. Niezwykle sumienna i pod względem naukowym bez zarzutu wykonana praca p. Mienickiego stanie się pierwszorzędnym źródłem dla każdego badacza naszych dziejów w XVIII, gdyż podaje oryginalny, ściśle sprawdzony tekst djarjusza, uwzględniając wszystkie znane rękopisy. Skorowidz osób, miejscowości i rzeczy doskonale ułatwia orientowanie się w bogatym materiale.

*Juljusz Słowacki: Samuel Zborowski* (wydanie krytyczne). Opracował i wstępem zaopatrzył Stanisław Cywiński. (Wyd. Wyd. I Tow. Prz. Nauk w Wilnie). Wilno, 1928, nakł. T. P. N. w Wilnie, str. CCXXXVIII+216.

Książka rozpada się na dwie części: na studjum o Słowackim w okresie tworzenia „Zborowskiego“ oraz na tekst poematu z uwzględnieniem wszystkich odmian. Tak w jednej jak i w drugiej części p. Cywiński dał wiele nowego, wykazując wielką erudycję i pewność siebie. Gruntowne studjum wstępne zasługiwałoby na osobne wydanie celem szerszego rozpowszechnienia, gdyż książka jest względnie droga. Tekst „Zborowskiego“ odtworzył p. Cywiński jak najściślej podług rękopisów, nie poszedł jednak śladem dotychczasowych wydawców i w niektórych miejscach podał nowy układ fragmentów, kierując się myślą poety. Dzieło p. Cywińskiego jest jednym z najważniejszych, jakie wydało Wilno w ostatnich latach.

**Biblijografia Mickiewiczowska w polskim czasopiśmiennictwie wileńskim z II. 1918—1928. Zestawił Leon Sienkiewicz.** Wilno, 1929. Odbitka z Nr 7 „Alma Mater Vilnensis“, str. 26.

208 pozycij mickiewiczianów, wydobytych z 31 polskich pism wileńskich za dziesięcioletni okres stanowią treść tej niezmiernie pożytecznej broszurki.



Doskonały układ materiału dowodzi gruntownej znajomości przez autora — zasad pracy bibliograficznej. Ta zaś okoliczność pozwala nam zwrócić się do p. Sienkiewicza z prośbą o rozszerzenie granic pracy i o zestawienie bibliografii literackiej (ogólnej) czasopiśmiennictwa wileńskiego. Taka praca jest pod każdym względem potrzebna!

**Księga pamiątkowa państw. gimn. żeńskiego im. ks. A. J. Czartoryskiego w Wilnie 1922—1927.** Wilno, nakład własny gimn. m. Czartoryskiego. 1928, str. 172.

Estetycznie wydana, ozdobiona piękną okładką pomysłu prof. F. Ruszczyca, ukazała się księga pamiątkowa dobrze znanego w Wilnie gimn. im. A. Czartoryskiego. Sprawozdania z działalności gimnazjum w ciągu pięciu lat wykazują stopniowy, lecz zdecydowany rozwój szkoły, prowadzonej umiejętnie i troskliwie. Dział literacki oraz liczne ilustracje zarysowują życie młodzieży i jej wysiłki. Grono nauczycielskie reprezentuje... K. Leczycki, który przed paru laty był przygodnym pedagogiem. Przypuszczam, że autor „Państwka” i redaktor „Dzwonu” był nieco zaskoczony takim wyróżnieniem. Lecz czyżby naprawdę nie było więcej nauczycieli (-ek) ściślej zespolonych ze szkołą i pracujących społecznie, literacko lub naukowo? Czyżby szkoła składała się tylko z dyrekcji i nauczycieli?

*Walerjan Charkiewicz: Zmierzch Unji kościelnej na Litwie i Białorusi.* (Przyczynki do dziejów kultury polskiej na północno-wschodnich ziemiach Rzplitej). Nakładem grupy ziemian. Słomim, 1929, str. 157.

Nowa książka W. Charkiewicza zawiera dziewięć artykułów (częściowo przedtem drukowanych), zarysowujących obraz upadku Unji na naszych ziemiach. Ukazanie się książki jest bardzo na czasie, gdyż w bieżącym roku minęło 90 lat od chwili podstępnej likwidacji kościoła grecko-katolickiego. Obyśmy przed setną rocznicą doczekali się obszernej monografii na ten temat.

*Władysław Burczyk: Liryki.* Nakładem autora. Wilno, 1929, str. 72.

„Liryki” p. Burczyka niezawodnie sprawią serdeczną uciechę redakcjom pism, posiadających rubrykę „książek najgorszych”. Gdyby ogłosić konkurs grafomanów, mógłby autor wileński zdobyć nagrodę pierwszą. Mamy w ostatnich czasach istną powódź płodów grafomańskich, zwykle ozdobnie wydanych przez samych autorów, nie umiejących zrobić lepszego użytku ze zbywających pieniędzy; ale „poezje” p. Burczyka górują nad temi utworami, zdumiewają, oszałamiają, przygniatają każdego czytelnika. W „Lirykach” p. Burczyka wszystko jest naopak, wszystko jest stanowczym zaprzeczeniem podstawowych pojęć o poezji: język, forma, treść. Nie znajdziemy w nich ani poprawnego języka polskiego, ani rymów, ani rytmu, ani tembardziej — plastycznych obrazów i poetyckich metafor. Znajdziemy natomiast w przerażającej ilości wyrazy rosyjskie: „grudź” (str. 14, 24), „rokowy” (14—rokowej), „bycie” (16—bytije), „gordy” (21), „samy” (25—samyj), „kumiry” (26), „za-

stonała” (28), „żeł” (39), „borcy” (44) i t. d. i t. d... Są rusycyzmy, jak np. „jak jakaby królowa” (10), „byłob” (36) lub stałe nadużywanie zaimka „ja”. Najwięcej jednak pokaleczonych wyrazów polskich, zdradzających u autora nieznaną języka polskiego i form gramatycznych: „fal” (=fala, str. 31), „tafl” (=tafla — 43), „zdawn” (31), „pociemku” (44), „jeszczemjeden” (47—autor sam tłumaczy: ma być — jeszcze mi jeden!...), etc. Niesamowite są harce, wyprawiane z czasownikami w formie czasu przeszłego: „im wzniośl” (= „i wzniosłem” — str. 6), „znówm śnił” (= „znów śniłem” — 8), „iś spojrzal” (= „i spojrzaleś” — 48), „iś oddal” (65), „usłyszałm” 29), „ominałc” (42), „książkēm przeczytał (47) itd. itd. Próbkę języka? Proszę: „W tym roku miałem z tobą mieć spotkanie w Chartumie pod posągiem ja Gordona”... (30). „Mnie żagiel wzywa w dal, — ocean ta daleko?” (40).

Czasem odnosi się wrażenie, że mamy do czynienia z jakąś satyrą na mowę polską. Na str. 45 mamy „wiersz” p. t. „Kennst Du das Land”?... Czytamy tam:

„Znam kraj, gdzie brat swą siostrę odsprzedaje  
Kolegi chuciom na pożarcie; (!)  
Gdzie matka radzi z aptekarzem,  
Ze siwym, próchłym (!) lowelasem,  
By córkę — świeży kwiat mu dać  
Na ślub w dozgonne posiadanie  
Za cenę pewni (!) swej starości;  
Gdzie brat, za brata się ujmując,  
Całuje w usta jego narzeczoną,  
Na prób (!) jej serce wystawiając  
I wnioski snuje o wierności” etc...

Tym krajem, w którym jeszcze większe dzieją się bezceństwa i zbrodnie, jest Polska!...

Zamknijmy czempredzej tę wstrętą „książkę”.

*Wiktor Piotrowicz: Z zagadnień wyznaniowych w Polsce.* Biblioteka „Źródła Mocy” Nr. 2, Wilno, 1929 r.

Są to szkice publicystyczne, które omawiają kolejno zagadnienia, związane z poszczególnymi wyznaniem w Polsce: katolickim, prawosławnym, ewangelickim, staroobrzędowym, izraelskim, muzułmańskim i karaïmskim. Ponadto zawiera ta książka spis sekt istniejących w Polsce. Wśród zagadnień katolicyzmu omówiona została sprawa obrządku wschodnio-słowiańskiego.

Szkice te, dotyczące przeszłości i teraźniejszości naszych wyznań, omawiają zagadnienia organizacji ich i podstaw prawnych na szerokim tle historycznym.

*Stanisław Pigoń: Z dawnego Wilna,* szkice obyczajowe i literackie, Biblioteczka Wileńska Nr. 2, Wilno, 1929.

Prof. Pigoń zebrał w tej książce, drukowane między innymi i w „Źródłach



Mocy” szkice swe, związane ściśle z przeszłością Wilna i Uniwersytetu. Obra-  
cają się one dokoła rozkwitu naszego Uniwersytetu w w. XIX i osoby Mickie-  
wicza, któremu poświęcono 6 szkiców na ogólną ilość 15. Wnoszą one do  
naszej wiedzy o przeszłości Wilna sporo materiału ciekawego z dziedziny  
obyczajowej i historycznej.

Z *Güntherów Gabryela Puzynina: W Wilnie i dworach litewskich 1815—1843*. Nakł. J. Zawadzkiego, Wilno (b. r.).

Od czasu do czasu pojawia się w Wilnie pięknie wydana książka, przy-  
pominająca bogate tradycje wydawnicze Wilna w latach ubiegłych. Tym razem  
z estetycznym zewnętrznem, a ciekawym w treści Pamiętnikiem Puzyniny wy-  
stąpiła oficyna nakładowa, drukarska i księgarska Józefa Zawadzkiego.

Pamiętnik Puzyniny „przystosowali” do druku p. p. Henryk Mościcki i Adam  
Czartkowski. Dotyczy on — w przeciwieństwie do pamiętników świetnego sty-  
listy i gawędziarza Morawskiego — szczegółów kronikarsko-rodzinnych i są-  
siedzkich z okolic posiadłości ziemskiej rodziny autorki i podaje mnóstwo  
szczeółów i szczeółików obyczajowych ze wsi i z Wilna. Nie kreśli barwnych,  
rozlewnych charakterystyk, tła politycznego i literackiego w tej mierze  
i w tej skali, co doskonale pamiętniki genialnego w piórze Morawskiego, dają  
jednak ciepły, odczuty i wierny obrazek z naszej przeszłości, zamkniętej  
w bardzo ograniczonych ramach.

*Tadeusz Łopalewski. Rozmowa w drodze*. Opowiadania. Wilno, 1929.  
Nakładem i drukiem M. Lautoura. Str. 162.

Książka zawiera następujące opowiadania: Rozmowa w drodze. Śmierć  
skowronka. Ziemia. Potęga muzyki. Książdz Dominik. Choinka. Manwantara.  
Opowieść o skrzypku Panajezusowym. Ptasznik i zegarmistrz. Pod brzozą.

*Tadeusz Łopalewski. Rycerz z Lamanczy*. Poemat dramatyczny. Na-  
kładem Ludwika Chomińskiego. Wilno, 1929.

Jest to wydanie utworu granego jesienią 1928 r. w „Reducie”.

## K R O N I K A

**Paulsen w Wilnie.** Zanotować należy pobyt w Wilnie dyrektora glipto-  
teki kopenhaskiej, który wraz z żoną nie miał wyrazu na oddanie swego en-  
tuzjazmu oglądając Wilno stare, jego kościoły tak katolickie, jak protestanckie  
jego synagogi, jego meczet tatarski. Na Antokolu wśród rzeźb kościoła Św.  
Piotra i Pawła nasz gość czuł się w muzeum pierwszorzędnym, jak twierdzi,  
na świecie.

„Nie ma u nas pieniędzy, nie możemy wydać europejskiej książki o tych  
cudach, które powinny być znane na świecie. Może Pan nam dopomoże zna-  
leść jakiego wydawcę. Badacz tego kościoła ks. Śledziwski załamuje ręce,  
że wydać nie może plansz, fotografii i tekstu”.

„W Kopenhadze pomówię o tem z przyjaciółmi. U nas znowu jest wbród  
pieniędzy. Antokol jest nieznanym w Europie zabytkiem pierwszorzędnej sztuki  
i kultury”.

**Pinon, redaktor polityczny „Revue des deux mondes”** zwie-  
dzał Wilno, jak Gillet, jak Paulsen. Obchodzi go wszystko, zapalają zwłaszcza  
sprawy ideowe. Chce wiedzieć czem jest Wilno i wdzięczny jest bardzo War-  
szawie, która mu wciąż mówiła „jedź pan do Wilna”. Był zaskoczony, że jest  
takie miasto w Polsce. Nawet się nie spodziewał, że tak bardzo duchowe mia-  
sto leży tu na Wschodzie i tak świadome swego posłannictwa. Miasto religijne  
na wskroś i podniosłe, pełniące tu straż Europy, oto rozdział kultury mało  
jeszcze znany na Zachodzie. „Chrzeszt dawaliśmy kiedyś Litwie bez przelewu  
jednej kropli krwi. Inaczej niż Krzyżacy, którzy chrzcili krwią, mieczem, *cum  
gladio*. Bracia Franciszkanie *bavortorum* ewangelizowali pogan, wzorując się  
na serafickim ojcu z Asyżu. Stąd Wilno ma założoną w fundamentach swo-  
ich serafickość”. „Z tego kościoła (św. Kazimierza) pragnęła Polska XVII wieku  
zdobyć Rosję dla ducha rzymskiego. Św. Ignacy Lojola nie był jeszcze kano-  
nizowany wtedy. Wilno chciało pokazać światu, że twórca milicji Chrystuso-  
wej wart jest kanonizacji, skoro duch jego prowadzić może aż na Kreml i da-  
lej”. „Dziś przygotowuje się największe zadanie jutrzejszego dnia. Tragiczną  
Rosję przywrócić trzeba będzie z powrotem na drogę wiary i słońca. Młodzi  
księża przygotowują się u nas wszędzie do przyszłej misji i ewangelizacji jak  
ongis przygotowywano się w Krakowie, gdy Jadwiga wskrzeszała na powrót  
uniwersytet Kazimierzowski z myślą o poganach Litwy”.

Z rozmów na ten temat wy dobył francuski gość jasno sens naszego przy-  
wiązania do Wilna. „Rozumiem, mówił. Etnograficzni Litwini mniemają, że mia-  
sto jest ich własnością, skoro leży na dawnym plemiennym terenie. Nie rozumieją  
oni, że to miasto może być tylko w ręku polskiego narodu, który ma przed  
sobą historyczne posłannictwo, na drogach, które już były w przeszłości.

Polska kiedyś Litwę ratowała z pogaństwa, dziś z pogaństwa będzie musiała  
wyprowadzać Wschód za Dnieprem”.

**Pobyt Ludwika Gillet'a w Wilnie**, autora historii sztuki Francji  
w serji tak klasycznych tomów, jak te które wydaje Hannotaux oraz książki  
Sur les pas de S. François d'Assise. Znakomity francuski uczoney bawił w Wil-



nie i Trokach dwa dni, oprowadzany przez ks. Puciatę i prof. Limanowskiego. Uwaga francuskiego gościa stale skierowana była na barok wileński, tę wielką sztukę religijną w Europie, mogącą iść w zawody jedynie z Hiszpanią, gdzie podobnie jak u nas w XVII w. były wielkie walki na tle religijnym. Jeśli chodzi o porównania ściślejsze to Gillet widzi Wilno raczej podobne do uniwersyteckiej Salamanki, leżącej również w dole i nad rzeką, a nie do Toledo, które piętrzy się w górę jak piramida. Spoglądając na kościół Św. Kazimierza z ogrodu nad fortyfikacjami dawnej bakszty (w ogrodzie podrzutków miejskich) zwrócił Gillet całą uwagę swoją na architekturę tego kościoła, który oddala się od typu S. Gesu. Snać Jezuici mający misję na wschodzie umieli w pewnej mierze przystosować swój styl do greckiego, czyli do centralnego stylu, co rzuca się istotnie w oczy, zwłaszcza patrząc się z góry na monumentalnie rozwijającą się budowlę od strony chóru.

W pobliżu wieży Św.-Jańskiej podziwiał nasz gość to wyrastanie wieży z ziemi, bez wysiłku jakiegoś, biologiczne pięcie się w górę „zdrowo i z sensem”. Zaś oglądając ołtarz Św.-Jański, niebywałe rokoko wileńskie, nie mógł się wstrzymać od uwag nad polichromją i ekstatycznością linii konwergujących raczej w stronę hiszpańskich wzorów niż włoskich.

Oprócz kościołów i gmachów uniwersyteckich, zajęło naszego gościa mocno żydowskie ghetto

„Żydzi w XV w. wyobraźli sobie, że tak wyglądała świątynia Salomona. A przecież to był klasyczny styl renesansu.”. To mówiąc cieszył się Gillet, spoglądając na wystający drewniany front głównej bożnicy po nad biblioteką, istotnie klasyczny i do końca renesansowy, bogaty w szczegóły epoki, która była daleką jeszcze od baroku. Wewnątrz głównej bożnicy zainteresował się nasz badacz sztuki starymi porcelanowymi czy terakotowymi lwami chińskimi, które stoją wysoko ozdabiając świątynię. Oddrzwia szafy ołtarzowej są z klepanej miedzi i także pokazują chińską sztukę w formie klepanych smoczych motywów. Już to samo wskazuje na wielkie zainteresowanie, które zabytki żydowskie wileńskie mogą mieć dla historii sztuki europejskiej.

Gillet przebywał cały dzień w Trokach i brał udział w uroczystości rodzinnej związanej z chrztem Trocika, to jest auta zakupionego przez komitet trockich badań, który to chrzest połączono z przyjazdem p. wojewody Raczkiwicza do Trok, mającego ustalić miejsce dla wybudowania domu dla Ligi morskiej i rzecznej nad jeziorem Galwe. Ponieważ zjazd miał miejsce w dzień Wniebowzięcia, przeto nasz gość brał udział w pięknym nabożeństwie w trockiej starej farze, na którym to nabożeństwie był i p. wojewoda. Gillet był głęboko wzruszony religijnością naszego ludu. Sam należąc do katolickiej przodującej inteligencji we Francji, był świadkiem ogromnego przywiązania, który ma lud wileński do form katolickich. Po nabożeństwie i „chrzczeniu” Trocika i ekskursji łódkami do ruin na wyspie, oraz po zwiedzeniu kenesy karańskiej był nasz gość na śniadaniu zbiorowym, które zakończyło nasz zjazd i spory o miejsce dla Ligi.

Był nasz gość świadkiem niezwykle serdecznych stosunków panujących między wojewodą i władzą państwową, a całą inteligencją, skupiającą się w jednym zespołowym ruchu dokoła Trok i badania tych Trok. Wśród toastów pito zdrowie naszego gościa, który się znalazł przypadkiem tego dnia w Trokach, przyczem po ojcu, odpowiadającym po francusku, odpowiadała panna Gillet, córka naszego gościa po polsku, którym to językiem nauczyła się władać w paryskiej szkole dyplomatycznej. Po powrocie do Wilna, zwiedził Gillet muzeum etnograficzne U. S. B. i zachwycał się okazami zebranymi przez prof. Ehrenkreutzową, nade wszystko prymitywnym warszatem tkackim, koślawym, nie-

zgrabnym i rubasznie wyglądającym, ale na którym lepiej można tkać, niż na owych warsztatach, które są bardziej precyzyjnie zbudowane. „Ta maszyna prymitywna jest bliższa materiałowi surowego tkanin i dlatego pracowała bardziej zgodnie chyba, niż te nowe, skomplikowane, bardziej współczesne, ale tak oddalone i mniej z gruntu wyrosłe maszyny”. Sochy prymitywne, gdyby z epoki jeszcze neolitycznej, jakieś ule, o których trudnooby powiedzieć, że mają z miodem do czynienia, dzieje i najrozmaitsze dziwotwory po dziś dzień pokutujące na naszej Wileńszczyźnie, jakby to nie była epoka radja i aeroplanów, ale jeszcze wciąż epoka wymiennego handlu skórkami i solą, to wszystko tak potracające o Polinezję, o neolit, o zaczarowany świat z przeszłości, którego nie ma już, cieszyło naszego gościa. „Berlin, Volksmuzeumby wam tego zazdrościł”.

**Co się dzieje w Wilnie.** W Radjo wileńskim prof. Limanowski poruszał sprawy związane z Wilnem, jego duchową przeszłością i przyszłością, jego kulturą, sztuką i nauką. Po kolei poruszał: 1) sprawę wydania tekstu krytycznego Samuela Zborowskiego przez prof. Cywińskiego, głębokiego egzegety, jasno i odważnie po katolicku interpretującego arcydzieło Słowackiego; 2) sprawę naszych zbiorów przyrodniczych na Uniwersytecie, na którą się składają choćby takie wysiłki, jak pozyskanie dwóch kolumn baltów z wulkanów na Wołyniu, które zdobył prof. Radziszewski; 3) sprawę kościoła Franciszkańskiego, z którym związane jest najwznioślejsze i najbardziej duchowe Wilno stare, Wilno serafickie, Wilno braci Św. Franciszka. Przez Moskali postponowany kościół, zamieniony na archiwum, musi być wyswobodzony i oddany polskości zpowrotem jak przed wiekami; 4) sprawę badań trockich zespołowych, prowadzonych przez uniwersytet Batorego aby rozwiązać enigmaty fizjograficzne, historyczne i kulturalne naszej ziemi; 5) sprawę ochrony Altarij, która dzięki Radzie państwowej ochrony przyrody w Wilnie zatrzymała dewastację tej Altarij, grożącej przez wojsko i przygotowuje stworzenie z niej rezerwatu dla Wilna, „pluc dla miasta”; 6) sprawę oprowadzania cudzoziemców po Wilnie i klasyfikacji zabytków na takie, które posiadają ogólnoeuropejski interes, a nie tylko regionalne znaczenie; 7) sprawę muzeum etnograficznego U. S. B., w którym okazy prymitywnej kultury dzisiejszej są wielkiej wartości i mogą być mnożone na skutek uświadamiania należytego o co chodzi przy zbieraniu, które prof. Ehrenkreutz z takim powodzeniem rozpoczęła; 8) sprawę atmosfery Wilna dla twórców — gdy ze wszystkich stron takiego twórcę wspomagają przyroda, słońce, duchowość unosząca się z wielkiej przeszłości i wielkiego Przeznaczenia nad miastem; przykładem genialny aktor Jaracz, który postać adwokata w serafickiej sztuce Szaniawskiego na religijnych, głębokich momentach oparł; 9) sprawę Trok, małego miasteczka wymierającego, konającego na granicy litewskiej, którym się musi Wilno zająć i uczynić z niego swoje ożywione i ruchliwe letnie przedmieście; 10) sprawę ogólnego znaczenia Wilna w ciągu ostatnich 10 lat, w których ekonomicznie bardzo zubożało zepchnięte tragicznie na miasto pozbawione światowej cyrkulacji w ślepy kurtytarzu) ale immanentnie coraz bardziej uświadamia swoje znaczenie w zespolonej konstrukcji pięciu pierwszych wielkich miast czy stolic w Polsce.

**Badania trockie.** Komisja badań trockich dzięki p. Stanisławowi Michalskiemu, Dyrektorowi Funduszu Kultury Narodowej, zyskała znaczną sumę na zakup auta, łódki motorowej i przyrządów dla stacji meteorologicznej



w Trokach. Wielkie obszary polskiej Litwy, pozbawione komunikacji, nie mogą być zbadane należycie (jeśli chodzi o wielkie i naczelnne rysy krajobrazu). Sprawnie przenosić może z miejsca na miejsce tylko auto, które w dzisiejszych czasach staje się środkiem niezbędnym dla nauki. Zrozumienie konieczności badań, intensywnie prowadzonych, na terenie dotychczas niemal dziewiczym, jeśli chodzi o geologię, morfologię i topologię; udzielenie tym badaniom zasiłku w dzisiejszych stosunkowo ciężkich czasach, świadczy chlubnie o orjentowaniu się Warszawy w całokształcie naszych konieczności naukowych. Stacja meteorologiczna trocka wraz z wileńską są w pierwszym rzędzie powołane do rzucenia światła na tak zwane fronty, które szczególnie tu na granicy atlantyckiego i kontynentalnego świata w swojej rytmice osiągają rozwój niezwykły. Łódź motorowa pozwoli nietylko rozszerzyć badania na jeziora Międzyrzeczkie, ale i podjąć badania na Wilji w klasycznym i niezrównanym przełomie, który jest niżej ujścia Waki. Z przełomem Wilji związany jest Kiernów (niestety po drugiej stronie granicy litewskiej, czyli stolica Litwy jeszcze z czasów przed Trokami).

**Na Pomorzu, w Toruniu** odbył się w marcu kurs przygotowawczy dla nauczycieli geografów, na którym prof. Limanowski, zaproszony z Wilna, dał zarys topologii, związanej z Powiślem dolnym i korytarzem gdańskim.

**Kongres z powodu 25-letniego jubileuszu instytutu geologicznego państwowego duńskiego w Kopenhadze.** Na zjeździe i wycieczkach związanych z tym Kongresem (czerwiec—lipiec 1928 r.) brali udział z Wilna prof. Rydzewski i Limanowski. Ostatni imieniem Polskiego Towarzystwa Geologicznego stawiał wniosek stworzenia międzynarodowej asocjacji dla badań nad europejskim dyluwium. Wniosek polski przyjęty przez aklamację inicjuje w ten sposób powstawanie dyluwjalnej asocjacji, którą rozpocznie Anglija w r. 1931. Prof. Limanowskiemu sekundowali z Krakowa prof. Nowak, zasłużony wielce organizacyjnie Prezes Towarzystwa geologicznego. Delegacja polska składała się ponadto jeszcze z prof. Lewińskiego (Warszawa) i Pawłowskiego (Poznań). Wycieczki na Bornholm, na wyspę Möhn i Fionię, na półwysep jutlandzki pozwoliły zawiązać między polskimi badaczami a duńskimi ścisły kontakt.

**Wyszkolenie przewodników po Wilnie.** Dla osób pragnących oprowadzać gości po Wilnie odbył się kurs przygotowawczy, (zorganizowany przez Touring Club i Konserw. Lorentza) w którym wykładali prof. Kłos, Ruszczyk, Limanowski, Rydzewski, Studnicki, Śledziwski. Kurs odbył się w kwietniu, zapisanych było 23 osób.

**Na IV ogólnopolskim Zjeździe Nauczycieli geografji,** w Poznaniu, w dzień Zielonych Świątek wygłosił prof. Limanowski referat o zawodzie nauczycieli geografji w Polsce, akcentując apostołstwo tego zawodu, który ma za zadanie serce otworzyć młodzieży na tajemnice i piękno ziemi polskiej.

**Akademja na cześć Piusa XI** odbyła się uroczystie w gmachu Teatru Reduty, z udziałem arcyb. Jałbrzykowskiego i wojewody Raczkiewicza, prezesa p. Kopcia i chórow. Prof. Limanowski potrafił o świetlaną postać dzisiejszego papieża, będącego duchowym bratem wielkiego kardynała Merciera. „Głębokie myślenie i odwaga cechują Ojca Św., jego pasja dla nauki i sztuki czyni z niego coś arcydrogiego dla kultury; jego zaś iluminacje i świętości prowadzą najwyższą Europę z powrotem do spokoju i słońca”.

**„Chrzest Trocika”.** Auto komitetu badań Trockich, Fiat, 6 cylindrowy był „chrzczony” w obrębie ruiny Kiejstutowego zamku. „Jego Królewska Mość Kazimierz Jagiellończyk przyjmował był tu w Trokach poselstwo z Kaffy na Krymie, i z tem poselstwem protektorat nad wielką i ważną emporją handlową nad Morzem Czarnem. Z Azji płynęły bogactwa do Trok, ze złotem, jedwab, z bakaljami, ryby zamorskie i owoce nieznanne. Jakże możemy pić zdrowie naszego Trocika jak nie winem prawdziwym i ognistym. Skoro Krymskie wina zamknięte, wybraliśmy Marsalę. Rzucamy, kochany auto, na twoje cylindry kilka kropel czarującego słońcowego eliksiru, abyś był tak ognisty jak to wino”. W tej małej rodzinnej uroczystości, przydowali łaskawie rodzice chrzestni p. wojewoda i prof. Ehrenkreutzowa.

**Ruiny zamku na wyspie w Trokach.** Roboty nad ratowaniem wiktoldowego zamku, później zamku Kazimierza Jagiellończyka i wszystkich królów polskich odbywać się będą w lecie b. r. na koszt oddziału wojewódzkiego sztuki, czyli konserwatora Lorentza. Robotami kierować będzie architekt Jan Borowski z Braśławskiego, na którego inwencjach i pomysłach tyle będzie spoczywało. Wierzmy, że kończą się czasy dalszej ruinacji zamku, nad którą pracują klimat nasz, a przede wszystkim inercja ogółu i niestety na cegłę łapczywe ręce naszych kmiotków. Przedewszystkiem zostaną wznowione fundamenty i czasowo zabezpieczone wszystkie otwory przez podstępowanie, zanim się nie znajdą większe fundusze dla konserwacji tego jedyne w swoim rodzaju zabytku w Polsce, o którym pisał w r. 1464 Gilbert de Lannoy, że jest w manierze francuskiej zbudowany, (to jest w gotyku francuskim) i strzał armatni oddalony od zamku na lądzie. Malownicza ruina na wszystkich zwiedzających czyni wielkie wrażenie i czas jest ostatni, aby w Polsce zatrzymano dewastację, jedną z najbardziej karygodnych, na skutek braku pieniędzy.

**Kościół Wszystkich Świętych w Wilnie** przy ulicy Rudnickiej, dawnej bramie, przez którą wjeżdżali królowie polscy, jadący od strony Krakowa i Lublina. Stiuki wewnątrz kościoła pochodzą z XVIII wieku, robota nad ich konserwacją jest w pełnym toku. Żaden kościół wileński nie ma wnętrza słodsze go niż z r. 1655, na skutek moskiewskiej i kozackiej hordy, która nie przepuszczała kościołom, rozniecając wszędzie pożary. P. Tołoczko przeprowadza roboty pod kontrolą prof. Bażukiewicza z U. S. B. i konserwatora Lorentza, który jest pełen energii w znajdowaniu funduszy na konserwację zabytków.

**Zbadanie fundamentów kościoła Św. Anny.** Kościół ceglany Św. Anny z początku XVI wieku, gotyku ognistego w Wilnie i oddrzwii na Wawelu w Krakowie, trwał spokojniutko dopóki nie zaczęły powstawać alarmy, że się wali. Pisano, że fundowany na palach, osiada dzięki obniżeniu generalnemu wód gruntowych. Specjalna komisja powołana do zbadania fundamen-



tów tego kościoła, po odsłonięciu w trzech miejscach, stwierdziła, że już w poprzedniej restauracji, przed 25 laty, podmurowano betonem cały fundament i że wobec tego alarmy są niepotrzebne. Możemy być spokojni—kościół stać będzie bezpiecznie, jak już stoi od owych czasów Aleksandra czy Zygmunta Starego, kiedy był budowany.

**Kościół franciszkański z czasów pierwszego biskupa Andrzeja.** Wciąż jeszcze mieści się w nim archiwum. Nie jest dobrze, że magistrat wileński (tyle ma zasług pod prezydenturą panów Folejewskiego i Czyża.) ryje wszędzie dokoła klasztoru i starego kościoła. Otoczenie kościoła musi być zharmonizowane z główną świątynią, a nie dorywczo przerabiane. Bez uzgodnienia historyków sztuki i miasta nie uzyskamy tego, co pragniemy uzyskać, to jest miejsca w Wilnie, które musi być najbardziej sakralne, jak było ono niem od czasów ewangelizacji Litwy idącej z Krakowa. Jeszcze w r. 1863 młodzież skupiała się manifestacyjnie na skwerze przed kościołem zaznaczając, że tu było serce najwyższego i najbardziej ludzkiego Wilna, zawsze wojującego o słońce i wolność. Drzew nie należy bezkarnie wycinać na placyku przed kościołem, gdyż drzewa te więcej są związane z serafickim patronem kościoła, niż wielu ludzi obojętnych lub oschłych mniema. Przeciwnie trzeba sobie zadać trud i pomyśleć, jaki jest związek drzew z duszami świętych ludzi i ukochaniem przez nich przyrody. Kościół, w którym Wilno nauczyło się słuchać po raz pierwszy Stabet Mater franciszkanina Iacopone de Todi oraz sekwencje i homedie, o których nasi ojcowie wiedzieli, że są w ścisłym związku z Minorytami, tyle spełnił dla kultury, sztuki plastycznej, muzyki, duchowości i strzelistości Wilna, że ma prawo domagać się od wszystkich mieszkańców czci pewnej, która jest zawsze daleką od dewastacji, nawet czynionej w najlepszej wierze.

**Góra Zamkowa.** Przy pomocy 3 pułku saperów, który obiecał pomoc wojewódzkiemu Oddziałowi sztuki, będą przeprowadzone na jesieni r. b. badania u podnóża Góry Zamkowej. Czekamy na te badania z niecierpliwością. Nie jest także ustalone o ile czubek góry jest starym grodziskiem z czasów przedgedyminowych. Zwracamy uwagę na zbocze, na którym mieścił się kiedyś pałac Moniwida i który zwałił się, zagrzebując skarby wielkich książąt (wspomina o tem także Homolicki). Poza tem zwracamy uwagę, że powinny się odnaleźć jakie wskazówki, któreby potwierdzały starą tradycję Wilna, że Górę Zamkową od strony Trzykrzyskiej przekopano za Gedymina, puszczając Wilenkę w kierunku jak dziś płynie, równocześnie jednak zostawiając stare koryto w formie fosy, otaczającej dalej gród zamkowy i kościół książęcy, dzisiejszą katedrę.

**Trynitarzski kościół.** W ogrodach Sapiehy, gdzie są kliniki uniwersyteckie, piękny kościół Trynitarzski został oszpecony przez Rosjan w r. 1864, którzy nie mogli się byli powstrzymać od nasadzenia hełmów w formie cebul. Projektowane są nowe hełmy bardziej zgodne z architekturą i dawnym stanem kościoła. Odnowienie jest w związku z uroczystościami 350 jubileuszu Uniwersytetu wileńskiego, który odbędzie się w jesieni r. b. Trynitarze oddali tyle zasług ludzkości, ratowaniem jeńców wojennych, że zasłużyli sobie na wdzięczność wszystkich Polaków, którzy nie są głusi na wielkie akty serca. Kościół przerobiony na cerkiew, zawsze obrażał uczucia Wilnian, dla-

tego też prof. J. Kłos (projektodawca hełmów) zyska sobie wdzięczność miasta, skoro z energią zapagnie ze swojej strony przyczynić się do uświetnienia wielkiego jubileuszu uniwersytetu, w którym pracuje. Będzie to piękne homagium ze strony człowieka, który tyle dał Wilnu, gdy chodzi o poczucie architektury.

**Inwentaryzację naukową zabytków** Wileńszczyzny rozpoczęto r. b. pod kierunkiem konserwatora Lorentza. Inwentaryzacja zaczyna się od powiatu brasławskiego i jest początkiem wielkiego planu, który obejmuje całe Państwo stosownie do programu opracowanego przez generalnego konserwatora w Warszawie J. Remera. Nie możemy nie zakcentować w tem miejscu, jak bardzo p. Remer przywiązał się do Wilna i jak dziś jest pełen nadal troski o to miasto, zajmując odpowiedzialne stanowisko w samej stolicy. Na wystawie w Poznaniu przegląd zabytków w formie fotografii na korytarzach gmachu rządowego jest imponujący. Wśród wszystkich budowli, które mi może poszczycić się może Polska nie ustępuje barok, który jest bliżej Dźwiny i Dżisny, czyli na drodze, po której emanowała kultura polska na Ziemię Wielkiego Nowogrodu, Pskowa, Tweru i Moskwy. Mało wiemy o olbrzymiej tej ekspansji, która w XVII w. była powodem, że na Kremlu samym rozmawiano po polsku, to i owo szczepiąc na pniu moskiewskim, co było rodem z nad Wisły i bardzo sarmackie. Kto był kiedykolwiek w Głębokiem i widział karmelitańskie budowle strzeliste, fundowane przez Korsaka, nie mógł wyjść z zdziwu. Berezwech o mile od Głębokiego to perła architektury bazylikańskiej, którą się pochłubić może nasza Unia. Ktokolwiek widział kiedy architekturę polską w Połocku, Mohylewie, Mścisławie, Smoleńsku, ten zadawał sobie pytanie, skąd Wilno brało swoich wielkich architektów? Nie mamy dotąd historii polskiej sztuki, ale na pewne jednym z najbardziej fascynujących rozdziałów będzie obok romańszczyzny Dunina, obok gotyku ostatniego Piasta, ten barok wileński, przed którym nie było żadnej zapory, a który dyfundował do najdalszych zakątków, nie zatrzymując się w pochodzie swoim ani nad Dźwiną, ani nad Dnieprem, skoro go dziś mamy na dorzeczu Soży i na drogach za Kasplą i Kobzą.

**Wieczory dyskusyjne profesorów U. S. B.** Dzięki energii prof. Ehrenkretza życie na Uniwersytecie wileńskim szuka form duchowego zbliżenia na tle spraw nie tylko naukowych, ale artystycznych i społecznych. Dwa wieczory czwartkowe były z kolei poświęcone: jeden dyskusjom w sprawie teatru wileńskiego, drugi sprawie wystawie poznańskiej i uroczystości Mickiewicza w Przyżu.

**Badania Poleskie.** Na zjeździe Państwowej Rady Ochrony Przyrody w Warszawie, jako delegat wileński składałem sprawozdanie z czynności komisji na naszych ziemiach wschodnich i między innymi dotknąłem sprawy puszczy Rudnickiej. „Puszcza ta w centralnych swych partiach bynajmniej nie wygląda jak pierwotna, zdrowa puszcza, kiedy się przez nią przejeżdża z Rudnik do Ejszyszek wtedy obserwować można fatalny stan drzewostanu. Las wygląda jakby po chorobie czy pożarze, sosny są rachityczne, zeschnię. Można się spytać czy przypadkiem (jedna z hipotez) opadnięcia wód podskórnych na skutek tych wszystkich robót, które są związane z pogłębieniem Nie-



mna i Mereczanki, nie są powodem takich zmian chemicznych, odbywających się pod lasem. Mam tu na myśli orsztyznicację, dzięki której zanikać może puszcza”.

Prof. Nowak z Krakowa, biorąc asumpt z takich spostrzeżeń nad puszcza Rudnicką, która jest małym naszym Polesiem wileńskim, zainicjował dyskusję nad wielkim Polesiem w związku z odwodnieniem, które projektuje rząd. „Na Polesiu Rada Ochrony Przyrody, będzie musiała wybrać miejsce charakterystyczne dla tego Polesia, aby z niego utworzyć rezerwat. Pokolenia przyszłe oglądając bowiem powinny, czem było kiedyś Polesie, zanim nastąpiła meljoracja. Ale kto nas pouczy, który kawałek wybrać, skoro kawałek, który dziś wybierzemy przed meljoracją, będzie musiał ulec tym wszystkim zmianom, którym całe Polesie ulegnie. Jak znaleźć taki kawałek, jak z niego utworzyć rezerwat? Dlatego proponuję zorganizowanie ogólnych badań na Polesiu, stworzenie podstawowej monografii zbiorowej tej arcyciekawej ziemi, abyśmy na zasadzie badań wiedzieli, co wybrać i jak uchronić przed zniszczeniem. Proponuję zaś badania naukowe tem więcej, że wobec wielkiej zmiany, która nastąpi na Polesiu i nie może nie nastąpić, skoro meljoracja ma być przeprowadzona, wskazanem jest, aby Polesie zostało naukowo opracowane i nie przypadło nagle bez zostawienia po sobie dokładnych opisów, materiałów”. Troška o Polesie wywołała w ten sposób dyskusję przyrodników na Zjeździe Rady Ochrony Przyrody, którą to dyskusję odnowiono i powtórzono potem w pełniejszy, zorganizowany sposób w Krakowie. Dyskusja warszawska wywołała niepotrzebnie kwasy, na skutek formy skażonej, w której przedarła się do prasy. Przewodniczący prof. Władysław Szafer, który stoi na straży Ochrony Przyrody w Polsce, w liście otwartym musiał nawet bronić artykułów Rady.

W Wilnie stoimy na platformie, że ostrzeżenia nie koniecznie muszą być traktowane jako powód do animozji. Regulacja wód na Polesiu jest sprawą olbrzymiej doniosłości dla Rzeczypospolitej i z tego punktu widzenia mogą i powinni w tej sprawie zabierać głos ci, którzy mają coś do powiedzenia. Dotyczy to zatem i Rady Ochrony Przyrody, która musi wybrać rezerwat i musi wszcząć dyskusję, gdzie wybrać i jak wybrać.

Obserwacje, uczynione w puszczy Rudnickiej, muszą być brane pod uwagę, pokazują bowiem (jak świetnie interpretował Nowak) czem jest w kompleksie zharmonizowanych i ustabilizowanych spraw natury interwencja nagła. Przyroda tworzy tak długo równowagę (z nawzajem nawet skrajnych sprzeczności) dopóki coś lub ktoś nie naruszy jednej z zasadniczych podstaw tej równowagi. Takim elementem bezsprzecznie musi być poziom wód gruntowych, który *raptownie obniżony* (bo to jest sens owych regulacji przez człowieka) doprowadzić musi między innymi do katastrofalnego załamania się puszczy. Widmy piaszczyste powstałe po epoce lodowcowej wzdłuż Mereczanki i jej dopływów, zostały pokryte lasem w epoce atlantyckiej, wilgotnej i deszczowej. *Specjalny klimat, wilgoć ówczesna, stan wód podskórnych, wszystko to pozwoliło pewnemu naturalnemu zespołowi roślin opanować piaski ruchome i na nich utworzyć las.* Flora od tego czasu trwa i pokrywa wydmy w puszczy Rudnickiej, jak i na Polesiu, gdzie las jest również z tego czasu.

Flora opanowała wydmy i trwa na nich, przystosowując się do powolnych zmian, którym i dziś dalej ulega klimat. Jednakowoż wszystkie te zmiany razem ze sobą sprzężonych czynników pozwalają wciąż nadążać florze i znajdować pełną równowagę. Meljoracja jest raptowną zmianą i nie może ona nie odebrać florze wszystkich możliwości powolnej adaptacji, które ratowały przedewszystkiem powolny czas, którym natura dysponuje w swoich ewolucjach. Zakłócanie równowagi w przyrodzie czyli gwałtowne niszczenie puszczy i kraj-

jobrazu polskiego może nastąpić piorunowo i wywołać nieobliczalne szkody. O tem właśnie w gronie przyrodników fachowych mówiono w Warszawie i Krakowie i nie wolno było niemówić, a Ministerstwo Robót Publicznych powinno być wdzięczne, że ostrzeżenie padło. *Nie wolno naruszać równowagi Polesia, zanim nie zbadamy w sposób naukowy problemu*, który po za wszelkimi badaniami na Polesiu w związku z meljoracją, musi być postawiony, to jest *jaka jest geneza Polesia?* Konieczność badań na Polesiu (nie tylko jakichś komisyj geologicznych, biologicznych, torfowych i t. d., które są pomocą dla robót odwodnienia) ale badań samych dla siebie, *bezinteresownych* i, które są niezależne od wszelkich praktycznych postulatów, są absolutnie konieczne, jak to w śmiały i obywatelski sposób poruszył prof. Nowak. Kierował się doświadczony nasz uczony zupełnie instynktowem i prawidłowem poczuciem, że wszelkie plany odwodnienia na taką skalę, jak na Polesiu (skala dotąd bez precedensu na świecie) będą mogły być obmyślane i projektowane nie na zasadzie cząstkowego badania, jak organizuje Dyrekcja meljoracji Polesia w Brześciu, ale po zbadaniu wszystkiego, w sposób całkowity, co wymaga ogromnych wysiłków na szeroką skalę. Badania takie zorganizować może tylko najwyższa instancja naukowa w Polsce, to jest Akademia Umiejętności w Krakowie, która kierować potrafi pracami naukowymi mającemi wszechświatowe znaczenie!

Mieczysław Limanowski

**Badanie** geologiczne Polesia przez profesorów U. S. B. We wrześniu zdejmowano mapę geologiczną ziemi prużańskiej (za Jasiołką), ongiś stanowiącej część składową W. Ks. Litewskiego.

Badania te, prowadzone pod kierunkiem prof. Limanowskiego i Rydzewskiego, czynione były z ramienia Urzędu Meljoracji Polesia w Brześciu Litewskim. „Troćki”, auto przeznaczone dla badań geolog.-geograficznych, okazał się doskonałym instrumentem pomocniczym.

**Sprawa teatrów wileńskich.** Teatr Miejski na Pohulance, który od 1925 roku prowadzony był przez zespół Reduty, został latem roku bieżącego, wobec rezygnacji Reduty, wydzierzawiony przez magistrat m. Wilna Związkowi Artystów Scen Polskich, który wyznaczył na kierownika utalentowanego artystę p. Aleksandra Zelwerowicza. W związku z tem z dniem 1-IX b. r. nastąpiła fuzja teatru, prowadzonego przez Dyr. Rychłowskiego w Lutni z Teatrem Miejskim, prowadzonym przez Dyr. Zelwerowicza, reprezentanta Z.A.S.P.-u, na Pohulance.

Od tej daty zaczęły pracować dla Wilna pod wspólnym kierownictwem p. p. Rychłowskiego i Zelwerowicza dwa teatry miejskie: Teatr Wielki na Pohulance o poważniejszym repertuarze i Teatr Miejski w Lutni o repertuarze raczej komediowym.

Cały prawie zespół teatru „Lutnia” pozostaje w Wilnie.

Sezon rozpoczął: 1) w Teatrze Wielkim na Pohulance „Dziady” Adama Mickiewicza, w opracowaniu scenicznym St. Wyspiańskiego, w piątek dn. 20 b. m., przyczem czysty dochód z tego widowiska Dyrekcja przeznaczyła na fundusz budowy pomnika Adama Mickiewicza w Wilnie; 2) w Teatrze Miejskim w Lutni już od dawna nie grana znakomita komedia Al. Fredry „Wielki człowiek do małych interesów”. Obie sztuki wystawił i w obydwu grał Dyr. Al. Zelwerowicz.



Reduta pozostaje w Wilnie nadal jako teatr objazdowy oraz uruchamia Instytut Sztuki Teatru, posiadający już chlubne tradycje z okresu pobytu Reduty w Warszawie.

**Nowa siedziba Związku Literatów.** Literaci wileńscy uzyskali obecnie nowy lokal dla swych zebrań. Jest to część gmachu w klasztorze pobazylijskim w Wilnie, upamiętniona więzieniem Filomatów. W części tej znajduje się również t. zw. „Cela Konrada”, nad którą rozciągnięto opiekę Związek Literatów, urządzając tam małe muzeum pamiątek po Mickiewiczu. Uroczyste otwarcie nowej siedziby Związku, którą literaci zawdzięczają życzliwemu stanowisku władz wojewódzkich, a zwłaszcza Dyrekcji Robót Publicznych, odbędzie się w dniu 9 października r. b.

**Uniwersytet regionalny** Zw. Naucz. Szkół Powszechnych. Odbyla się wycieczka w lipcu Uniw. regionalnego po ziemi Nowogródzkiej i Brastawskiej. Sprawozdanie odkładamy do następnego numeru.

**Goście zagraniczni w Wilnie.** W ostatnich miesiącach Wilno zwiedziło cały szereg wycieczek zagranicznych, przeważnie dziennikarzy i posłów do parlamentu.

Kolejno gościło Wilno: dziennikarzy z południowych Niemiec, z Jugosławii, Rumunii, Estonii. W międzyczasie też szereg wybitnych osobistości z zagranicy zwiedziło Wilno.

Najokazalszą i najdonioślejszą wycieczką, jaką podejmowano w Wilnie, byli parlamentarzyści francuscy.

**Następny zeszyt „Źródeł Mocy”** poświęcony będzie w całości Uniwersytetowi Wileńskiemu w związku z 350 leciem jego założenia i 10 leciem wskrzeszenia. Do zeszytu tego wejdzie również sprawozdanie z przebiegu uroczystości jubileuszowych.

**Zeszyt niniejszy (5) „Źródeł Mocy”** redagował z upoważnienia Komitetu Redakcyjno-Wydawniczego członek tegoż Komitetu Wiktor Piotrowicz

## KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCJI

*M. Czerkawska. Zielony cień.* Kraków. Krakowska Spółka Wydawnicza, str. 61.

Poeta, który za treść całego tomiku utworów obiera sobie jedno źródło tematów, naraża się na wielkie ryzyko, czy wybrnie szczęśliwie, ze względów zwłaszcza artystycznych.

Poezje Czerkawskiej, w których zakres tematów jest właściwie ograniczony, uniknęły niebezpieczeństwa wpadnięcia w monotonię czy szablon, co świadczy o nieprzeciętnym uzdolnieniu autorki.

Treścią zbioru p. t. „Zielony cień” jest opis lasu i poszczególnych drzew. Las, jako cząstka potężnej i wszechładnej przyrody odbija w sobie, jak w pomniejszonym zwierciadle, całą potęgę i tajemnicę jej istnienia. Tę tajemniczość podkraśla autorka we wstępnym wierszu — „Żywoty drzew”. To też poetka podchodzi do tego zagadnienia od strony uczuciowej; interpretuje życie drzew, jako analogię uczuć i przeżyć ludzkich. Każde drzewo rośnie, rodzi, cierpi, dąży do czegoś i nareszcie ginie. W opisywaniu poszczególnych drzew umie autorka opracować samodzielnie użyte już motywy, jak np. krzywa wierzba, grusza staruszka, jabłonka, a także i tworzyć oryginalne. Trochę za często wplatany jest motyw ścinania drzew. Oprócz momentów uczuciowych, wprowadza poetka też i fantastyczne. Jeżeli chodzi o te ostatnie — wyróżnia się oryginalnością wiersz p. t. „Śmierć leśna”.

Forma wierszy Czerkawskiej, w miarę kunsztowna, harmonizuje z charakterystyką opisywanych drzew i obfituje w różnorodność strof, zależnie od treści. Styl poetycki czasem przypomina poezje Tuwima.

*Kazimiera Hłakowiczówna. Zwierciadło Nocy.* Warszawa. 1928. J. Mortkowicz, str. 90.

Nastroj w wierszach Hłakowiczówny da się określić wybitną postawą intelektu. Są one owiane pewną dozą melancholji, przepełnione subtelnym smutkiem, leciuchną ironją. Ale melancholja jest pewną poetycką pozą, smutek posiada odcienie wyrafinowanej kultury, ironja — brak tragizmu przeżycia.

Każde przeżycie poetyckie jest oświetlone tutaj raczej od strony zewnętrznej. Ilustrują to wymownie wiersze „Złamany jaśmin” i „Zabitemu”. Poza to mnóstwo jest obrazów, posiadających za treść barwę samą, dźwięk, szelest słów.

Nieco filozoficznych refleksyj zawiera cykl „Pusta Muszla”. Poetka wyróżnia 3 rodzaje miłości, z których najniższym szczeblem jest żądza, czyli miłość w znaczeniu ujemnym. Potem idzie miłość doczesna, którą tylko Bóg mocą swoją może uczynić duchową, wieczną.

Najwięcej uczuciowych wartości posiadają erotyki. W nich bezwątpienia odbiły się osobiste przeżycia poetki. Nie mogą one porwać, gdyż poetce brak jest typowo uczuciowego temperamentu, ale dostarczają wielu subtelnych wzruszeń.

Pewna sztuczność i poza zaważyły nietylko na treści, ale i na formie poezji Hłakowiczówny. Poetka daje swym skomplikowanym i wyszukany obrazom często niemniej wyszukaną formę.

Mimo te braki — Hłakowiczówna jest jedną z najwybitniejszych polek współczesnych. Moc jej talentu — niewyczerpane bogactwo wyobraźni, lotnej, subtelnej i giętkiej. Stąd ten przepych barw, kształtów, tonów i dźwięków, stąd pochodzi też zdolność naginania słowa w oryginalne kształty.



Włodzimierz Perzyński. **Dwoje Ludzi.** Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa str. 286.

Podłożem psychologicznym tej powieści jest walka dwóch pierwiastków w naturze mężczyzny—człowieka i samca. Terenem tej walki jest stosunek bohatera do dwóch różnych natur kobiecych, z których do jednej ciągną go jedynie zmysły, do drugiej zaś nieokreślone współzucie z racji jej ciężkiego życia. Trzeba przyznać, iż w tej powieści przeprowadził Perzyński dość konsekwentnie linię psychologiczną postaci, zwłaszcza bohaterów: Dołguckiego i Wiertkiewiczowej. W końcowym ustępie książki zdziwić może to, że panna Korczewska, starannie wychowana córka z obywatelskiego domu, w przystępie dzikiej złości, łąje swego narzeczonego jak najordynarniejsza przekupka.

Całość jest napisana bardzo zajmująco, ze swadą i temperamentem.

Władysław Studnicki. **Z przeżyć i walk.** Warszawa 1928.

Władysław Studnicki należy do tych nielicznych działaczy i pisarzy politycznych, co nigdy nie sprzeniewierzyli się swemu hasłu, swemu postulatowi naczelnemu. Tem hasłem, tym postulatem—niepodległość. Słusznie można zastosować do Studnickiego słowa: „Niewolnik jednej wielkiej myśli, w tem jego słabość i jego siła”. Zarzucano jego hasłom nierealność. Niedługich lat dwudziestu niespełna trzeba było, by hasło jego znalazło tryumf najwspanialszy.

Książka omawiana, nie będąc pamiętnikiem, nie jest też historią. Coś pośredniego. Autor—działacz o żywej wyobraźni i bujnym temperamencie politycznym spisuje na szerokim tle politycznym wypadki i życie polityczne od początków swej pracy politycznej, po przez wojnę japońską, drużyny strzeleckie i tajną działalność niepodległościową — aż do wybuchu wielkiej wojny. Tom drugi ma objąć „przeżycia i walki” Studnickiego z okresu tej wojny.

Książka odznacza się bezpośredniością oddania tych przeżyć i wielką szczerością. Jest to niepoślednia zaleta jej wśród wielu innych.

W. Meysztowicz. **J. C. D. Domicilium et quasi-domicilium eorum—que effectus in codice juris canonici.** Roma, 1926, str. 43.

Zbyt specjalny temat rozprawy ks. d-ra W. Meysztowicza nie pozwala na szczegółowe omówienie w naszym piśmie tej poważnej pracy. Podkreślić obecnie chcemy tylko udział Wilnian w ogólnoeuropejskim ruchu naukowym i zaznaczyć, iż ze szczerą dumą i radością przeczytaliśmy na pierwszej stronie tej rzymskiej publikacji wymowne słowa dedykacji: „Almae Matri Regiae Batoreae Vilonensi...”

Biblioteka uniwersytecka w Wilnie prowadzi bibliografię regionalną wileńską. Czy nie byłoby dobrze prowadzić jednocześnie bibliografię prac wileńskich, drukowanych poza Wilnem?...

Zygmunt Falkowski. **Władysław Reymont — człowiek i twórczość.** Nakładem Księgarni uniwersyteckiej w Poznaniu, r. 1929, str. 114.

Oto jeszcze jedna wileńska książka, która uciekła od nas do Poznania i w której wiele stron było drukowane w Krakowie w „Przeglądzie Powszechnym”. Taki to już los literatów wileńskich, zmuszonych do stałej dezercji ciasnego wileńskiego podwórka. Coprawda młody literat może na tem tylko zyskać, dając się poznać szerszej publiczności. P. Falkowski zasługuje na większą uwagę czytelników. Posiadając dobry wyrobiony styl, operuje on słowem z wielką swadą literacką, wypowiadając swój sąd w sposób jasny i zdecydowany. Monografia o Reymoncie zdradza zasadnicze cechy talentu pisarskiego p. Falkowskiego: książkę, posiadającą cały aparat naukowy, czyta się jak powieść. P. Falkowski jest wielbicielem talentu Reymonta, nie zakrywa jednak oczu na słabe strony twórczości autora „Chłó-

pów”, owszem, podkreśla je, aby tem wydatniej zaznaczyć wartości nieprzemijające dzieł wielkiego pisarza, którego twórczość na tle życia została zarysowana poważnie, rzeczowo i bezstronnie. Należy powitać z wielkim uznaniem dzieło p. Falkowskiego, — jako pierwszy zarys monograficzny twórczości Reymonta oraz jako pracę literata wileńskiego, występującego na szerszą arenę pisarską w pełnym rynsztunku bojowym: uzbrojonego w mocne, jędrne, dźwięczne słowo i czerpiącego amunicję z arsenału erudycji. Zwracamy uwagę wszystkich miłośników literatury polskiej na tę ciekawą i wartościową książkę.

Analecta Ordinis S. Basilii Magni, t. I (zesz. 1—4) str. 669, t. II (zesz. 1—4) str. 488 I.III (zesz. 1—2) str. 304 — Żółkiew r. 1924—1928.

Oto pismo, które na gruncie wileńskim jest prawie całkowicie nieznanie. Smutnym dowodem tej nieznaności organu Bazyljanów lwowskich jest stale nierozcięty egzemplarz Analectów w czytelni uniwersyteckiej oraz brak najmniejszej o nich wzmianki w wydanym niedawno przez księgarnię św. Wojciecha katalogu dzieł, dotyczących zagadnień Unji Kościelnej. Przyczyn tej niepopularności pisma szukać trzeba przede wszystkim w języku ruskim (ukraińskim), w którym się drukują artykuły oraz w samym założeniu pisma: sprawy Unji kościelnej, dzieje i życie Kościoła grecko-katolickiego, działalność wreszcie ości Kościoła — zakonu Bazyljanów—to wszystko nas, niestety, nie interesuje. I nie można narzekać na współczesne pokolenie, bardziej zmaterializowane, niż pokolenia poprzednie, — pod względem stosunku do Unji nie różnimy się od swych przodków. Nasi pradziadowie zapatrywali się na Kościół unicki jako na Kościół raczej zbliżony do schizmy, wiara grecko-katolicka była podług nich wiarą „chamską”, unita często bywał traktowany pogardliwie; nasi dziadowie, zawdychając przede wszystkim ogromnym wysiłkom naprawę katolickiego, szczerze polskiego zakonu Bazyljanów, zmienili swój stosunek do Unji, lecz stanowczo zamało nią się interesowali tak, że „nie zauważyli” tragicznej likwidacji Kościoła przez apostatów-biskupów i prałatów unickich. Zresztą, nie dziw, że nie spostrzegli tragicznego zdarzenia: przecież r. 1839, rok likwidacji Unji na Litwie i Białorusi był krwawym rokiem Konarszczyzny... Nasi ojcowie byli świadkami rozpacznej walki unitów podlaskich i chełmskich, więc nauczyli się szanować bez zastrzeżeń męczeńskich wyznawców Kościoła grecko-katolickiego, ale przeważnie zwracali uwagę na stronę polityczną zjawiska, nie rozumiejąc dokładnie czem jest Unja i nie odróżniając katolików greckich od łańskich. My zaś... Czy my wiemy coś o przeszłości, ściśle związanej z dziejami Kościoła unickiego na naszych ziemiach?.. Czy uświadamiamy sobie, że Kościół katolicki utracił przeszło dwa miliony swoich wyznawców, którzy przeszli na prawosławie, czy wiemy, że tylko wskutek naszej niezręcznej polityki i niedoceniań znaczenia Unji kościelnej utraciliśmy przeszło dwa miliony obywateli Rzeczypospolitej i takie obszary ziem, których wystarczyłoby na zorganizowanie wcale bogatego państwa... Czy wreszcie wiemy co się dzieje obecnie w Polsce odrodzonej, którądy idziemy, jakie są przed nami możliwości? Z całą pewnością na dziesięć inteligentnych osób w Wilnie, dziewięć nie potrafiłoby wytłumaczyć, w jakim stanie znajduje się sprawa Unji na naszym terenie, w jakim wileńskim kościele odbywają się nabożeństwa grecko-unickie, gdzie się koncentruje praca unijna, kto tę pracę prowadzi. Nie interesujemy się tem, uważając to za sprawy wewnętrzne Kościoła, stawiając unitów narówni ze staroobrzędowcami, baptystami, czy jakimiś innymi wyznawcami religii chrześcijańskiej poza ogólnie znanymi Kościołami. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że Unja ma olbrzymie zadania zjednoczenia Kościoła zachodniego i wschodniego i że Unja, łącząc pierwiastki katolickie ze wschodnimi, zawsze



była, jest i będzie terenem tarć nie tylko religijnych, ale narodowościowych i politycznych. W dziejach Kościoła Unickiego nie znajdziemy ani jednego dnia, kiedyby została zachowana równowaga pomiędzy pierwiastkami zachodnimi a wschodnimi, — zawsze coś przewyższa, a wskutek tego mamy tyle kardynalnych zmian oblicza Kościoła. Od świętego Józefa Kuncewicza, arcybiskupa połockiego do innego biskupa unickiego — Józefa Siemaszki — to przecież droga wielka! Ale weźmy dzieje bliższe, wiek XIX, weźmy zakon Bazyljanów. Na początku zeszłego stulecia Bazyljanie byli na naszych ziemiach nie tylko ostoją Kościoła, ale jednocześnie współtwórcami ruchu katolickiego — polskiego. Któżby nie słyszał o drukarniach bazyljańskich w Wilnie i Supraślu, któżby nie znał słynnych szkół bazyljańskich w Borunach, Humaniu, któżby mógł zapomnieć o szlachetnym i ofiarnym wysiłku Bazyljanów w dniach najcięższej próby narodowej — w okresie walk 1831 roku? Wiemy przecie, że wówczas zakonnicy nie tylko dopomagali walczącym oddziałom, lecz nieraz sami chwytali za broń, przeciwstawiając się Moskalom. Ale w r. 1915, w okresie równie ciężkich prób, podczas okupacji rosyjskiej w Galicji, Bazyljanie, najprawowitsi spadkobiercy tamtych, dawnych, witali serdecznie Moskali, odprawiali nabożeństwa wspólnie z popami i wystosowali do Rzymu słynny memoriał, domagając się *przymusowego* powrotu na łono Unji tych unitów, którzy przeszli na obrządek łaciński! Cel był wyraźny: zniweczyć wpływ polskie na ludność, którą dałoby się przerobić na Ukraińców, a drugi: cel, o którym się nie mówiło, do którego nie wszyscy świadomie dążyli: uterować drogę schizmie.

Jak wyglądają przekonania religijne inteligencji rusińskiej, mieliśmy sposobność dowiedzieć się w r. 1915, kiedy 21 lutego w Isakiewskim soborze w Petersburgu uroczyste przeszło na prawosławie około 120 Rusinów, słuchaczy kursów Łochwickiej-Skałton, b. studentów uniwersytetu lwowskiego, nauczycieli i profesorów, którzy wyjechali do Rosji z Galicji w drugiej połowie stycznia tegoż 1915 r.!. Jeden miesiąc pobytu w centrum Rosji i oto katolicy stają się prawosławnymi, Rusini — Moskalami, ulubieńcami najwyższych sfer urzędowych, które cenily renegatów za ładny cerkiewny śpiew...

Te zawrotne przeskoki unitów z jednej krańcowości w drugą sprawiają, że zagadnienie Unji kościelnej staje się nie tylko kwestją sumień ludzkich, ale jednocześnie olbrzymiej wagi sprawą narodowościową i polityczną. I dlatego życiem Kościoła unickiego muszą interesować się nie tylko przedstawiciele duchowieństwa, lecz jak najszersze masy inteligentnych, dbających o los państwa i narodu polskiego obywateli Rzplitej!

Chwila bieżąca jest szczególnie znamienita. Mamy na ziemiach polskich właściwie dwa Kościoły grecko-katolickie: w Małopolsce i na naszych ziemiach. Ale o życiu na górze św. Jura we Lwowie dowiadujemy się od czasu do czasu raczej tylko z kroniki przestępstw politycznych, o Wilnie zaś i Albertynie znamy szereg anegdotek, dotyczących dość egzotycznych nieraz kapłanów unickich. Ten lekkomyślny stosunek do sprawy niesłychanie ważnej musi wreszcie skończyć się! Jeżeli Wilno ma ambicje przodowania ziemiom b. W. Ks. Litewskiego, pamiętać musi, że na Słonimszczyźnie sprawa Unji jest wyjątkowo żywa, że tak prawosławna, jak i katolicka ludność ma zupełnie skryształizowany pogląd na działalność O. O. Jezuitów w Albertynie, że wszyscy spoglądają na Wilno, oczekując od niego słowa poważnego, męskiego, beznamietnego. Ze głos taki (głos ludzi *świeckich!*) jest potrzebny, mógł skostatować każdy, kto przeglądał karty adresu, złożonego w tym roku marszałkowi Piłsudskiemu w dniu jego imienin. Wśród dziesiątków tysięcy podpisów ludzi różnych wyznań i różnej narodowości, uwagę zwracał podpis księdza unickiego, który nazwisko swe skreślił po rosyjsku: „Otiec M... Obszczestwa jezuitow”... Do największego

z Polaków, przez całe życie walczącego z Moskwą, do wielkiego dostojnika państwowego pisał po rosyjsku ksiądz katolicki, *Polak*, pisał tylko dlatego, że jest przedstawicielem „prawosławno-katolickiego (co za nonsens!) Kościoła. Lecz dlaczego prawosławni w Polsce mają używać języka prawosławnych Rosjan, a nie prawosławnych Rumunów, Bułgarów, Serbów i t. p. — któż wie?

Nie zdając sobie sprawy z wielkich przeobrażeń, które mogą zajść na naszych ziemiach wskutek działalności współczesnych kapłanów unickich, tem mniej orientujemy się w wysiłku, zamiarach i tradycjach Kościoła unickiego w Małopolsce. I znowu: w dziejach i przeżyciach tego Kościoła orientować się musimy: nie tylko duchowni, uczeni, historycy, lecz szerszy ogół inteligencji.

Jednym ze środków poznania tych dziejów będzie zaznajomienie się z organem Bazyljanów lwowskich.

Analecta O. S. B. M. należą do pism czysto naukowych. Redagowane wyjątkowo starannie i umiejętnie przez młodego uczonego Bazyljanina, ks. Józefa Skrutenia, założyciela pisma i byłego redaktora akademickiego miesięcznika „Postup”, — są Analecta pozbawione wszelkiej tendencji i stoją na wysokim naukowym poziomie. Pismo wychodzi zeszytami, tworząc tomy objętości od 30 do 40 arkuszy. Każdy zeszyt podzielony jest na cztery części: 1. Artykuły. 2. Dokumenty i materiały. 3. Miscellanea i 4. Bibliografia. Tematów jest wielka różnorodność. Większość prac jest poświęcona dziejom zakonu Bazyljanów na południowo-wschodnich ziemiach Rzplitej, ale już w t. II umieścił prof. I. Ohijenko bardzo ciekawą dla językoznawców rozprawę o ukraińskim akcencie na początku w. XVII. Rozszerzanie ram pisma przeprowadza się konsekwentnie przez redaktora ks. Skrutenia i daje doskonałe rezultaty, ogarniając tereny ziem b. W. K. Lit. i ożywiając pismo. Korzystając z niewyżyskanych źródeł, pismo podaje bardzo ważne materiały historyczne, jak np. życiorysy Bazyljanów, skreślone przez metrop. L. Kiszkę (z rękopisu podał ks. Skrutenia), jak pieśni z rękopiśmiennego śpiewnika początku w. XIX (podał dr. J. Horodyński), jak opisy bibliotek Bazyljanów lwowskich i t. p. Materiały drukują się w oryginale, a więc często po łacinie i po polsku po francusku, po włosku i t. p. W tym dziale zwracają na siebie uwagę umieszczone w t. III, zes. 1—2 przyczynki do życia słynnej oszustki, znanej pod imieniem Makryny Mieczysławskiej. (Dokumenty z archiwum kapituły poznańskiej wydobył ks. E. Majkowski). Bardzo starannie i poważnie jest traktowany dział recenzyj, wykazujący tak głęboką wiedzę recenzentów, jak i wielkie stosunki pisma ze światem. Przegląd książek omówionych, jak i zestawienia bibliograficzne książek nadesłanych nieraz mogą przydać się teologowi lub historykowi, pracującym nad zagadnieniami, związanymi z życiem Kościoła unickiego. Nie sposób wymienić wszystkich celniejszych prac i znakomitszych nazwisk, zaznaczyć należy przedewszystkiem ogromny wysiłek samego księdza Redaktora, który sweni pracami zasila pismo. Z profesorów uniw. spotykamy w piśmie: A. Petrowa, I. Ohijenkę, St. Tomaszewskiego, H. Święcickiego, W. Załozeckiego; uczonych o mniej głośnych nazwiskach — wielka ilość. Z naszego terenu stałym współpracownikiem jest ks. Wł. Tołłoczko, znajdujemy prace W. Charkiewicza, spotykamy nazwisko A. Millera (którego legendę o kamieniu św. Józefa podano w przekładzie na ukraińskie) oraz J. Jodkowskiego, który dał korespondencję o znajdujących się w muzeum w Grodnie carskich wrotach ze słomy (Ciekawa notatka ks. Skrutenia w t. III).

Poważnemu pismu Bazyljanów lwowskich należy życzyć dalszego rozwoju i większego rozpowszechnienia: stanie się ono w przyszłości jednym z najważniejszych źródeł do tak mało pomimo wszystko znanych dziejów Kościoła unickiego w Polsce.



**„Wielka Biblioteka“.** Nowe wydanie arcydzieł literatury polskiej i obcej w opracowaniu pedagogów i krytyków pod redakcją Włodzimierza Gałęckiego. Z. Krasińskiego „Irydjon” w opracowaniu W. Szyszkowskiego, Wyspiańskiego „Wesele” w opr. L. Płoszewskiego, J. Słowackiego „Anelli” w opr. A. Boleskiego, J. Kochanowskiego „Treny” w opr. St. Adamczewskiego, A. Mickiewicza „Grażyna” w opr. J. Saloniego, Z. Krasińskiego „Nie-Boska komedia” w opr. B. Suchodolskiego, J. Słowackiego „Lilla Weneda” w opr. W. Szyszkowskiego, J. Słowackiego „Kordjan” i „Godzina myśli” w opr. A. Boleskiego, W. Szekspira „Makbet” w opr. St. Helsztyńskiego, A. Asnyka „Wybór poezji” w opr. K. Górskiego, A. Mickiewicza „Dziady wileńskie” w opr. M. Schipperera, J. Słowackiego „Trzy poematy” w opr. A. Boleskiego, J. Kochanowskiego „Wybór poezji” w opr. St. Adamczewskiego.

„Wielka Biblioteka” w nowym wydaniu z komentarzami oraz ilustracjami zasługuje nie tylko na uwagę nauczycieli-polonistów, lecz i na energiczne poparcie. Redakcja głęboko przemyślała plan wydawnictwa i dobrze uwzględniła taki program nauczania literatury w klasach wyższych szkół średnich, jak i warunki, w jakich często znajduje się młody polonista na prowincji, oderwany od kulturalnych i naukowych ośrodków i nie posiadający pod ręką dobrej biblioteki. Stąd powstała nieunikniona cokolwiek, pewna nierówność w traktowaniu komentarzy do tekstu. O ile objaśnienia samego tekstu uwzględniają przede wszystkim potrzeby młodzieży, o tyle przypisy nieco się wahają: raz mamy z materiałem odpowiadającym poziomowi uczniów, kiedy indziej zaś — z przypisów potrafi należycie skorzystać tylko nauczyciel. Nie jest to wielką wadą opracowań, gdyż nauczyciel zawsze będzie kierował pracą uczniów i potrafi im pomóc, jeżeli się spotkają z pewnymi trudnościami. Zresztą praktyka w zastosowaniu wykaże słabe strony opracowań. Właśnie na podstawie doświadczenia w zastosowaniu wydawnictw „W. B” narazie w kl. VII możemy stwierdzić, iż dzieła literackie, objęte programem nauki w tej klasie, są opracowane bardzo dobrze i wskutek tego przyswajają się przez młodzież łatwiej i gruntowniej, niż zapomocą wydawnictw „Bibl. Nar”, wymagających większego przygotowania. Poloniści-nauczyciele powinni zwrócić baczną uwagę na to pożyteczne wydawnictwo i z początku roku szkolnego od razu wprowadzić jednolite wydawnictwa dla całej klasy, gdyż korzystanie przez uczniów z różnych wydań dzieł literackich utrudnia pracę. Redakcja wydawnictwa zwraca się do nauczycieli-polonistów z prośbą o wypowiedzianie swych uwag o zaletach i wadach opracowań. Ten apel Redakcji chętnie powtarzamy, chodzi przecie o dobro szkoły, o dobro młodzieży...

Juljan Wołoszynowski. **Potęga snu.** Warszawa, 1928. J. Mortkowicz str. 81.

Dotychczasowe utwory Wołoszynowskiego zapowiadają niepośledni talent. Cechą charakterystyczną tego pisarza jest odstryknięcie się od utartych literackich ścieżek a szukanie nowych dróg i usiłowania wyodrębnienia nowego stylu literackiego.

Bibliografia prac Wołoszynowskiego wskazuje wyraźnie, iż w doborze tematów idzie on po pewnej wytkniętej linii. Wybór popularnych nadzwyczaj w historii świata postaci, przerobionych już niezliczone tysiące razy w legendach, klechdach, baśniach, poematach i t. p. jest najwyraźniejszym dowodem trudności stworzenia z nich czegoś pięknego. Zadanie to spełnia Wołoszynowski z łatwością. Legendę o Twardowskim ujmując w ramy epoki i wprowadzając czytelnika w całą realność, jędrność i rubasność szlacheckiego świata.

Natomiast „Potęga snu”, składająca się z trzech opowieści, posiada wspólną dla nich cechę, szlachetnego, nieco stylizowanego patosu.

Zaródz ideową tych opowieści oparł autor na wierze w potęgę snu. Świadczy o tem wstępny aforyzm, wyjęty ze „Stygmatu” Norwida.

Pierwsza legenda „Życie snem Marji” jest może nieco za rozwlekłą, jeśli chodzi o zagadnienie zasadnicze, — problem znaczenia snu — i nie posiada wyraźnego kośca ideowego. Osią całego opowiadania są właściwie dwa sny — zwiastowanie i przecucie męki Chrystusowej.

„Relacja o Joannie” posiada daleko więcej jednolitości i psychologicznego uzasadnienia.

Niezwykle subtelnie powiązane są tu dwa momenty — Joanna oswojadząca jąca Francję i Joanna kochająca Delfina.

Najpiękniejsze jest bezwątpienia opowiadanie „do Beatrycze”. Opowiadanie, rozpadające się na dwie części: konspekt życia Dantego, zakończony snem w Rawennie i testament Alighieri’ego. Obie części łączy jedna i ta sama potęga snu. Dante, niepocieszony po stracie jedynej kochanki w młodości, przeszedł przez całe życie piekło rozpacz, zwątpień i udręceń. Aż pod koniec życia ukazała mu się we śnie Beatrycze. I to przynosi mu wiarę, nadzieję, ukojenie.

Zarówno styl Wołoszynowskiego jak i język jest przesliczny. „Potęga snu” przypomina nieco w wyrazie pisarzy skandynawskich, a zwłaszcza styl Selmy Lagerlöff.

Piotr Choynowski. **„O pięciu panach Suleżyckich“.** Nowele. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, str. 208.

Choynowski posiada niewątpliwie nerw zdolnego nowelisty. Ale powyższy zbiór nowel nie jest jednolity, ani pod względem stylu, ani wartości. Nowele o tle historycznym: „O pięciu panach Suleżyckich”, „Wigilja wojewody” i „Pańskie łyzy”, posiadają najwięcej temperamentu i odczucia prawdopodobieństwa epoki. Szczególnie udatna jest nowela „Wigilja wojewody”. „Ojcowie ludu”, opowieść osnuta na tle rewolucji francuskiej to tylko t. zw. „roboty literackie”. Opowiadanie z r. 1898 „Zdrada” należy do najlepszych.

Natomiast zupełnie słabe jest opowiadanie p. t. „Pogotowie ratunkowe”, osnute na prawdziwej podobno historii z czasów sanacji naszego skarbu przed kilku laty. Ofiara i jednocześnie bohater nieszcześliwej miłości do panny, z jakiejś interesownej i przyziemnej rodzinki, przenoszącej ponad jego osobę, Amerykanina o kieszeniach, wypchanych fałszywymi (jak się później okazało) czekami dolarowymi — bohater ten nie budzi mimo sympatycznego przedstawienia — specjalnego współczucia; cała zaś historia — może prawdziwa, ale płaska i nieciekawa.

Jerzy Kossowski. **Kłamca.** Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, str. 208.

Młody ten pisarz zadebiutował już tomem wcale udatnych nowel „Zielona kadra”. Zarówno te nowele, jak i powieść powyższa, osnute są na przeżyciach żołnierza w ostatniej wielkiej wojnie, która obecnie coraz częściej staje się tematem dla literatów.

Powieść jest pisana zajmująco, zwłaszcza życie na froncie przedstawione żywo i interesująco. Problem psychologii kłamcy jednak przeprowadzony dość słabo. Linja charakteru tego człowieka niedociągnięta. Właściwie z chwilą wstąpienia bohatera do wojska, zapominamy ciągle o tem, że jest on kłamcą.

Możnaby go raczej nazwać skrytym, zrównoważonym dyplomata w życiu codziennym. Dopiero końcowe karty książki usiłują nawiązać nie psychologii kłamcy, który przed sobą nawet stara się kłamać, bagatelizując własne kalcetwo. A samobójstwo jest charakterystycznym epizodem tego samokłamstwa. Można przypuścić, iż na tle innego, nieżołnierskiego życia, sylwetka duchowa kłamcy zarysowałaby się jednoliciej i wyraźniej.



*Jan Wiktor. Srogi pies i sentymalny zajac.* Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, str. 160.

Jedyny zdaje się pisarz polski po Dygasińskim, zajmujący się życiem zwierząt, podjął godne zadanie, prowadzone przez wybitnego a zapoznanego poprzednika.

Aczkolwiek stosunek do przedmiotu jest u Wiktora zupełnie inny, to jednak trzeba mu przyznać doskonały zmysł orientacji w życiu zwierzęcym, a także i zdolność obserwacji. Cała opowieść dzieje się na tle wsi i pogodnego lata, kiedy większość zwierząt i ptaków żyje właściwym życiem, które wypełniają dwa najważniejsze zadania: walka o byt i rozmnażanie. Na tle życia różnych zwierząt domowych i ptactwa zarysowują się wyraźnie sylwetki psa i zająca. W analizie sposobu życia obu zwierząt—ponad zwykłe zadania naturalne, wysuwają się jeszcze inne instynkty—srogość psa, która polega na tem, iż nawet przywiązanie i wierność w stosunku do człowieka, nie jest w stanie przeciężyć rasowej nienawiści psa do zająca; sentyment zaś tego ostatniego wyraża się w tem, iż tchórzliwy mimo wszystko zając, posiada jednak instynkt samozachowawczy, który pozwala się uśpić pod wpływem wrażliwości na muzykę. Jako drugoplanowy wątek opowiadania służy opis miłości mężczyzny do kobiety, który właściwie nie wydaje się potrzebny, a może być usprawiedliwiony tylko wywołaniem uczuciowego zainteresowania się bohatera—zwierzętami. Miłość stwarza litość i współczucie dla innych. Mowa zwierząt, przedstawiona w formie gwary ludowej, stwarza podłoże dla realistycznego humoru. Opisy przyrody są naprawdę ładne.

*Włodzimierz Perzyński. Znamię.* Nowele. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa str. 231.

Perzyński oddawna znany w literaturze polskiej, jako powieściopisarz, komedjopisarz i nowelista w ostatnich swych utworach obrał drogę, którąby po prostu określić można linią najmniejszego oporu. Posiadając niewątpliwy talent realistyczny, rzutki dar obserwacji życia codziennego, zwłaszcza wielkomięskiego, we wszystkich sferach,—zużytkowuje to obecnie na dość płytkie i nieco kinematograficzne ujmowanie zjawisk życiowych. Jest to dogadanie gustom szerszej publiczności, ale nie prowadzi do celów artystycznych.

I tak w nowelach „Znamię” niejeden dzisiejszy filister, karierowicz, nożownik, mąż zdradzony, stary egoista lub skąpiec, sentymalny czeladnik krawiecki, prasujący spodnie, do którego zaleca się ordynarna córka pryncypała—odnajdą siebie, jak na ekranie filmu i przyklasną z upodobaniem. Ale to jeszcze nie stanowi o wartości książki. Autor nie boleje nad tem co opisuje, nie przeżywa; te smutne nieraz wypadki nie są dla niego jaskrawym krzykiem protestu przeciwko takiej rzeczywistości. Wyobrażamy sobie raczej autora, kreślącego swe obrazy z uśmiechem napoły dobrotliwym, napoły cynicznym. Nowela tytułowa „Znamię” wyróżnia się swą perwersyjnością; opowiadanie zaś „Burza” wyskoczyło wśród innych jak deus ex machina ze swym niedowarzoną obrazem krzywdy moralnej w postaci dziewczynki o błękitnej sukni i bladej twarzy.

## SPIS RZECZY:

	Str.
<i>Mieczysław Limanowski</i> —O Poznaniu głos z Wilna . . . . .	3
<i>Bronisław Rydzewski</i> —Bohatyrowicze . . . . .	15
<i>Wanda N. Dobaczewska</i> —Legends Wileńskie i Nowogródzkie . . . . .	22
<i>Helena Romer Ochenkowska</i> —Bazyłjanie . . . . .	31
<i>Ferdynand Ruszczyk</i> —Wspomnienia dni Mickiewiczowskich w Paryżu. . . . .	53
<i>Jadwiga Wokulska</i> —Troki . . . . .	66
<i>Emil Zegadłowicz</i> —Światło z gór . . . . .	67
<i>Stanisław Pigoń</i> —Do genezy „Rymonda” Al. Fredry . . . . .	73
<i>Zygmunt Hartung</i> —Wytwórczość roślinna w Województwie Wileńskim w świetle ostatniej statystyki . . . . .	82
<i>Józef Jodkowski</i> —O dawnych jarmarkach w Zelwie i Grodnie . . . . .	91
<i>Mieczysław Limanowski</i> —Z Wilna do Sopoćkiń . . . . .	96
<i>Witold Hulewicz</i> —O „Niedobrej miłości” Zofji Nałkowskiej . . . . .	121
<i>Wiktor Piotrowicz</i> —Ś. p. Józef Kallenbach . . . . .	124
<i>Vilniana</i> . . . . .	129
<i>Kronika</i> . . . . .	133
Książki nadesłane do Redakcji . . . . .	143

KOMITET REDAKCYJNO-WYDAWNICZY: *Walerjan Charkiewicz, Mieczysław Limanowski, Tadeusz Łopalewski, Stanisław Pigoń, Wiktor Piotrowicz.*

KIEROWNIK ARTYSTYCZNY: *Stanisław Matusiak.*

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Bolesław Żynda.*

Adres Redakcji: Wilno, ul. Dąbrowskiego 7 m. 7. Tel. 3-46.

Skład Główny w Księgarni Św. Wojciecha  
(Oddział Wileński).